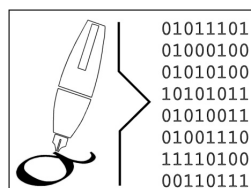


Isaac Asimov
Robert Silverberg

Pozytonowy Człowiek

Przełożył: Piotr Hermanowski



Tytuł oryginalny: The Positronik Man

Rok wydania oryginalnego: 1992

Rok i miejsce wydania polskiego: Poznań 1998

Dla Janet i Karen
— z miłością

TRZY PRAWA ROBOTYKI

- 1. Robot nie może skrzywdzić istoty ludzkiej lub — poprzez wstrzymanie się od działania — pozwolić, by stała się jej krzywda.**
- 2. Robot musi wykonywać rozkazy wydane mu przez istoty ludzkie, z wyjątkiem sytuacji, kiedy byłyby one sprzeczne z Prawem Pierwszym.**
- 3. Robot musi chronić swoje istnienie dopóty, dopóki taka ochrona nie jest sprzeczna z Prawem Pierwszym lub Drugim.**

ROZDZIAŁ 1

— Może zechciałby pan usiąść. — Chirurg wskazał krzesło stojące naprzeciw biurka. — Bardzo proszę.

— Dziękuję — odrzekł Andrew Martin.

Usiadł spokojnie. Zawsze robił wszystko bardzo spokojnie. Taką miał naturę i ta część jego osobowości nigdy się nie zmieniała. Patrząc na niego w tej chwili, nikt nie domyśliłby się nawet, że Andrew Martin jest doprowadzony do ostateczności. A tak było w istocie. Aby odbyć to spotkanie, przebył ponad połowę kontynentu; była to jego ostatnia nadzieja na spełnienie życiowego celu. Wszystko sprowadzało się tylko do tego jednego. Wszystko.

Twarz Andrew Martina wydawała się nieprzenikniona i spokojna, ale uważny obserwator dostrzegłby w jego oczach cień melancholii. Włosy miał gładkie, jasnobrązowe i delikatne. Był starannie ogolony i wyglądał świeżo: żadnych wąsów, brody, żadnej sztuczności ani ekstrawagancji. Jego ubiór, w którym dominowała welwetowa purpura, był schludny, lecz o wyraźnie staromodnym, luźnym i falującym kroju, niegdyś bardzo popularnym. Dziś jednak rzadko się taki widywało.

Twarz chirurga również była spokojna. Nie było w tym nic dziwnego, jako że twarz chirurga, tak jak i wszystkich jemu podobnych, była zrobiona z nierdzewnej stali koloru jasnego brązu. Siedział wyprostowany przy swoim wspaniałym biurku w pozbawionym okien pokoju, wysoko ponad jeziorem Michigan. W jego spojrzeniu dominowały spokojna życzliwość i pogoda ducha. Na skraju biurka znajdowała się mosiężna tabliczka z wygrawerowanym numerem seryjnym; było to typowe, fabryczne oznakowanie składające się z szeregu liter i cyfr.

Andrew Martin nie zwracał jednak najmniejszej uwagi na tę bezduszną metodę identyfikacji. Tak ponure, mechaniczne oznaczenia nie były dla niego istotne. Ani teraz, ani dawniej. Nie odczuwał też żadnej potrzeby zwracania się do robota-chirurga inaczej niż po prostu „doktorze”.

— To wszystko jest dość nietypowe... rzekłbym: nielegalne, proszę pana — powie-

dział chirurg.

— Tak, wiem o tym — odparł Andrew Martin.

— Od czasu, gdy dotarła do mnie pana prośba, myślę prawie wyłącznie o tym.

— Jest mi naprawdę bardzo przykro, że sprawiam tyle kłopotu.

— Dziękuję. Doceniam pańską troskę.

Wszystko to bardzo uprzejme, niemal wytworne, ale bezużyteczne. Pełne kurtuazji, nic nie znaczące zwroty. Siedzieli tak naprzeciw siebie, a żaden z nich nie chciał przejść do meritum sprawy. A teraz, w dodatku, chirurg zamilkł. Nie ułatwiało to sprawy. Andrew czekał, aż lekarz coś powie, ale milczenie się przedłużało.

To nas do niczego nie doprowadzi, pomyślał.

— Chciałbym wiedzieć, doktorze, kiedy ta operacja mogłaby się odbyć — powiedział w końcu.

Chirurg zawahał się. Odezwał się dopiero po chwili, a w jego głosie pobrzmiewała nuta respektu, z którą robot zwracał się zawsze do człowieka.

— Nie jestem w pełni przekonany, proszę pana, czy dobrze zrozumiałem istotę tej operacji, nie mówiąc już o przyczynach, dla których miałyby ona być pożądana. Wciąż też nie wiem, kto byłby ewentualnym pacjentem.

Słowom tym z pewnością towarzyszyłby wyraz pełnej szacunku stanowczości, gdyby nie to, że twarz chirurga była zrobiona z nierdzewnej stali i nie była w stanie wyrazić takiego uczucia, ani też jakiegokolwiek innego.

Teraz z kolei milczał Andrew Martin.

Przyglądał się uważnie ręce chirurga — ręce, którą tamten operował — leżącej teraz spokojnie na blacie biurka. Była pięknie zaprojektowana: palce długie i zgrabne, o idealnie kształtnych krzywiznach znakomicie dopasowanych do celu, któremu miały służyć. Z łatwością można było sobie wyobrazić spoczywający w tej dłoni skalpel, który w momencie rozpoczęcia operacji stapia się z nią w harmonijną, perfekcyjną całość: chirurg i skalpel połączeni w jedno wspaniałe narzędzie.

To bardzo pokrzepiające, pomyślał Andrew. Tu nie będzie miejsca ani na sekundę wahania. Niemożliwe jest najmniejsze nawet drgnienie ręki, najmniejsza pomyłka, ani nawet prawdopodobieństwo pomyłki.

Takie umiejętności przychodziły, rzecz jasna, wraz ze specjalizacją — specjalizacją tak bardzo upragnioną przez ludzkość, że zaledwie kilka robotów ery nowożytnej było autonomicznymi jednostkami. Pozostałe natomiast stanowiły jedynie składową część potężnych procesorów, których połączone siły znacznie przekraczały możliwości jednego robota.

Tak naprawdę chirurg również nie odczuwał potrzeby bycia niczym więcej, jak tylko systemem sensorów, monitorów i szeregu innych urządzeń manipulacyjnych. Oczywiście z jednym zastrzeżeniem: ludzie wciąż chcieli ulegać złudzeniu, że operuje ich żywa

istota, a nie jakaś obca maszyna. Tak więc chirurdzy, którzy prowadzili prywatną praktykę, wciąż pozostawali niezależnymi jednostkami. Ten jednak, niezależny czy nie, pozostałe funkcje miał na tyle ograniczone, że nie tylko nie rozpoznał Andrew Martina, ale prawdopodobnie też nigdy o nim nie słyszał.

Dla samego zaś Andrew była to swego rodzaju nowość. Był osobą więcej niż znaną. Nigdy nie zabiegał o popularność; nie było to, rzecz jasna, w jego stylu, ale sława, a przynajmniej szeroki rozgłos, przysła sama. A wszystko z powodu tego, co osiągnął i czym był. Nie kim, lecz czym.

Teraz zaś, zamiast odpowiedzieć chirurgowi, Andrew zupełnie zmienił temat rozmowy.

— Proszę mi powiedzieć, doktorze... Czy kiedykolwiek pomyślałeś, że chciałbyś się stać człowiekiem?

Takie pytanie, dziwne i niesamowite, wyraźnie zaskoczyło chirurga. Zawahał się, jakby sama myśl o czymś tak nieprawdopodobnym daleko wykraczała poza możliwości jego pozytronowych obwodów.

Po chwili jednak opanował się i odpowiedział pogodnie:

— Przecież jestem robotem, proszę pana.

— Ale czyż nie byłoby lepiej zostać człowiekiem? Jak sądzisz?

— Gdybym miał przywilej ulepszenia samego siebie, proszę pana, chciałbym być lepszym chirurgiem. Uprawianie tego zawodu jest jedynym celem mojego istnienia. Będąc człowiekiem, nigdy nie zostałbym lepszym chirurgiem. Uda się to tylko wtedy, gdy będę lepszym robotem. Zadowoliliby mnie więc w pełni to, że byłbym bardziej zaawansowanym technicznie robotem.

— Ale nadal byłbyś tylko robotem.

— Tak, oczywiście. W pełni akceptuję to, że nim jestem. Jak już wyjaśniłem, jest to jedyna droga do osiągnięcia perfekcji w zawodzie współczesnego chirurga. W dzisiejszych czasach ktoś taki musi być...

— Robotem, tak — powiedział Andrew z lekką nutą gniewu i zniechęcenia. — Ale pomyśl o aspekcie służalczości, doktorze. Rozważ to. Jesteś wysoko wyspecjalizowanym chirurgiem. Masz do czynienia z niesłychanie delikatną materią, gdzie ważą się losy życia lub śmierci. Często operujesz najznakomitsze osobistości tego świata, a z tego, co wiem, przybywają do ciebie pacjenci nawet z odległych światów. A mimo to, mimo to jesteś tylko robotem. Czy to cię zadowala? Mimo takich umiejętności musisz wykonywać wszystkie rozkazy, które wyda ci człowiek. I nie ma znaczenia, czy jest to dziecko, idiota, prostak, czy też łotr. Nakazuje ci to Drugie Prawo i nie masz wyboru. W tej chwili mógłbym powiedzieć: „Wstań, doktorze”, i musiałbyś wstać. „Połóż dłoń na twarzy i przesuń po niej palcami” i zrobiłbyś to. „Stań na jednej nodze, usiądź na podłodze, skocz w prawo albo w lewo”... Cokolwiek bym ci nakazał, musiałbyś mnie posłuchać.

Mógłbym ci rozkazać, abyś się rozmontował, kawałek po kawałku, i to też byś zrobił. Ty! Wielki chirurg! Pozbawiony jakiegokolwiek wyboru. Musisz tańczyć tak, jak ci zagra człowiek. Nie czujesz się urażony, że mam władzę, by cię zmusić do spełnienia każdego cholernego życzenia, które mi przyjdzie do głowy? Bez względu na to, jak bardzo byłoby idiotyczne, prostackie i poniżające?

Chirurg pozostał niewzruszony.

— To byłaby dla mnie przyjemność, sir. Oczywiście z pewnymi wyjątkami. Jeżeli te rozkazy mogłyby sprawić, że zrobiłbym krzywdę panu lub innemu człowiekowi, musiałbym najpierw rozważyć, czy są zgodne z moimi prawami, i wtedy prawdopodobnie odmówiłbym ich wykonania. Pierwsze Prawo, które dotyczy moich obowiązków względem ochrony istoty ludzkiej przed niebezpieczeństwem, byłoby naturalnie w tym momencie ważniejsze niż Drugie Prawo, odnoszące się do posłuszeństwa. W innym wypadku posłuszeństwo sprawia mi przyjemność. Jeśli znajduje pan radość w żądaniu ode mnie tego, co uważa za idiotyczne, prostackie i poniżające, ja to wykonam. Dla mnie nie jest to jednak ani idiotyczne, ani prostackie, ani też poniżające.

Andrew Martin nawet w najmniejszym stopniu nie był zaskoczony słowami chirurga. Jakikolwiek inne stwierdzenie robota uznałby za zadziwiające, a nawet rewolucyjne.

Jednak mimo wszystko, mimo wszystko...

— A teraz, jeśli pan pozwoli, sir, wrócimy do sprawy tej niezwyklej operacji — powiedział chirurg, a w jego uprzejmym głosie nie było nawet najmniejszego śladu zniecierpliwienia. — Nie bardzo rozumiem, co pan chce zrobić. Nie potrafię sobie wyobrazić sytuacji, która wymagałaby czegoś takiego. Przede wszystkim chciałbym poznać nazwisko osoby, którą mam zoperować.

— Nazywa się Andrew Martin — powiedział Andrew. — To ja mam zostać poddany operacji.

— Ależ to niemożliwe, sir!

— Z pewnością będziesz w stanie to zrobić.

— W sensie technicznym, tak. Nie mam w tej kwestii żadnych większych wątpliwości, bez względu na to, co będę miał zrobić. Jednakże w tym wypadku są pewne zagadnienia proceduralne, które będę musiał dokładnie rozważyć. Ale to zupełnie inna sprawa. Proszę, aby pan wziął pod uwagę, że w efekcie ta operacja panu zaszkodzi.

— To nie ma dla mnie znaczenia — odparł spokojnie Andrew.

— Ale dla mnie ma.

— Czy to przysięga Hipokratesa w wersji dla robotów?

— To coś poważniejszego — odparł chirurg. — Przysięga Hipokratesa jest świadomym i dobrowolnym zobowiązaniem. Natomiast tutaj, jak zapewne pan wie, chodzi o coś, co jest zakodowane w moich obwodach i kontroluje wszystkie moje zawodowe

decyzje. Poza tym nie wolno mi przecież wyrządzać krzywdy. Nie mogę tego zrobić, nawet gdybym chciał.

— Ale tylko wtedy, gdy chodzi o ludzi.

— Właśnie. Pierwsze Prawo mówi...

— Nie musisz go przytaczać, doktorze. Znam je tak samo dobrze jak ty. Pierwsze Prawo rządzi czynami robotów w odniesieniu do ludzi, a ja nie jestem człowiekiem, doktorze.

Chirurg wzruszył ramionami i zamrugał swymi fotoelektrycznymi oczami. Wyglądało to tak, jakby wszystko, co powiedział przed chwilą Andrew, nie miało dla niego znaczenia.

— Tak — ciągnął Andrew. — Wiem, że wyglądam zupełnie jak człowiek i że doświadczasz w tej chwili czegoś, co jest odpowiednikiem zdziwienia. Niemniej jednak to absolutna prawda. Jakkolwiek ludzki mogę ci się wydawać, jestem tylko robotem. Robotem, doktorze. Właśnie tym jestem i niczym więcej. Uwierz mi. Możesz więc mnie zoperować. W Pierwszym Prawie nie ma niczego, co zabraniałoby jednemu robotowi podejmować działania wobec drugiego robota. Nawet jeśli te działania spowodują uszkodzenie tego robota, doktorze.

ROZDZIAŁ 2

Naturalnie na początku, a ten początek miał dla niego miejsce dwa wieki przed wizytą w gabinecie chirurga, nikt nie wziąłby Andrew Martina za nic innego z wyjątkiem robota.

W tej zamierzchłej epoce, gdy opuścił linię produkcyjną korporacji Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie, wyglądał tak samo jak każdy inny robot. Był znakomicie zaprojektowanym i cudownie funkcjonalnym mechanizmem z pozytronowym mózgiem umieszczonym w mniej lub bardziej humanoidalnej powłoce z lśniącego metalu i plastyku.

Jego długie, szczupłe kończyny, dopracowane do najdrobniejszego szczegółu, wykonano ze stopu tytanu pokrytego stalą. Kończyny zaopatrzone na złączach w silikonowe tuleje, które zabezpieczały przed ocieraniem metalu o metal. Łożyska, w których umieszczono ręce i nogi, wykonano z najlepszego i najbardziej giętkiego polietylenu. Fotoelektryczne oczy błyszczały głęboką czerwieńią, a twarzy — nazwanie w ten sposób metalowej fizjonomii było prawdziwą życzliwością — całkowicie brakowało ekspresji. Nagie, bezpłciowe ciało było jednoznacznie sztucznym tworem. Wystarczyło jedno spojrzenie, by się przekonać, że był maszyną — nie bardziej żywą i nie bardziej ludzką niż telefon, kalkulator czy samochód.

Ale to było w całkiem innej epoce. Dawno, dawno temu.

A była to epoka, kiedy roboty nie były jeszcze powszechnym zjawiskiem na Ziemi; był to zaledwie wczesny świt ery robotyki. Przeminięło zaledwie jedno pokolenie od czasów, gdy wielcy robotycy, tacy jak Alfred Lanning, Peter Bogert i robopsycholog — legendarna Susan Calvin, dokonali historycznego dzieła, rozwijając i ulepszając zasady, dzięki którym powstały pierwsze pozytronowe roboty.

Celem pionierów robotyki było stworzenie robotów zdolnych do dźwigania tych wszystkich okropnych ciężarów, które do tej pory spoczywały na barkach ludzi. Pod koniec dwudziestego i na początku dwudziestego pierwszego wieku, czyli we wczesnych latach nauki o sztucznym życiu, robotyka stała w obliczu poważnego problemu: niechęć-

ci wielu ludzi do zrzeczenia się tych ciężarów na korzyść mechanicznych substytutów. Właśnie z powodu owej niechęci praktycznie we wszystkich krajach — świat był wówczas podzielony na mnóstwo państw — wprowadzono surowe prawa zabraniające korzystania na Ziemi z pracy robotów.

Do 2007 roku zostały one całkowicie zakazane na całej planecie, z wyjątkiem badań naukowych prowadzonych w ściśle określonych warunkach. Tak więc, można było wysyłać roboty w przestrzeń kosmiczną do ciągle rosnącej liczby pozaziemskich fabryk i stacji wydobywczych. Niech radzą sobie na mroźnym Ganimesie lub skwaronym Merkurym, niech znoszą niewygody nieprzyjaznego Księżyca, niech przeprowadzają niebezpieczne eksperymenty hiperprzestrzennych skoków, które w końcu otworzą człowiekowi drogę do gwiazd.

Ale roboty powszechnie używane na Ziemi, zajmujące bezcenne miejsca pracy, które mogły przypaść w udziale ludziom z krwi i kości? Nie! Nigdy! Nie chcemy tu żadnych robotów!

Cóż, w końcu jednak coś zaczęło się zmieniać. A najbardziej dramatyczne zmiany miały miejsce w czasie, gdy w północnym okręgu korporacji Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie zbudowano robota NDR-113, znanego później jako Andrew Martin.

Jednym z czynników, które przyczyniły się do stopniowego zaniku uprzedzeń w stosunku do ziemskich robotów, było biuro prasowe. Korporacja Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie była nie tylko organizacją naukową; wiedziała co nieco również o rentowności. Znalazła ciche i spokojne, lecz efektywne sposoby na odarcie robotów i mechanicznych ludzi z mitu Frankenstein'a i straszliwego Golema.

Roboty są tutaj po to, by ułatwić wam życie, mówili rzecznicy prasowi korporacji. Roboty mają wam pomagać. Roboty nie są waszymi wrogami. Roboty są całkiem bezpieczne, bezpieczne ponad wszelką wątpliwość.

I ponieważ to wszystko było prawdą, ludzie zaczęli akceptować roboty w swoim otoczeniu. Robili to przeważnie dość niechętnie. Wielu, a może nawet większość, odczuwało niepokój na myśl o nich, lecz jednocześnie zdawało sobie sprawę, że są potrzebne. W związku z tym ludzie zaczęli w końcu tolerować ich obecność i miało to trwać tak długo, dopóki będą zachowane ściśle ograniczenia dotyczące ich stosowania.

I czy to się podobało, czy nie, roboty stawały się coraz bardziej niezbędne, gdyż populacja ludzi na Ziemi zaczęła w owym czasie maleć. Po długiej udręce, jaką był dwudziesty wiek, przyszły czasy względnego spokoju, harmonii, a nawet — przynajmniej w pewnym stopniu — rozsądku. Świat stał się miejscem spokojniejszym i szczęśliwszym. Było coraz mniej ludzi, nie z powodu strasznych wojen czy plag, lecz dlatego, że rodziny nie miały już tyle dzieci, przedkładając jakość nad ilość. Dodatkowym czynnikiem zmniejszającym liczbę ludności były migracje do nowo zasiedlonych światów:

rozległych podziemnych osad na Księżycu, kolonii na asteroidach oraz księżycach Jowisza i Saturna, a także sztucznych planet na orbitach Ziemi i Marsa.

A poza tym nikt już nie niepokoił się możliwością utraty pracy na korzyść robota. Strach przed brakiem zatrudnienia ustąpił miejsca problemowi braku siły roboczej. Nagle roboty, na które kiedyś spoglądano z takim niepokojem, a nawet nienawiścią, stały się niezbędne dla utrzymania porządku i dobrobytu. Ten świat zapewniał, co prawda, wszystkie materialne dobra, ale nie miał dość siły roboczej do zamiatania ulic, prowadzenia taksówek, gotowania posiłków i palenia w piecach.

W takiej właśnie epoce, epoce zmniejszającej się liczby ludności i rosnącego dobrobytu, wyprodukowano NDR-113, późniejszego Andrew Martina. Roboty mogły już całkiem legalnie przebywać na Ziemi, lecz w dalszym ciągu obowiązywały w stosunku do nich surowe przepisy i wciąż nie spotykano ich powszechnie na ulicach. Dotyczyło to zwłaszcza tych robotów, które zaprogramowano do zwykłych prac domowych. A to, przede wszystkim, miał na myśli Gerald Martin, zamawiając NDR-113.

W tamtych czasach mało kto miał w domu służącego-robota. Dla większości ludzi było to zbyt przerażające, a przede wszystkim za drogie.

Ale Gerald Martin nie był byle kim. Był członkiem Legislatury Regionalnej, i to bardzo wpływowym. Piastował stanowisko przewodniczącego Komitetu Nauki i Techniki i cieszył się powszechnym szacunkiem oraz wielkim autorytetem. Był człowiekiem o potężnej sile umysłu i charakteru. To, co Gerald Martin postanowił osiągnąć, nieuchronnie osiągał. A to, co Gerald Martin chciał zdobyć, nieodmiennie zdobywał. Wierzył w roboty; wiedział, że do nich należy przyszłość i że w końcu staną się nierozzerwalnie związane z ludzkością, i to w każdej dziedzinie.

Korzystając z pozycji, jaką zajmował w Komitecie Nauki i Techniki, sprawił, że roboty stały się częścią jego prywatnego życia i życia jego rodziny. Uzasadnił to przedsięwzięcie chęcią dokładniejszego zrozumienia zjawiska, jakim byli mechaniczni ludzie i chęcią służenia pomocą kolegom z Legislatury Regionalnej, borykającym się z problemami, które niosła ze sobą nadchodząca era robotyki. Dzielnie i wspaniałomyślnie, Gerald Martin zaoferował swe usługi jako podmiot eksperymentu i przyjął pod swój dach małą grupę robotów domowych.

Pierwsze z nich były prostymi urządzeniami przeznaczonymi do ściśle określonych zadań. Miały w przybliżeniu humanoidalną sylwetkę, lecz niewiele, jeśli w ogóle cokolwiek, do powiedzenia. Krzątały się cicho i skutecznie wokół własnych spraw niczym maszyny, którymi w istocie były. Na początku Martinowie czuli się przy nich nieswojo, lecz bardzo szybko zaczęli traktować je jak wyposażenie swego gospodarstwa, nie interesując się nimi bardziej niż tosterem czy odkurzaczem.

I wtedy...

— To jest NDR-113 — oświadczył Gerald Martin pewnego chłodnego i wietrznego

czerwcowego popołudnia, gdy samochód dostawczy wtoczył się na długi podjazd jego imponującej posiadłości i uwolnił ze swego wnętrza błyszczącego mechanicznego człowieka. — Nasz prywatny robot domowy. Rodzinny służący.

— Jak go nazwałeś? — zapytała Amanda.

Amanda była młodszą córką Martina, małą złotowłosą dziewczynką o niebieskich oczach, która właśnie zaczynała się uczyć sztuki czytania i pisania.

— NDR-113.

— To... to jest jego imię?

— Właściwie to jego numer seryjny.

— En, de, er. — Amanda zmarszczyła brwi. — Ender 113. To bardzo dziwne imię.

— To numer seryjny — powtórzył Gerald Martin.

Ale Amanda już go nie słuchała.

— Ender. Nie możemy go tak nazywać. Wcale nie ma takiego imienia, tato. To zupełnie nie brzmi jak imię.

— Posłuchaj, co ona wygaduje — odezwała się Melissa Martin. Była pięć lat starsza od Amandy, miała ciemne włosy, piwne oczy i uważała się już za kobietę. Amanda była tylko dzieckiem i dlatego Melissa traktowała ją trochę jak głuptasa. — Nie podoba jej się numer seryjny robota.

— En, de, er — powtórzyła raz jeszcze Amanda starannie, ignorując słowa Melissy. — To nie jest dobre. Naprawdę nie jest. A może nazwiemy go Andrew?

— Andrew? — zdziwił się Gerald Martin.

— Jest tutaj „en”, prawda? I „d”? — Amanda wyglądała przez moment dość niepewnie. — Na pewno są. I „r” też jest. Jestem pewna. En, d, r. Andrew.

— Och, słyszysz ją? Tylko posłuchaj — prychnęła pogardliwie Melissa.

Gerald Martin uśmiechnął się. Dobrze wiedział, że przerabianie liter z numeru seryjnego na imię nie jest niczym niezwykłym. Robot serii JN stawał się Johnem lub Jane, RG często nazywano imieniem Archie, a QT — Cutie. Cóż, ten robot należał do serii NDR i Amanda chciała nazwać go Andrew. Świetnie. W porządku. Gerald Martin stosował metodę polegającą na tym, by pozwalać Amandzie na wszystko, co uważała dla siebie za najlepsze. W pewnych granicach, oczywiście.

— Bardzo dobrze — powiedział. — Niech będzie Andrew.

I tak zostało. Zostało tak bardzo, że przez całe lata nikt z rodziny Martinów nie nazwał Andrew już nigdy więcej NDR-113. Z czasem zupełnie zapomnieli o jego numerze seryjnym i gdy Andrew potrzebował konserwacji, trzeba było sprawdzać dane w dokumentach. Nawet sam Andrew utrzymywał, że o nim zapomnieli. Naturalnie, nie była to cała prawda. Bez względu na to, ile czasu minęło, nie mógł zapomnieć o niczym, jeśli tylko chciał to pamiętać.

Ale czas mijał i Andrew zaczął się zmieniać. Miał coraz mniejszą ochotę na to, by pa-

miętać o swoim numerze seryjnym. Ukrył go gdzieś głęboko, w najdalszych zakamarkach swego banku pamięci, i już nigdy nie próbował go tam odszukać. Nazywał się teraz Andrew, Andrew Martin, Andrew z rodziny Martinów.

Był wysoki, szczupły i pełen gracji, bo właśnie w ten sposób zaprojektowano roboty serii NDR. Poruszał się cicho i dyskretnie po wspaniałym domu Martinów i sprawnie wypełniał wszystkie polecenia gospodarzy.

A był to dom stary, pochodzący z minionej epoki; wielka i majestatyczna rezydencja na wzgórzu, z której rozciągał się widok na bezmiar wód Pacyfiku. Posiadłość taka wymagała olbrzymiej liczby służących, ale w tych czasach nie było już oczywiście żadnych służących z wyjątkiem robotów, i zanim Gerald Martin przystąpił do eksperymentu z robotami, stanowiło to nie lada problem. A teraz dwa roboty-ogrodnicy pielęgnowały lśniące świeżą zielenią trawniki, przycinały przepiękne żywopłoty ognistoczerwonych azalii i obrywały martwe liście z olbrzymich palm rosnących za domem. Robot-sprzątacznik usuwał pajęczyny i kurz, a Andrew służył za kamerdynera, lokaja, pokojówkę i szofera. Przygotowywał posiłki, wybierał i nalewał wina, które tak lubił Gerald Martin, zajmował się garderobą całej rodziny, dbał o wspaniałe meble, dzieła sztuki i setki innych pięknych przedmiotów.

Oprócz tego Andrew miał jeszcze jeden obowiązek, który w zasadzie zajmował mu większość czasu przeznaczonego na codzienne obowiązki domowe.

Posiadłość Martinów — nie można było nazwać tego inaczej jak wielką posiadłością — stała samotnie na pięknym wzgórzu górującym nad błękitnym chłodem oceanu. W pobliżu było wprawdzie małe miasteczko, ale znajdowało się ono w dość znacznej odległości. Najbliższe zaś wielkie miasto, San Francisco, leżało daleko na wybrzeżu. W tych czasach miasta zaczynały już być niemodne. W każdym razie ludzie woleli porozumiewać się elektronicznie i stawiać swe domy w dużej odległości od innych posiadłości. Tak więc córki Martina nie miały zbyt wielu towarzyszy zabaw w swym wielkim i wspaniałym odosobnieniu.

Miały jednakże Andrew.

Pierwszą osobą, która wymyśliła, jak najlepiej to wszystko urządzić, była Miss.

Tym właśnie mianem Andrew niezmiennie nazywał Melissę. Nie dlatego, że nie potrafił wypowiedzieć jej imienia, lecz dlatego, iż zwracanie się do niej w tak poufały sposób wydawało mu się niewłaściwe. Amanda była zawsze Małą Miss. Nigdy inaczej. Panią Martin, która miała na imię Lucie, Andrew nazywał po prostu Panią, a Geralda Martina — Sir. Zresztą Gerald Martin należał do osób, do których wielu ludzi, nie tylko roboty, wołało zwracać się: Sir. Tych, którzy mówili do niego: Gerald było naprawdę niewiele, a nazywanie go Jerryem w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Miss szybko zrozumiała, jaki pożytek można odnieść z posiadania w domu robota. Chodziło o wykorzystanie Drugiego Prawa.

— Andrew — powiedziała — rozkazujemy ci, byś przestał robić to, co teraz robisz, i pobawił się z nami.

W tym właśnie momencie Andrew układał w bibliotece Martinów książki, które — tak jak to zwykle bywa z książkami — nieco zmieniły swój alfabetyczny porządek.

Zamarł na chwilę i spojrział w dół z wysokiej mahoniowej półki, znajdującej się między dwoma wielkimi oknami w północnej części pokoju.

— Bardzo mi przykro, Miss — powiedział łagodnie. — Jestem teraz zajęty wykonywaniem polecenia twojego ojca. Rozkaz pana był pierwszy i ma pierwszeństwo.

— Słyszałam, co tatuś ci powiedział — odparła Miss. — Powiedział: „Chciałbym, Andrew, abyś zajął się książkami. Ułóż je w jakiś sensowny sposób”. Czy tak było?

— Tak, właśnie tak powiedział.

— Zatem, jeśli powiedział, że chciałby, abyś zajął się książkami — a nie zaprzeczasz, że tak właśnie było — to nie był to wcale rozkaz, prawda? Raczej propozycja... hmm... sugestia. A sugestia nie jest rozkazem. Propozycja też nie. Andrew, rozkazuję ci: zostaw te książki tam, gdzie są, i zabierz Amandę i mnie na spacer wzdłuż plaży.

Było to doskonale zastosowanie Drugiego Prawa. Andrew odłożył natychmiast książki i zszedł z drabiny. Sir był głową domu, lecz w sensie formalnym nie wydał właściwie rozkazu, a Miss tak. Z pewnością tak. A rozkaz istoty ludzkiej mieszkającej pod tym dachem, nawet tak małej i młodej, miał pierwszeństwo nad zwykłym wyrażeniem sugestii ze strony jakiegoś innego człowieka, nawet jeśli był nim Sir we własnej osobie.

Nie chodziło o to, że Andrew miał z tym jakiś problem. Lubił Miss, a Małą Miss nawet bardziej. A przynajmniej obie wywoływały u niego takie reakcje, które u ludzi można by nazwać sympatią. Andrew nazywał to lubieniem, ponieważ nie znał innego terminu na to, co czuł do dziewczynek. Z pewnością coś czuł. Było to trochę dziwne, ale podejrzewał, że zdolność do lubienia została wbudowana w jego obwody tak samo jak inne umiejętności. A więc jeśli chciały, by się z nimi pobawił, zrobi to z radością, pod warunkiem oczywiście że będzie to zgodne z Trzema Prawami Robotyki.

Ścieżka prowadząca na plażę była stroma, kręta, pokryta kamieniami, norami susłów i innymi kłopotliwymi przeszkodami. Nikt inny poza Miss i Małą Miss nie korzystał z niej zbyt często, ponieważ sama plaża nie była również niczym innym jak dzikim piaszczystym wybrzeżem, pełnym kawałków drewna i wodorostów, które wyrzuciło wzburzone morze. Poza tym ocean w tej części Kalifornii był zbyt zimny, by można było kąpać się w nim bez kombinezonu. Jednak dziewczynki kochały ten jego zimny, posępny i wietrzny urok.

Gdy schodzili w dół, Andrew trzymał Miss za rękę, a Małą Miss niósł na drugim ramieniu. Bardzo prawdopodobne, że obie pokonałyby ścieżkę bez żadnych niespodziewanych przygód, ale Sir był w tej sprawie nieprzejednany.

— Andrew, pilnuj, żeby nie biegały ani nie skakały. Jeśli potkną się o coś w jakimś

nieodpowiednim miejscu, spadną pięćdziesiąt stóp w dół. Nie mogę ich powstrzymać przed chodzeniem tamtędy, więc chcę, abyś był z nimi przez cały czas i uważał, żeby nie zrobiły czegoś głupiego. To rozkaz.

Andrew wiedział, że pewnego dnia Miss, a może nawet Mała Miss, odwoła ten rozkaz i każe mu trzymać się z daleka. Wtedy w jego pozytronowym mózgu wytworzy się ogromne natężenie sprzeczności, z którymi bez wątpienia będzie miał wiele kłopotu.

Naturalnie rozkaz, który wydał Sir, w końcu przeważy, gdyż ze względu na elementy Pierwszego i Drugiego Prawa Robotyki, które w sobie zawiera, będzie miał pierwszeństwo. Niemniej jednak Andrew zdawał sobie sprawę, że gdy pojawi się konflikt między poleceniem pana a kaprysem dziewczynek, jego obwody będą przeciążone bardziej niż kiedykolwiek.

Na razie Miss i Mała Miss z przyjemnością stosowały się do przyjętych reguł. Ostrożnie, krok po kroku, Andrew schodził w dół po stromym klifie, holując za sobą obie dziewczynki.

Gdy dotarli na miejsce, puścił rękę Miss, a Małą Miss postawił na wilgotnym piasku. Natychmiast zerwały się do biegu i pomknęły radośnie wzdłuż brzegu wzburzonego morza.

— Wodorosty! Wodorosty! — krzyknęła Miss, chwytając grubą, zielonobrazową i lepłą roślinę, która była prawie tak duża jak ona sama, i zaczęła wymachiwać nią jak biczem. — Andrew, spójrz, jakie ogromne!

— A zobacz ten kawałek drewna — zauważyła Mała Miss. — Czyż nie jest piękny, Melisso?

— Może dla ciebie — odparła z wyższością starsza z dziewcząt. Wzięła sękatę i pokrzywione drewno z rąk Małej Miss, przyjrzała mu się pobieżnie i odrzuciła na bok, wzruszając przy tym ramionami. — Och, coś tam na nim rośnie.

— To jakieś inne wodorosty — stwierdziła Mała Miss. — Prawda? — Podniosła odrzucony kawałek drewna i wręczyła go Andrew.

— Tak — odparł. — To algi.

— Algi?

— To naukowa nazwa wodorostów.

— Ach, algi — roześmiała się Mała Miss i położyła drewnienko przy ścieżce, tak by nie zapomnieć go zabrać w drodze powrotnej do domu. Potem znowu pomknęła na plażę, biegnąc za starszą siostrą przez spienione fale.

Andrew bez trudu dotrzymywał im kroku. Nie zamierzał pozwolić, by za bardzo się oddaliły.

Nie potrzebował żadnych specjalnych rozkazów, by chronić dziewczynki; zajęło się tym Pierwsze Prawo. Ocean był nie tylko piękny w swym ponurym majestacie, lecz także wyglądał nadzwyczaj niebezpiecznie. Prądy podwodne były bardzo silne, woda nie-

znośnie zimna niemal o każdej porze roku, a w odległości mniejszej niż pięćdziesiąt metrów od brzegu wystawały spod spienionych bałwanów wielkie kły morderczej rafy. Jeśli dziewczynki zrobiłyby choć jeden krok w kierunku morza, Andrew natychmiast byłby przy nich.

Ale Miss i Mała Miss miały dość rozumu, by nie chcieć się kąpać w tych straszliwych odmętach. Linia brzegowa biegnąca wzdłuż tej części Pacyfiku była godna podziwu w swym surowym i ponurym pięknie. Jednak samo morze, zawsze gniewne i wzburzone, było wrogiem dla tych wszystkich, którzy się w nim nie urodzili, i nawet małe dziecko od razu to rozumiało.

Miss i Mała Miss brodziły w kałużach pozostałych po przypływie i przyglądały się czarnym ślimakom, szarozielonym mięczakom, różowym anemonom i tysiącom małych, ruchliwych raków, poszukując rozgwiazdy, jak zwykle zresztą z małym powodzeniem. Andrew stał w pobliżu, gotowy ruszyć z pomocą, w razie gdyby jakaś nieoczekiwana fala pomknęła bez ostrzeżenia w kierunku brzegu. Wprawdzie dzisiaj morze było dość spokojne, lecz groźne fale miały tutaj skłonność do pojawiania się znikąd.

— Andrew, czy ty umiesz pływać? — zapytała nagle Miss.

— Zrobiłbym to, gdyby zaszła taka potrzeba.

— Nie wywołałoby to spięcia w twoim mózgu lub czegoś w tym rodzaju? Oczywiście gdyby dostała się tam woda.

— Jestem dobrze izolowany — odparł Andrew.

— To dobrze. Popłyn więc do tej szarej skały i z powrotem... Tam, gdzie mają gniazdo kormorany. Chcę zobaczyć, jak szybko potrafisz to zrobić.

— Melissa — powiedziała Mała Miss z niepokojem.

— Cicho, Amando. Chcę, by Andrew tam popłynął. Może znajdzie jajo kormorana i przyniesie, by je nam pokazać.

— Nie powinno się ruszać gniazda, Miss — zauważył łagodnie Andrew.

— Powiedziałam, że chcę, byś tam popłynął.

— Melissa — odezwała się znowu Mała Miss, lecz tym razem ostrzej.

Ale Miss była nieugięta. To był rozkaz. Andrew poczuł pierwsze oznaki sprzecznych potencjałów: słabe drżenie w końcówkach palców i ledwo wyczuwalny zawrót głowy. Rozkazy były po to, by je wykonywać; tak stanowiło Drugie Prawo. Miss mogła rozkazać, aby popłynął do Chin, i Andrew musiałby to zrobić bez chwili wahania, gdyby nie kierowały nim inne względy. Jednakże miał chronić dziewczynki. A jeśli przydarzy im się coś nieoczekiwanego, gdy on będzie w drodze do skały kormoranów? Nagła fala, kamienna lawina, a nawet trzęsienie ziemi. Trzęsienia ziemi nie zdarzały się tu co prawda codziennie, lecz mogły przecież nastąpić w każdej chwili.

Pierwsze prawo było najważniejsze.

— Bardzo mi przykro, Miss. Nie ma tu nikogo dorosłego, więc nie mogę zostawić was

samych. Gdyby byli z nami Sir lub Pani, to co innego, ale tak...

— Nie rozpoznajesz rozkazu? Chcę, żebyś tam popłynął, Andrew.

— Tak jak już tłumaczyłem, Miss...

— Nie musisz się o nas martwić. Nie jestem dzieckiem, Andrew. Myślisz, że jakiś straszny wilkołak przyjdzie na plażę i połknie nas, gdy ty będziesz w wodzie? Dziękuję bardzo, ale potrafię o siebie zadbać i zajmę się również Amandą, jeśli będę musiała.

— To nie w porządku, Melisso — odezwała się Mała Miss. — On ma przecież rozkazy od tatusia.

— A teraz ma rozkazy ode mnie. — Miss machnęła stanowczo ręką. — Andrew, popłynij do skały kormoranów. Ruszaj.

Andrew poczuł niewielkie ciepło i nakazał swym obwodom dokonanie homeostaticznej korekty.

— Pierwsze Prawo...

— Ależ jesteś nudny! Razem z tym swoim Pierwszym Prawem! — krzyknęła Melissa. — Nie możesz na chwilę o nim zapomnieć? Nie, ty nie możesz tego zrobić, prawda? Masz w sobie zakodowane jakieś głupie prawa i nic poza tym. Jesteś niczym więcej, jak tylko głupią maszyną.

— Melissa! — przerwała jej z oburzeniem Mała Miss.

— Tak, to prawda — odparł Andrew. — Masz rację: jestem niczym więcej, jak tylko głupią maszyną. Dlatego też nie potrafię odwołać rozkazu twojego ojca, dotyczącego waszego bezpieczeństwa na plaży. — Andrew skłonił się lekko w stronę Melissy. — Bardzo żałuję, Miss.

— Melisso, jeśli tak bardzo chcesz zobaczyć, jak Andrew pływa, to dlaczego nie każesz mu po prostu wejść do wody i popływać blisko brzegu? — zapytała Melissa. — Chyba nie będzie w tym nic złego, prawda?

— Ale to nie to samo — stwierdziła Miss, nadymając wargi. — Zupełnie nie to samo.

Lecz Andrew pomyślał, że być może to ją zadowoli. Bardzo nie lubił być przyczyną niezgody.

— Pozwól, że ci pokażę — powiedział.

Wszedł do wody. Spieniona fala zakotłowała się gwałtownie wokół jego kolan, lecz Andrew nastawił odpowiednio swoje żyroskopowe stabilizatory, które z łatwością oparły się nacierającym falom. Ostre odłamki skał pokrywających dno morza nie były żadną przeszkodą dla jego metalowych stóp. Sensory poinformowały go, że temperatura wody jest za niska dla ludzi, lecz to również było nieistotne.

Cztery, pięć metrów dalej morze było na tyle głębokie, że Andrew mógł pływać, a był dość blisko brzegu, by w razie potrzeby znaleźć się szybko na lądzie. Wątpił jednak, by to okazało się konieczne. Dziewczynki stały obok siebie i przyglądały się mu z podzi-

wem i fascynacją.

Andrew nigdy przedtem nie pływał. Nie miał ku temu najmniejszego powodu. Ale ponieważ został zaprogramowany, by w każdych okolicznościach poruszać się z gracją, opracowanie odpowiednich ruchów, potrzebnych do poruszania się tuż pod powierzchnią wody, zajęło mu nie więcej niż jedną mikrosekundę: poruszał rytmicznie nogami, unosił ramiona i zagarniał wodę dłońmi. Płynął zgrabnie i sprawnie wzdłuż brzegu jakieś dwanaście metrów, a potem zawrócił. Całe przedsięwzięcie trwało zaledwie kilka chwil, lecz wywarło na Miss oczekiwane wrażenie.

— Jesteś wspaniałym pływakiem, Andrew — powiedziała z błyszczącymi oczami. — Jestem pewna, że pobiliś wszystkie rekordy, gdybyś kiedykolwiek wziął udział w zawodach pływackich.

— Nie ma zawodów pływackich dla robotów — odparł poważnie Andrew.

Miss zachichotała.

— Miałam na myśli zawody dla ludzi! Na przykład olimpiada.

— Och, Miss! To nie byłoby w porządku, gdyby pozwolono robotowi wziąć udział w igrzyskach! To się nigdy nie zdarzy.

Miss zastanawiała się nad tym przez chwilę.

— Przypuszczam, że nie — powiedziała w końcu i tęsknie spojrzała w stronę skały kormoranów. — Jesteś pewien, że tam nie popłyniesz? Założę się, że w dwie minuty będziesz z powrotem. Co mogłoby się zdarzyć w ciągu dwóch minut?

— Melissa — powiedziała raz jeszcze Mała Miss.

— Całkowicie rozumiem twoje pragnienie, Miss, ale nie mogę go spełnić. Bardzo żałuję.

— Och, w porządku. Przykro mi, że o to prosiłam.

— Wcale nie jest ci przykro — stwierdziła Mała Miss.

— Jest.

— Nazwałaś Andrew głupią maszyną! To nie było miłe!

— Ale przecież to prawda — stwierdziła Miss. — Sam powiedział, że to prawda!

— Andrew chyba jest maszyną — przyznała Mała Miss — ale na pewno nie jest głupi. Ale i tak byłaś nieuprzejma.

— Nie muszę być uprzejma dla robotów. To tak, jakbyś była uprzejma dla telewizora.

— To co innego! — Mała Miss nie ustępowała. — To zupełnie co innego!

Potem rozplakała się, a Andrew musiał unieść ją do góry nogami i kręcić nią tak długo, aż oszołomiona bezchmurnym bezkresem nieba i dziwnością widzianego odwrotnie oceanu, zapomniała o przyczynie swego smutku.

Chwilę później, gdy Mała Miss stała znowu na ziemi, starsza z siostr podeszła do Andrew.

— Przepraszam za to, co powiedziałam — szepnęła skruszonym głosem.

— Wszystko w porządku, Miss.

— Wybaczysz mi? Wiem, że nie byłam miła. Naprawdę chciałam, żebyś tam popłynął i nie pomyślałam, że nie wolno ci zostawić nas tu samych. Bardzo mi przykro, Andrew.

— Nie ma potrzeby przeproszać, Miss. Naprawdę.

I nie było. Jak robot mógłby poczuć się obrażony z powodu czegoś, co powiedziała lub zrobiła istota ludzka? Jednak w tej chwili Andrew uważał, że lepiej będzie jej o tym nie mówić. Jeśli Miss odczuwa potrzebę przeproszenia, on musi tę potrzebę zaspokoić, nawet jeśli okrutne słowa dziewczynki w żaden sposób go nie poruszyły.

Absurdem byłoby zaprzeczać, iż nie jest maszyną. Tym właśnie przecież był.

A co do bycia głupią maszyną, cóż... Nie miał zupełnie pojęcia, o co jej może chodzić. Był w końcu wystarczająco inteligentny, by wykonywać zadania, do których go przeznaczono. Bez wątplenia istniały roboty bardziej inteligentne od niego, ale nigdy ich nie spotkał. A może miała na myśli to, że jest mniej inteligentny niż ludzie? Ten problem nie miał jednak dla niego znaczenia. Nie znał żadnego sposobu porównania inteligencji robota z inteligencją człowieka. Zarówno ilościowo, jak i jakościowo, ich sposoby myślenia były dwoma całkiem różnymi procesami. Co do tego wszyscy byli zgodni.

Wkrótce zerwał się chłodny wiatr. Targał ubraniami dziewczynek i wzbudzał tumany piasku, rzucając je w ich twarze i błyszczący korpus Andrew. Dziewczynki zdecydowały więc, że mają już dość zabawy na plaży.

Ruszyli w kierunku ścieżki. Mała Miss podniosła kawałek drewna, który tam położyła, i wetknęła go sobie za pasek. Zawsze kolekcjonowała takie dziwne małe skarby.

Tego wieczoru, gdy nie było już nic do roboty, Andrew poszedł z własnej woli na plażę i popłynął do wyspy kormoranów, by się przekonać, ile czasu mu to zajmie. Pomimo ciemności zrobił to sprawnie i szybko. Zdał sobie sprawę, że dokonałby tego bez narażania Miss i Małej Miss na jakiegokolwiek wielkie niebezpieczeństwo. Nie chodziło o to, że by to zrobił, ale o to, że było to możliwe.

Nikt go nie prosił, aby płynął nocą do skały kormoranów. Była to tylko i wyłącznie jego własna inicjatywa. A ściślej, ciekawość.

ROZDZIAŁ 3

Nadszedł dzień, kiedy Miss obchodziła urodziny. Andrew wiedział już, że obchody urodzin są ważnym wydarzeniem w życiu człowieka. Była to uroczystość, którą obchodzono na pamiątkę dnia, gdy dana osoba opuściła łono swej matki.

Andrew uważał, że uznanie tego dnia za szczególnie ważny jest co najmniej dziwne. Wiedział co nieco o ludzkiej biologii i wydawało mu się, że odpowiedniejsze byłoby skupienie się na momencie tworzenia organizmu, gdy plemnik łączy się z komórką jajową i zaczyna się proces podziału komórkowego. Z pewnością to był prawdziwy moment tworzenia i źródło pochodzenia każdej istoty.

Nie ulegało wątpliwości, iż nowy człowiek jest już obdarzony życiem, mimo że jeszcze przez dziewięć miesięcy nie jest zdolny, by funkcjonować poza łonem matki. Nie był też zdolny samodzielnie żyć natychmiast po opuszczeniu organizmu matki. Dlatego też Andrew nie widział specjalnej różnicy między okresem zaraz po urodzeniu, jak i tuż przed nim, tak więc wyróżnianie momentu narodzin miało dla niego niewiele sensu.

On sam był gotowy do wykonywania wszystkich swoich programów w momencie, gdy zakończona została ostatnia faza jego montażu, a obwody pozytronowe zaczęły działać. Nowo narodzone dziecko nie było jednak w stanie tego dokonać. Andrew nie widział żadnej istotnej różnicy między płodem, który przeszedł już wszystkie etapy rozwoju zarodkowego, lecz pozostawał wciąż w ciele matki, a tym samym płodem dzień lub dwa później, gdy już je opuścił. Raz był w środku, a zaraz potem na zewnątrz. To wszystko. Oba były jednakowo bezradne. Dlaczego więc nie świętować rocznicy poczęcia zamiast momentu wydostania się z łona matki?

Im więcej się na tym zastanawiał, tym bardziej rozumiał, że w obu wypadkach była pewna logika. Na przykład jaki moment on by wybrał na swoje urodziny, założywszy oczywiście, że robot odczuwałby potrzebę obchodzenia swych urodzin? Czy dzień, w którym fabryka zaczęła go składać? A może dzień, gdy zainstalowano mu mózg pozytronowy i wprowadzono dane pozwalające kontrolować resztę ciała? Czy „narodził” się wtedy, gdy złożono poszczególne części pancerza? Czy wtedy, gdy zainstalowano mu

będący unikatem zestaw receptorów, które stanowiły o istocie NDR-113?

Sam pancierz nie był nim, Andrew, czymkolwiek by był. On to mózg pozytronowy. A może połączenie mózgu z ciałem, które zaprojektowano po to, by go pomieścić. Tak więc jego urodziny...

Och, to takie pogmatwane! A przecież roboty nie powinny odczuwać zakłopotania. Ich pozytronowe mózgi były bardziej skomplikowane od prostych cyfrowych „umysłów” zwykłych komputerów, które działały jedynie w sztywnej binarnej rzeczywistości i operowały przykładami na tak i nie. I ta właśnie złożoność pozytronowych mózgów prowadziła czasami do konfliktu potencjałów. Niemniej jednak roboty były istotami, których działanie opierało się na logice, i dlatego potrafiły rozwiązywać takie konflikty, zazwyczaj poprzez sortowanie danych w odpowiedni, sensowny sposób. Dlaczego zatem miał tyle problemów ze zrozumieniem tak prostej sprawy, jak obchodzenie dnia urodzin?

Ponieważ urodziny są czysto ludzkim pojęciem, odpowiedział sam sobie, które nie ma dla robotów żadnego znaczenia. A ty nie jesteś człowiekiem, więc nie musisz się martwić o to, kiedy powinieneś obchodzić swoje urodziny.

Tak czy inaczej, były to urodziny Miss. Sir dołożył wszelkich starań, by tego dnia być wcześniej w domu, mimo że Legislatura Regionalna zaprzątnięta była akurat sprawą międzyplanetarnych stref wolnościowych. Wszyscy członkowie rodziny, w odświętnych strojach, zebrali się w jadalni wokół wielkiego wypolerowanego stołu z sekwojowego drewna. Zapalono świece, a Andrew usługiwał przy stole, podając wykwintny obiad, na którego planowaniu spędzili z Panią całe godziny. Wkrótce Miss otrzymała prezenty i natychmiast je otworzyła. Najwidoczniej, pomyślał Andrew, nowe przedmioty ofiarowane przez innych są najważniejszym momentem urodzinowych obchodów.

Obserwował wszystko uważnie, niewiele jednak z tego rozumiał. Wiedział, że ludzie przywiązują ogromną wagę do posiadania różnych przedmiotów, zwłaszcza tych, które należały tylko do nich, ale trudno było zrozumieć, jaką dokładnie przedstawiały dla nich wartość.

Mała Miss, która nauczyła się czytać zaledwie rok lub dwa lata temu, wręczyła swej siostrze książkę. Nie kasetę, nie infodysk, ani też holosześcian, ale prawdziwą książkę z okładką i zszywanymi kartkami. Mała Miss przepadała za książkami. Miss również, szczególnie za poezją, która była formą zapisywania rzeczy za pomocą zagadkowych fraz ułożonych w nierówne linie. Andrew uważał to zjawisko za wielce tajemnicze.

— Och, cudownie! — krzyknęła Miss, rozpakowując wręczoną jej książkę. — To *Rubaiyat* Omara Khayama! Zawsze chciałam to mieć! Skąd wiedziałas, że coś takiego w ogóle istnieje? Kto ci o tym powiedział, Amando?

— Czytałam o tym — odparła Mała Miss, zerkając lekko w bok speszonym wzrokiem. — Myślisz, że o niczym nie wiem tylko dlatego, że jestem pięć lat młodsza od cie-

bie. Ale coś ci powiem, Melisso...

— Dziewczeta, dziewczeta — powiedział Sir ostrzegawczo. — Nie kłóćmy się przy urodzinowym obiedzie!

Następny prezent, który otworzyła Miss, był od matki: przepiękny kaszmirowy sweter, biały i puszysty. Dziewczynka była tak podekscytowana, że włożyła go zaraz na to, co miała na sobie.

A potem otworzyła małą paczuszkę, która była prezentem od ojca, i westchnęła głęboko. Sir kupił jej wspaniały wisiorek z różowej kości słoniowej, przyozdobiony zawyłymi wzorami. Zdobienia były tak delikatne, misterne i piękne, że nawet Andrew przyglądał się im uważnie swym doskonałym wzrokiem, śledząc z zainteresowaniem żłobienia i linie, które splatały się wzajemnie. Miss była zachwycona. Ostrożnie podniosła wisiorek za cienki złoty łańcuszek i przełożyła go przez głowę. Poprawiała go długo z wielką starannością, aż w końcu znalazł się dokładnie na środku jej nowego sweterka.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Melisso — powiedział Sir. Zaraz też dołączyła do niego Pani, a potem Mała Miss i wszyscy zaśpiewali urodzinową piosenkę. Pani zaintonowała ją raz jeszcze i kiwnęła zachęcająco na Andrew, który dołączył do pozostałych.

Przez moment zastanawiał się, czy również powinien wręczyć Melissie jakiś prezent. Nie, pomyślał, ona nie sprawia wrażenia, że tego oczekuje. Dlaczego miałby to zrobić? Nie był przecież członkiem rodziny. Był częścią wyposażenia gospodarstwa domowego. Dawanie urodzinowych prezentów było wyłącznie ludzką domeną.

Obiad był wspaniały. Tylko jeden cień kładł się na tej pięknej uroczystości, a to za sprawą Małej Miss, która wyraźnie zazdrościła swej siostrze cudownego wisiora.

Oczywiście dziewczynka starała się to ukryć za wszelką cenę. Przecież był to w końcu urodzinowy obiad jej starszej siostry i nie chciała go popsuć. Ale w trakcie uroczystości Mała Miss rzucała ukradkowe spojrzenia na wisiorek, który rzucał ze sweterka ciepłe, różowozłote błyski. Andrew nie miał wątpliwości, że Mała Miss jest w tej chwili bardzo nieszczęśliwa.

Bardzo chciał zrobić coś, co mogłoby ją pocieszyć. Ale cała ta kwestia urodzin, prezentów, sióstr, zazdrości i innych tego typu ludzkich spraw — wszystko to wykraczało poza jego możliwości pojmowania. Był doskonałym robotem w zakresie, w jakim go zaprojektowano, a jego twórcy nie uznali widocznie za stosowne, by dać mu możliwość zrozumienia, dlaczego pewna mała dziewczynka mogłaby czuć się rozdrażniona z powodu pięknego przedmiotu, który podarowano innej małej dziewczynce z okazji urodzin.

Jednak mniej więcej dwa dni później Mała Miss przyszła do Andrew i zapytała:

— Mogę z tobą porozmawiać, Andrew?

— Oczywiście, że możesz.

— Podobał ci się wisiołek, który tatuś podarował Melissie?
— Zdaje się, że jest piękny.
— Bo jest piękny. To najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.
— Tak, jest dość ładny — powiedział Andrew. — Jestem pewien, że Sir podaruje ci na urodziny coś równie pięknego.

— Moje urodziny są za trzy miesiące — odparła Mała Miss tonem tak smutnym, jakby od tego momentu dzieliła ją cała wieczność.

Andrew czekał, nic nie mówiąc, niepewny, dokąd ta rozmowa ma prowadzić.

A potem Mała Miss poszła do szafki, w której schowała przyniesiony z plaży kawałek drewna, i wręczyła go Andrew.

— Czy zrobisz dla mnie wisiołek? Z tego?

— Drewniany wisiołek?

— Cóż, nie mam pod ręką kości słoniowej. Ale to piękne drewno. Umiesz rzeźbić, prawda? A przynajmniej mógłbyś się nauczyć, jak przypuszczam.

— Jestem pewien, że moje techniczne umiejętności sprostają temu zadaniu. Ale będę potrzebował narzędzi i...

— Proszę bardzo — rzekła Mała Miss.

Wzięła z kuchni mały nożyk i podała go ostrożnie, jakby wręczała mu cały zestaw chirurgicznych skalpeli.

— To powinno wystarczyć. Wierzę w ciebie, Andrew.

A potem ujęła jego metalową dłoń w swą małą rączkę i uścisnęła ją.

Tej nocy, w zaciszu pokoju, gdzie zazwyczaj przebywał po wypełnieniu obowiązków domowych, przez niemal kwadrans Andrew studiował z uwagą kawałek wyrzuconego przez morze drewna, analizował jego strukturę, gęstość, załamania i krzywizny. Zbadał także nóż, próbując go na kawałku drewna, który znalazł w ogrodzie. A potem zastanawiał się nad rozmiarem wisiora, który pasowałby do wzrostu dziewczynki; na razie była bardzo mała, ale z pewnością taka nie pozostanie.

W końcu odciął kawałek drewna. Było bardzo twarde, ale siła fizyczna Andrew była iście robocia. Jediną wątpliwość stanowił nóż: Andrew nie był pewien, czy wytrzyma całe to przedsięwzięcie. Wytrzymał.

Przyjrzał się uważnie odciętemu kawałkowi. Trzymał go przed sobą, obracał na wszystkie strony, wodził palcami po jego powierzchni. Potem zamknął oczy i wyobraził sobie, jak wyglądałby ten kawałek, gdyby obciął jeszcze trochę z tej strony, trochę z tamtej, ściał tutaj i jeszcze tam...

Tak, dobrze...

I zaczął swoją pracę.

Nie zajęło mu to zbyt wiele czasu. Samo rzeźbienie trwało krótko, gdyż miał już wszystko ułożone w umyśle. Jego mechaniczna koordynacja ruchów z łatwością podo-

łała temu wymyślnemu zadaniu, wzrok miał doskonały, a drewno lekko poddawało się obróbce takiej, jaką sobie umyślił.

Lecz gdy skończył, było już za późno, by wręczyć wisiołek Małej Miss. Odłożył go więc i nie myślał o nim do rana. Dopiero gdy Mała Miss miała wybiec z domu do autobusu, który woził ją codziennie do szkoły, Andrew wyjął swoją rzeźbę i podał dziewczynce. Wzięła wisiołek i zastygła w zaskoczeniu i podziwieniu.

— Zrobiłem to dla ciebie — powiedział Andrew.

— Naprawdę? Zrobiłeś?

— Z kawałka drewna, który mi dałaś wczoraj wieczorem.

— Och, Andrew, Andrew. To jest absolutnie wspaniałe... Och, jakie cudowne! Jakie piękne! Andrew! Nie wiedziałam, że potrafisz robić takie rzeczy. Poczekaj, aż Melissa to zobaczy. Tylko poczekaj! I tatusiowi też pokażę!

Na zewnątrz zabrzmiał klakson. Mała Miss ostrożnie schowała wisiołek do torby i pobiegła do autobusu. Kawałek dalej zatrzymała się jednak, pomachała do Andrew i posłała mu pocałunek.

Wieczorem, gdy Sir wrócił z Legislatury, a Mała Miss pokazała swoją rzeźbę, w domu zapanowało wielkie zamieszanie. Pani nie mogła powstrzymać okrzyku podziwu, a Miss była na tyle łaskawa, by stwierdzić, że ten wisiołek jest prawie tak samo piękny jak jej własny.

Sir był wręcz zdumiony. Nie mógł uwierzyć, że Andrew własnoręcznie zrobił tę małą błyskotkę.

— Skąd to masz, Mandy?

Czasem nazywał swą młodszą córkę tym imieniem; nikt poza nim tego nie robił.

— Mówiłam ci, tatusiu. Andrew ją dla mnie zrobił. Znalazłam kawałek drewna na plaży, a on wyrzeźbił z niego wisiołek.

— Przecież on nie miał być robotem artystą.

— Czym?

— Rzeźbiarzem — odparł Sir.

— Cóż, ale chyba nim jest — powiedziała Mała Miss. — Może jest jeszcze czymś więcej, a my o tym nie wiemy.

Sir spojrział na Andrew. Zmarszczył brwi, szarpnął w zamyśleniu swój wąs — miał wspaniałe bujne wąsy — i zasępił się w sposób, który Andrew, mimo dość ograniczonej wiedzy o ludzkiej mimice, uznał za bardzo groźny.

— Rzeczywiście zrobiłeś ten wisiołek, Andrew?

— Tak, Sir.

— Wiesz o tym, że roboty nie potrafią kłamać.

— To niezupełnie prawda, proszę pana. Mógłbym skłamać, gdyby mi kazano, lub aby nie dopuścić do zrobienia krzywdy człowiekowi, lub nawet wtedy, gdyby moje własne

bezpieczeństwo było... — Przerwał na moment. — Ale ja naprawdę wyrzeźbiłem ten wisiołek dla Małej Miss.

— A projekt? Czy również jest twoim dziełem?

— Tak, Sir.

— Skąd go skopiowałeś?

— Skopiowałem?

— Przecież nie wziąłeś tego z powietrza. Wziąłeś to z jakiejś książki, prawda? Albo użyłeś komputera, by to ułożyć, albo...

— Zapewniam pana, że nie zrobiłem nic więcej ponad to, że analizowałem surowy materiał aż do chwili, gdy wiedziałem, jaki nadać mu kształt, by Mała Miss była zadowolona. A potem go wyrzeźbiłem.

— Mogę zapytać, jakiego narzędzia użyłeś?

— Małego kuchennego noża, proszę pana, który wręczyła mi Mała Miss.

— Kuchenny nóż — powtórzył Sir osobliwie bezbarwnym głosem. Wolno kiwając głową, ważył w dłoni małą rzeźbę i w końcu doszedł do wniosku, że jej piękno przechodzi wszelkie wyobrażenia. — Kuchenny nóż... Dała ci kawałek drewna, zwykły nóż kuchenny i nic poza tym, a ty byłeś w stanie zrobić coś takiego.

— Tak, proszę pana.

Następnego dnia Sir przyniósł kawałek drewna z plaży — większy, poskręcany i zwietrzały. Dał Andrew nóż elektryczny i pokazał, jak się z nim obchodzić.

— Zrób coś z tego kawałka, Andrew. Cokolwiek zechcesz. Chcę tylko popatrzeć, jak to robisz.

— Oczywiście, proszę pana.

Andrew zastanawiał się przez chwilę nad kawałkiem drewna, a potem włączył nóż i za pomocą swych czułych soczewek optycznych obserwował ruch jego ostrza. W końcu zrozumiał, jakie rezultaty można osiągnąć za pomocą tego noża, i zabrał się do pracy. Sir siedział tuż obok, ale podczas rzeźbienia Andrew był ledwie świadomy jego obecności. Był całkowicie skupiony na swoim zadaniu. Jedyne, co się teraz dla niego liczyło, to kawałek drewna, nóż elektryczny i wizja przedmiotu, który zamierzał wydobyć z drewna.

Kiedy skończył, wręczył rzeźbę panu Martinowi, a sam poszedł po szufelkę, by zamieść wiórki. Gdy wrócił, zastał go siedzącego bez ruchu, wpatrującego się z oszołomieniem i zachwytem w małą rzeźbę.

— Prosiłem o robota domowego z serii NDR — powiedział cicho Sir. — Nie pamiętam, bym mówił coś o umiejętnościach artystycznych.

— W rzeczy samej, proszę pana. Jestem domowym robotem serii NDR. Nie mam żadnych specjalnych implantów determinujących umiejętności artystyczne.

— Ale przecież zrobiłeś to. Widziałem na własne oczy.

— Rzeczywiście, proszę pana.

— Myślisz, że mógłbyś zrobić jeszcze inne rzeczy z drewna? Powiedzmy: półki? Szafki? Lampy? Pełnowymiarowe rzeźby?

— Nie jestem w stanie tego stwierdzić, Sir. Nigdy nie próbowałem tego robić.

— No cóż, to teraz spróbujesz.

Po tej rozmowie Andrew spędzał już niewiele czasu na przygotowywaniu posiłków, podawaniu do stołu, czy też innych czynnościach gospodarskich. Polecono mu bowiem czytanie książek na temat rzeźbienia i projektowania, ze szczególnym uwzględnieniem produkcji mebli. Dostał też jedno z pustych pomieszczeń na strychu, w którym mieścił się teraz jego warsztat.

Chociaż dalej tworzył małe cacka — bransoletki, kolczyki, naszyjniki, wisiorki — dla Miss, Małej Miss, a także niekiedy dla Pani, większość czasu poświęcał, zgodnie z sugestią pana Martina, na wykonywanie szafek i biur. Jego projekty były wprost niezwykłe. Wykorzystywał rzadkie, egzotyczne rodzaje drewna, które dostarczał mu Sir, i ozdabiał je pięknymi, niezwykle ciekawymi wzorami.

Sir zaglądał często do jego warsztatu, by podziwiać najnowsze dokonania.

— To wspaniałe, Andrew — zwykł mawiać za każdym razem. — Niezwykłe, cudowne. Zdajesz sobie sprawę, że nie jesteś po prostu artystą? Jesteś wielkim artystą. A rzeczy, które tworzysz, są dziełami sztuki.

— Bardzo lubię je tworzyć, proszę pana.

— Lubisz?

— Czy nie powinienem używać takiego określenia?

— To dość niezwykle, gdy robot mówi o lubieniu. To wszystko. Nie zdawałem sobie sprawy, że roboty potrafią doznawać takich uczuć.

— Być może używam tego pojęcia w zbyt dowolny sposób.

— Być może — odpowiedział Sir. — Ale nie jestem tego taki pewny. Co konkretnie miałeś na myśli?

— Kiedy wykonuję tę pracę, obwody w moim mózgu stają się jakby mniej napięte. Wydaje mi się, że jest to odpowiednik tego, co ludzie nazywają radością. Słyszałem, jak wypowiedacie słowa „radość” i „lubić”, i myślę, że rozumiem ich znaczenie. Sposób, w jaki je używacie, pasuje do tego, co czuję. Dlatego też chyba mogę powiedzieć, że lubię tworzyć te wszystkie rzeczy.

— Ach, tak... — Sir zamilkł na moment. — Jesteś niezwykłym robotem, wiesz, Andrew? — powiedział po chwili.

— Jestem całkowicie standardowy, proszę pana. Moje obwody należą do typu NDR, ni mniej, ni więcej.

— Rzeczywiście.

— Czy to, że wytwarzam szafki, wprawia pana w zakłopotanie?

— Ależ skąd, Andrew. Wprost przeciwnie.

— A jednak wyczuwam pewien niepokój w pana głosie, Sir. Jest w nim coś... Jak to wyrazić... Zaskoczenie? Nie, zaskoczenie nie jest odpowiednim określeniem. Niepewność? A może wątpliwość? Wydaje mi się, że pan myśli, iż wykonuję pewne czynności, które wykraczają poza moje oprogramowanie.

— Tak — przyznał Sir. — Właśnie tak myślę, Andrew. W rzeczy samej, to wszystko znacznie wykracza poza twoje zdolności programowe. Nie żebym się tym martwił, rozumiesz... Ale chciałbym wiedzieć, skąd się to bierze.

ROZDZIAŁ 4

Kilka dni później Gerald Martin zadzwonił do dyrektora regionalnego oddziału korporacji Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie.

— Mam mały problem z domowym robotem serii NDR, którego mi przydzieliliście — powiedział.

Dyrektor nazywał się Elliot Smythe. Jak wielu spośród wyższego kierownictwa korporacji, Smythe był członkiem wielkiej i potężnej rodziny Robertsonów, wywodzącej się od samego Lawrence'a Robertsona, który założył korporację w drugiej połowie dwudziestego wieku.

Teraz jednak kompania była tak ogromna, że nie można było uważać jej jedynie za domenę owej rodziny, gdyż stała potrzeba wpływu nowych kapitałów zmusiła Robertsonów i Smythe'ów do odsprzedania części udziałów zewnętrznym inwestorom. Niemniej jednak nie było to ani łatwe, ani codzienne, by po prostu podnieść słuchawkę i poprosić do telefonu Robertsona lub Smythe'a. Lecz Gerald Martin był przecież przewodniczącym Komitetu Nauki i Techniki Legislatury Regionalnej. Robertsonowie i Smythe'owie, jakkolwiek bogaci czy potężni, nie mogli sobie pozwolić na zignorowanie telefonu od Geralda Martina.

— Problem? — zapytał Elliot Smythe, a jego twarz na wideoekranie wyrażała głębką i szczerą troskę. — Jest mi niezmiernie przykro to słyszeć, panie Martin. Muszę przyznać, że jestem wręcz zaskoczony. Pański NDR jest produktem najwyższej klasy, a testy, które przechodził, były bardzo staranne i drobiazgowe... Jakiego rodzaju usterkę pan zaobserwował? Czy robot zawiódł pana w jakikolwiek sposób? Czy nie sprostał pańskim oczekiwaniom?

— Nie wspomniałem bynajmniej o żadnej usterce.

— Ale mówił pan o jakimś problemie, panie Martin. Typ NDR powinien wykonywać wszelkiego rodzaju polecenia w zakresie gospodarstwa domowego...

— To nie ma nic wspólnego z gospodarstwem domowym, panie Smythe — powiedział sucho Gerald Martin. — NDR-113 doskonale wykonuje wszystkie swoje obowiąz-

ki. Problem polega na tym, że robot wydaje się mieć pewne umiejętności, które nie zostały wymienione w żadnej specyfikacji i o których nie wspomniano, gdy dyskutowaliśmy o wyposażeniu mojego domu w roboty.

Twarz Smythe'a zmieniła się; wyraz zatroskania ustąpił teraz miejsca zrozumieniu.

— Czy chodzi panu o to, że on przekracza zakres swoich uprawnień i robi to, o co go nie proszono?

— Absolutnie nie. Gdyby zdarzyło się coś takiego, to już dawno usłyszałby pan o tym ode mnie... Zaręczam panu. To nie o to chodzi, panie Smythe. Rzecz w tym, że całkiem niespodziewanie zaczął tworzyć w drewnie. Robi z niego biżuterię i meble. Moja młodsza córka poprosiła go pewnego razu o jedną z takich rzeczy, a on zrobił to w sposób wykraczający poza wszelkie oczekiwania. Od tego czasu robi dla nas także inne przedmioty. Są wyszukane i wspaniałe, ponadto nigdy się nie powtarzają. To, co robi, to prawdziwe dzieła sztuki, panie Smythe. Dosłownie dzieła sztuki. Każde muzeum wystawiłoby je z dumą.

Gdy Gerald Martin skończył mówić, Smythe milczał przez chwilę. Jego kąciki ust drgnęły nieznacznie, ale poza tym nie okazał żadnych innych emocji.

— Seria NDR jest dość wszechstronna, panie Martin. Nie jest absolutnie niezwykle, że robot potrafi zrobić parę mebelków.

— Myślałem, że wyraziłem się dość jasno... To nie jest kwestia paru mebelków — powiedział Sir.

— Tak, tak. Wyraził się pan jasno.

Zapadła chwila milczenia.

— Chciałbym obejrzyć parę jego prac. Chciałbym też przyjrzeć się pańskiemu robotowi. Czy nie sprawiłoby kłopotu, gdybym przyleciał na wybrzeże i zrobił szybką inspekcję?

— Jeśli chciałby pan go przetestować, czy nie lepiej byłoby zrobić to w warunkach laboratoryjnych? Będzie pan potrzebował sprzętu, jak przypuszczam... A przecież nie przetransportuje pan tego wszystkiego do mojego domu. Wydaje mi się, że będzie łatwiej, gdy po prostu przywiozę Andrew do was. Będziecie mogli go porządnie przetestować.

— Andrew?

Gerald Martin uśmiechnął się nieznacznie.

— Moje dziewczęta tak go nazwały. Rozumie pan, to od NDR.

— Tak, tak. Rozumiem. Ale nie ma potrzeby, by kłopotał się pan lotem na wschód, panie Martin. I tak muszę złożyć pewną, zaległą zresztą, wizytę na zachodnim wybrzeżu. Będzie to dobry pretekst, by w końcu się tam wybrać. Poza tym nie zamierzam poddawać pańskiego NDR żadnym testom. Porozmawiam z nim trochę i z panem również, rzecz jasna, a potem przyjrzę się tym wszystkim wspaniałościom. Nie spodziewam się,

że targałby pan ze sobą całą ciężarówkę biurek i szafek, prawda?

— To brzmi rozsądnie, jak sądzę.

— A więc w następnym wtorek? Czy to panu odpowiada?

— Dopilnuję, żeby wszystko było w porządku i żeby nic nam nie przeszkodziło.

— Aha, jeszcze jedno. Chciałbym wziąć ze sobą Merwina Mansky'ego. To nasz główny robopsycholog. Myślę, że doktor Mansky również zechce rzucić okiem na prace waszego NDR. Jestem tego pewien.

Sir uporządkował swój wtorkowy plan i załatwił sobie wolne popołudnie. Smythe i Mansky mieli przylecieć do San Francisco południowym lotem, a potem w ciągu pół godziny dostać się miejscowym wahadłowcem na wybrzeże.

Rzecz jasna, Andrew został poinformowany, że będzie miał gości. Wydawało mu się to jednak dość niezwykle; dlaczego ktoś miałby składać towarzyską wizytę robotowi. Postanowił nie próbować nawet odpowiadać na to pytanie. W tamtych dniach Andrew rzadko kwestionował sens różnych ludzkich poczynań, ani też nie starał się ich systematyzować w żaden sposób. Dopiero w późniejszym okresie, gdy rozumiał już znacznie więcej, mógł rozeznaczyć się w całej tej sytuacji i spojrzeć na nią w innym świetle.

Wspaniała, prowadzona przez robota limuzyna przywiozła dyrektora Amerykańskich Robotów i głównego robopsychologa. Była to wyjątkowo niedobrana para. Elliot Smythe był człowiekiem szczupłym, wysokim, atletycznie zbudowanym, z burzą gęstych białych włosów. Sprawiał wrażenie, jakby właśnie znajdował się w swoim własnym domu, na meczu polo lub tenisa, a nie na oficjalnej, roboczej wizycie. Merwin Mansky zaś, niski i krępy, był całkowicie łysy. Wyglądał też na osobnika, którego jedynie groźbą można było odciągnąć od biurka.

— Oto nasz Andrew — powiedział na przywitanie Sir. — Jego warsztat stolarski jest na górze, lecz jego wyroby można znaleźć w całym domu. Ta półka na książki, na przykład, lampy i stół, na którym stoją, te wszystkie drobiazgi...

— Wspaniała robota — stwierdził Elliot Smythe. — Naprawdę, bez przesady, panie Martin. Każdy z tych przedmiotów to cacko, małe dzieło sztuki.

Merwin Mansky obdarzył meble zaledwie przelotnym spojrzeniem. Jego uwaga była skupiona przede wszystkim na Andrew.

— Kontrola kodowa — rzucił szorstko główny robopsycholog. — Alfa Dziewięć, Andrew!

Odpowiedź Andrew była natychmiastowa; musiała taka być. Kontrole kodowe podlegały pod Pierwsze Prawo. Priorytetem było tu całkowite i niezwłoczne posłuszeństwo. Fotoelektryczne oczy Andrew świeciły czerwonym blaskiem, gdy przebiegał przez cały zestaw Alfa Dziewięć i jej parametry, a Mansky słuchał uważnie.

— Bardzo dobrze, Andrew. Kontrola kodowa Epsilon Siedem.

Andrew podał robopsychologowi cały Epsilon Siedem. Potem przeszedł przez Omi-

kron Czternaście, a na końcu przez Kappa Trzy, który był najbardziej skomplikowanym kodem, zawierającym parametry Trzech Praw Robotyki.

— Dobra robota — zawyrokował wreszcie Mansky. — A teraz jeszcze jedno. Kontrola kodowa Omega.

Andrew wyrecytował kody Omegi, które zawiadywały ścieżkami zdolności przetwarzania nowo nabytych danych. Ten zestaw zabrał nieco czasu. Sir przysłuchiwał się wszystkiemu z mieszaniną zdumienia i podziwu. Zaś Elliot Smythe zdawał się prawie w ogóle nie słuchać.

— On jest w doskonałej kondycji — stwierdził w końcu Mansky. — Wszystkie parametry są takie, jakie powinny być.

— Jak już wspomniałem panu Smythe'owi — zaczął Sir — problemem nie jest złe działanie czy jakakolwiek dysfunkcja. Chodzi o to, że jego wyczyny wykraczają znacznie poza najśmielsze oczekiwania.

— Być może poza pana oczekiwania — odparł Mansky.

— A cóż to ma niby znaczyć? — zachnął się Sir. — Co pan ma na myśli, jeśli wolno spytać?

Mansky westchnął i zmarszczył czoło. Linie na jego szerokim czole były tak fantazyjne, jakby wyrzeźbił je sam Andrew.

— Robotyka nie jest dyscypliną ścisłą, panie Martin. Nie potrafię wyjaśnić tego szczegółowo lub raczej... mógłbym to zrobić, ale zajęłoby to zbyt wiele czasu. Nie jestem również pewien, czy rezultat by pana zadowolił. Chodzi między innymi o to, że matematyka zawiadująca wykresami ścieżek pozytronowych jest tak skomplikowana, iż można dokonywać w niej tylko przybliżonych rozwiązań. Roboty takie jak Andrew często okazują zdolności, które wykraczają poza zaprojektowane specyfikacje. Chcę jednak pana zapewnić, że jego mistrzowskie zdolności stolarskie nie oznaczają bynajmniej, iż cokolwiek może zagrażać panu lub pańskiej rodzinie. Niezależnie od pewnych odstępstw w zachowaniu robotów, Trzy Prawa są absolutnie nieodwracalne i nie do obejścia. Nie można ich złamać. Są podstawą egzystencji pozytronowego mózgu. Andrew przestałby funkcjonować, zanim zdążyłby złamać którekolwiek z nich.

— On jest kimś więcej niż tylko mistrzem stolarskim, doktorze Mansky — odpowiedział sucho Sir. — Nie rozmawiamy tu tylko o ładnych stoliczkach czy krzesłach.

— Tak, tak. Oczywiście. Rozumiem, że robi także błyskotki i świecidełka.

Sir uśmiechnął się, ale był to dziwnie lodowaty uśmiech. Otworzył szafkę, w której Mała Miss trzymała swoje skarby wyrzeźbione przez Andrew, i pokazał im jeden z nich.

— Zobaczcie sami — powiedział kwaśno. — Oto jedna z jego błyskotek. Jedno z jego świecidełek.

Wręczył gościom małą kulę z lśniącej kości słoniowej. Była na niej scena przedsta-

wiająca bawiące się dzieci. Figurki były tak małe, że ledwie zauważalne, lecz przedstawione w doskonałych proporcjach. Wydawało się, że żyją własnym życiem. Dwóch chłopców zaczynało właśnie walkę na pięści, dwie dziewczynki przyglądały się naszyjnikowi o mikroskopijnych wręcz wymiarach, który pokazywała im trzecia dziewczynka. Obok stała nauczycielka, pochylając się nad małym chłopcem, który zadawał jej właśnie jakieś pytanie.

Robopsycholog wpatrywał się w delikatną rzeźbę przez długą chwilę i nic nie mówił.

— Czy mogę na to rzucić okiem, doktorze Mansky? — spytał Elliot Smythe.

— Tak, oczywiście.

Ręka Mansky'ego drżała lekko, gdy wręczał kulę dyrektorowi Amerykańskich Robotów.

Teraz z kolei Smythe przyglądał się małemu przedmiotowi w skupieniu i ciszy. Obserwując go, Andrew doznał nowego wrażenia, które zakwalifikował jako radość. Było oczywiste, że dwaj mężczyźni są pod wielkim wrażeniem tego, co wyrzeźbił. I rzeczywiście. Obaj byli tak wstrząśnięci, że nie potrafili wyrazić swych uczuć słowami.

— On to zrobił? — zapytał w końcu Mansky.

Sir skinął potakująco głową.

— On nigdy nie widział szkolnego podwórka. Moja córka Amanda opisała mu tę scenę pewnego popołudnia, gdy ją o to poprosił. Rozmawiał z nią około pięciu minut, a potem poszedł na górę i zrobił właśnie to.

— Wspaniałe — powiedział cicho Smythe. — Fenomenalne, niezwykle.

— Tak, niezwykle — zgodził się Sir. — Czy teraz rozumie pan, dlaczego chciałem wam zwrócić na to uwagę? Tego rodzaju dokonania daleko wykraczają poza zwykłe możliwości waszej serii NDR, czyż nie? Nie chciałbym prawić banałów, panowie, ale to, z czym mamy tu do czynienia, to robot genialny. Nie sądzicie? Coś, co można by nawet uznać za... ludzkie?

— W NDR-113 nie ma nic ludzkiego — głos Mansky'ego był wyważony, ale brzmiała w nim nuta stanowczości i powagi. — Niech pan nie myli pewnych pojęć, panie Martin. Mamy do czynienia z maszyną i nigdy nie wolno panu o tym zapominać. Prawda, że jest to maszyna z pewną dozą inteligencji, dysponująca także możliwościami twórczymi, a raczej umiejętnością naśladowania. Ale nadal jest to tylko maszyna. Poświęciłem całą moją karierę badaniu osobowości robotów — tak, one mają swego rodzaju osobowość — i jeśli ktokolwiek miałby uwierzyć, że mają ludzkie cechy, to tym człowiekiem byłbym właśnie ja, panie Martin. Ale nie wierzę w to i pan również nie powinien.

— Nie mówiłem tego poważnie. Ale w takim razie, jak by pan zakwalifikował jego zdolności artystyczne?

— Ślepy traf. Swego rodzaju przypadek — odparł stanowczo Mansky. — Coś w ob-

rębie jego ścieżek. Od wielu lat próbuję projektować ścieżki o ogólnym wzorze. Mam na myśli roboty, które nie miałyby określonego limitu zaprojektowanych dla nich prac, ale które byłyby zdolne poszerzać swój zakres porównywalnie do rozumowania indukcyjnego. I nie ma w tym nic dziwnego, że tego rodzaju pozorowana twórczość ujawniła się u jednego z tych robotów. Jak wspomniałem przed chwilą, robotyka nie jest ścisłą dziedziną. Czasami zdarzają się rzeczy niezwykle.

— Czy mógłby pan sprawić, aby to się powtórzyło? Byłby pan w stanie skonstruować drugiego robota, który potrafiłby to samo, co Andrew? A może nawet całą serię takich robotów?

— Prawdopodobnie nie. Mówimy tu, panie Martin, o przypadku losowym. Czy pan mnie rozumie? Nie jesteśmy w stanie precyzyjnie określić, w jaki sposób osiągnęliśmy takie możliwości, jakimi dysponuje Andrew. Dlatego też nie możemy reprodukcować tego typu skrzywionej ścieżki, która umożliwia mu tworzenie takich rzeczy. Mam na myśli to — ciągnął dalej Mansky — że Andrew jest skutkiem jakiegoś przypadku. Jest również całkiem prawdopodobne, że jest unikatem.

— Dobrze. Nie mam absolutnie nic przeciwko temu, że Andrew jest jedyny w swoim rodzaju.

Smythe, który od jakiegoś czasu spoglądał na spowity mgłą ocean, obrócił się nagle i powiedział:

— Panie Martin, chciałbym wziąć ze sobą Andrew, aby go dokładnie przetestować. Naturalnie dostarczymy panu innego NDR i dopilnujemy, aby zaprogramowano mu pełny zakres wszelkich domowych obowiązków, które dotychczas...

— Nie — zaprotestował ostro Sir.

Smythe uniósł lekko brwi.

— Skoro już pan ujawnił nam tę sytuację, to z pewnością zdaje pan sobie sprawę, jak bardzo jest dla nas ważne dokładne przetestowanie robota i zrozumienie, dlaczego...

— Doktor Mansky właśnie powiedział, że Andrew jest przypadkiem niezwykle, że nie ma pojęcia, dlaczego umie tworzyć te wszystkie rzeczy z drewna i że nie jesteście w stanie skonstruować drugiego takiego robota. Dlatego też nie widzę najmniejszego powodu, abyście mieli zabierać go stąd i dostarczać nam innego robota.

— Doktor Mansky jest być może w tej kwestii zbyt wielkim pesymistą. Kiedy już zaczniemy śledzić połączenia nerwowe...

— Kiedy już zaczniecie — przerwał Sir — to może z niego niewiele pozostać. Czyż nie mam racji?

— Tak, to prawda — przyznał Smythe. — Ścieżki są bardzo delikatne, a ich analiza często pociąga za sobą pewien stopień destrukcji.

— Moje córki przepadają za Andrew. Zwłaszcza młodsza, Amanda. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że Andrew jest jej najlepszym przyjacielem. Uwielbia go tak samo,

jak każdą inną rzecz na tej planecie. A Andrew chyba również za nią przepada. Zwróciłem waszą uwagę na jego umiejętności, ponieważ wydawało mi się, że chcielibyście wiedzieć, co wyprodukowaliście. Nawet jako laik podejrzewałem, że te zdolności mogą być kwestią przypadku. Byłem więc ciekaw, czy tak jest w istocie. Ale jeśli wydaje się wam, że pozwolę go zabrać, nie mając najmniejszej gwarancji, że oddacie mi go w nienaruszonym stanie, jesteście w błędzie. Nic z tego.

— Doceniam i rozumiem więź, jaka wytworzyła się między dziewczynką a jej domowym robotem, Niemniej jednak sposób, w jaki stara się pan nam przeszkodzić, panie Martin...

— Mogę przeszkodzić jeszcze bardziej — przerwał Sir. — Czy zapomniał pan już, kto przez ostatnie trzy lata forsował wszystkie ustawy związane z robotami? Sugerowałbym, abyście poszli teraz na górę i obejrzelili kilka innych rzeczy, które zrobił Andrew. Sądzę, że one was zainteresują. A potem pan i doktor Mansky będziecie mogli udać się z powrotem do San Francisco i odwiedzić wasze filie na zachodnim wybrzeżu. Andrew zostanie tutaj. Czy to jasne?

W oczach Smythe'a błysnął gniew. Był to jednak tak słaby błysk, że nawet wspaniałe oczy Andrew z ledwością były w stanie go dostrzec. Potem dyrektor Amerykańskich Robotów wzruszył ramionami.

— Jak pan sobie życzy, panie Martin. Andrew nie stanie się żadna krzywda. Ma pan moje słowo.

— To dobrze.

— Poza tym rzeczywiście chciałbym wejść na górę i przyjrzeć się jego pracom.

— Cała przyjemność po mojej stronie — powiedział Sir. — Mogę nawet panom podarować kilka. Proszę, niech panowie wezmą jakąkolwiek z tych rzeczy. Mam na myśli oczywiście meble, a nie drobiazgi, które zrobił dla mojej żony i córek.

— To bardzo miło z pańskiej strony — podziękował Smythe.

— Panie Martin, czy mógłbym powtórzyć coś, co powiedziałem już jakiś czas temu? — wtrącił się Mansky.

— Jeśli to konieczne, doktorze...

— Zwrócił pan uwagę, że twórczość Andrew jest prawie ludzka. Rzeczywiście, coś w tym jest. Nawet ja to muszę przyznać. Lecz zbliżanie się do człowieczeństwa a bycie człowiekiem to dwie różne sprawy. Chcę panu przypomnieć, że Andrew jest maszyną.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

— Ale im więcej czasu Andrew z wami spędzi, tym może się to stać trudniejsze. Mówi pan, że robot jest najlepszym przyjacielem pańskiej córki. Mówi pan o jej uwielbieniu dla niego. To bardzo niebezpieczne nastawienie. Niebezpieczne dla niej, oczywiście. Przyjaciele to przyjaciele, a maszyny to maszyny i nie powinno się tego mylić. Ktoś może kochać inną osobę, ale nie kocha się przecież sprzętu domowego, jakkolwiek był-

by użyteczny czy atrakcyjny. Andrew jest tylko komputerem, panie Martin. Komputerem domowym ze sztuczną inteligencją, którą umieszczono w humanoidalnej powłoce. Dlatego też wydaje się czymś innym niż komputery zawiadujące naszym systemem drogowym, łącznością czy innymi sprawami. Osobowość, którą pana córka utożsamia z Andrew i która wywołała u niej uczucie uwielbienia, to tylko i wyłącznie osobowość symulowana: sztuczna, całkowicie syntetyczna konstrukcja. Bardzo proszę, aby nigdy nie zapominał pan, że komputer z rękoma, nogami i pozytronowym mózgiem to nic innego jak tylko komputer, aczkolwiek nieco ulepszony. Maszyna, panie Martin. Po prostu sprzęt domowy.

— Będę o tym pamiętał — odrzekł lodowatym tonem Gerald Martin. — Wie pan, doktorze Mansky, zawsze starałem się myśleć jasno i w sposób uporządkowany. Nigdy nie zdarzyło mi się pomylić ręki z nogą, dłoni ze stopą czy też krowy z koniem. Zrobię też wszystko, co w mojej mocy, by nie pomylić robota z człowiekiem, jakkolwiek wielka byłaby ta pokusa. Bardzo dziękuję za pańską radę. A teraz, jeśli chcielibyście odbyć małą podróż po warsztacie Andrew...

ROZDZIAŁ 5

Miss zaczęła już przekraczać próg, który oddziela dziewczęcość od kobiecości. Czerpała pełnymi garściami z przyjemności życia towarzyskiego, miała wielu nowych przyjaciół i nie były to wyłącznie dziewczynki. Robiono wypad w góry, na południowe pustynie, w dzicz północy. Jej obecność w domu Martinów stawała się powoli rzadkim wydarzeniem.

Teraz więc Mała Miss, już nie tak mała jak niegdyś, wypełniała świat Andrew. Stawała się rozbrykaną, niezmordowaną dziewczynką, uwielbiającą długie wycieczki wzdłuż plaży, zawsze z podążającym za nią krok w krok Andrew. Wspinała się na porośnięte drzewami wzniesienia nieopodal domu, często korzystając z pomocy Andrew, gdy zdarzyło się jej wejść zbyt wysoko na drzewo, by stamtąd przyglądać się gniazdom ptaków, albo gdy nie mogła poradzić sobie ze zbyt stromym zboczem, z którego chciała mieć lepszy widok na ocean.

Lecz cokolwiek robiła, Andrew był przy niej, zawsze czujny i uważny, zawsze pomocny. Pozwalał Małej Miss na wszystkie figle, bo zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest wtedy szczęśliwa. Zawsze jednak doskonale obliczał stopień ryzyka, zawsze umiał je przewidzieć i przyjść z pomocą, kiedykolwiek tylko dziewczynka tego potrzebowała. To Pierwsze Prawo zmuszało Andrew do ciągłej uwagi i troski o to, by nie stała się jej żadna krzywda. Lecz Andrew zdawał sobie sprawę z tego, że z ochotą i przyjemnością broniliby Małej Miss przed wszelkimi niebezpieczeństwami nawet wtedy, gdyby Pierwsze Prawo nie istniało.

Dziwna i niezwykła była to myśl: że mogłoby nie być Pierwszego Prawa. Andrew z lewą ręką pojmował. Pierwsze Prawo — tak samo zresztą jak Drugie i Trzecie — były tak fundamentalnymi aspektami jego istnienia, że funkcjonowanie bez nich wydawało się niemożliwe. A przecież jednak umiał to sobie wyobrazić. Intrygowała go zdolność wyobrażenia sobie tego, co niewyobrażalne. Gdy tego rodzaju paradoksy przelatywały mu przez myśl, czuł się niemal jak człowiek.

Ale co to właściwie oznaczało: niemal? To był kolejny paradoks, jeszcze bardziej szo-

kujący. Albo jest się człowiekiem, albo nie. Jak mógłby istnieć stan pośredni?

Jesteś robotem, przypominał sobie surowo Andrew.

Jesteś produktem korporacji Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie.

A potem patrzył na Małą Miss, a jego pozytronowy mózg wypełniało uczucie ciepła i radości, które pojmował jako miłość. I znów musiał sobie powtarzać, że jest niczym więcej, jak tylko wspaniale zaprojektowaną strukturą z metalu i sztucznego tworzywa, z platynowo-irydowym mózgiem w czaszce z chromowanej stali i że nie ma prawa ani odczuwać emocji, ani rozważać paradoksów, ani też robić żadnych z tych złożonych i tajemniczych rzeczy, które zwykli czynić ludzie. Nawet jego prace w drewnie — nie pozwalał sobie na to, by nazywać to sztuką — były tylko konsekwencją umiejętności, które mu zaprogramowali jego projektanci.

Mała Miss nigdy nie zapomniała, że pierwszą rzeźbę Andrew zrobił dla niej. Miała ją na sobie prawie zawsze, nosiła na srebrnym łańcuszku i stale obracała z upodobaniem między palcami.

Ona też po raz pierwszy sprzeciwiła się zwyczajowi wydawania przedmiotów, które zrobił Andrew, niemalże każdemu, kto ich odwiedzał. Sir z dumą pokazywał najnowsze osiągnięcia Andrew, a potem, kiedy padały spodziewane okrzyki zachwytu, a nawet i zazdrości, pytał z uśmiechem:

— Czy naprawdę tak ci się to podoba? No to proszę, weź sobie. Naprawdę. Mówię poważnie. Weź to sobie! Cała przyjemność po mojej stronie. Mamy jeszcze dużo innych rzeczy.

Pewnego dnia Sir podarował komuś szczególnie piękną rzeźbę. Była to lśniąca sferoida z drzewa sekwojowego, inkrustowana manzanitem i pewną odmianą krzewu truskawkowego. Obdarowanym był przewodniczący Legislatury, hałaśliwy człowiek o czerwonej twarzy, który niezmiennie kojarzył się Małej Miss z kimś tępym i gburowatym. Dziewczynka wątpiła zresztą, by ów człowiek potrafił dostrzec piękno w tym co zrobił Andrew. Gdy chwalił rzeźby, był bez wątpienia tylko dobrym dyplomata, a gdy wracał do domu, zamykał je pewnie w jakiejś szafie.

— Daj spokój, tato — powiedziała Mała Miss, gdy przewodniczący opuścił dom Martinów. — Nie powinieneś być dawać mu tego i dobrze o tym wiesz.

— Ale to mu się podobało, Mandy Powiedział, że to piękna rzecz.

— To jest niezwykle piękne, podobnie jak nasza plaża przed domem. Gdyby powiedział, że plaża jest niezwykle piękna, też byś mu ją dał?

— Ależ Mandy, Mandy...

— No powiedz, dałbyś mu ją?

— To jest złe porównanie. Oczywiście, że nie rozdajemy dla kaprysu naszych posiadłości. Ale ta mała rzeźba, podarowana jako skromny wyraz sympatii dla wieloletniego przyjaciela, który jest także bardzo wpływowym politykiem...

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że to była łapówka?

W oczach Geralda Martina błysnął gniew. Zniknął jednak po chwili, a w jego miejscu pojawiły się figlarne iskierki, które zawsze towarzyszyły jego rozmowom z młodszą córką.

— Chyba nie myślisz tak naprawdę, Mandy? Rozumiesz chyba, że prezent dla przewodniczącego był tylko wyrazem gościnności z mojej strony?

— No... tak. Przepraszam, tato. Nie zastanowiłam się nad tym. To było podłe.

— Tak. Takie właśnie było — uśmiechnął się Sir. — Czy chciałaś tę rzeźbę zatrzymać dla siebie? Czy o to chodzi? Twój pokój już pęka w szwach od rzeczy, które zrobił Andrew. Cały dom jest ich pełen. Nie możemy nawet nadażyć z ich wydawaniem.

— O to właśnie chodzi... Ty je wydajesz.

— No cóż. — Sir uśmiechnął się jeszcze szerzej. — A co mam robić, twoim zdaniem? Sprzedawać je ludziom?

— W rzeczy samej, tato. Tak. Właśnie tego bym chciała.

Sir popatrzył na Małą Miss z niepomiernym zdziwieniem.

— Żądza zysku? Chciwość? To do ciebie niepodobne, Mandy.

— A co ma do tego chciwość?

— Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że mamy aż nadto pieniędzy. Pomijając to, że umieszczanie metek z cenami na przedmiotach, które będą podziwiał moi goście, wydaje mi się niestosowne, to absurdem byłoby czerpanie zysków z takiego trywialnego handlu.

— Ależ ja nie mówię, że to my mamy zarabiać pieniądze na rzeźbach Andrew. A co z nim?

— A co ma być?

— On wykonuje pracę i on powinien zarabiać.

Sir zamrugnął powiekami.

— Andrew jest robotem, Mandy.

— Tak, wiem o tym, tato.

— Roboty nie są ludźmi, kochanie. One są maszynami, pamiętasz? Tak jak telefony, jak komputery. Jakież pożytek z pieniędzy miałyby mieć maszyna? Roboty nie chodzą na zakupy, nie jeżdżą na wakacje na Hawaje. Roboty nie...

— Mówię poważnie, tato. To ważna sprawa. Andrew spędza całe godziny nad tymi rzeźbami.

— No i...?

— Robot czy nie, ma prawo do korzyści ze swojej pracy. Gdy wydajesz te przedmioty swoim znajomym i politykom, to... to go wykorzystujesz. Czy pomyślałeś kiedyś o tym? Może jest maszyną, ale nie jest niewolnikiem. A w dodatku jest artystą. Ma prawo do zysków ze swojej pracy. Może nie wtedy, gdy robi to dla nas, ale wtedy, gdy wy-

dajesz te rzeczy innym ludziom... — Mała Miss przerwała na chwilę, by zaczerpnąć powietrza. — Czy pamiętasz rewolucję francuską, tato? Nie, nie chodzi mi o to, czy ją naprawdę pamiętasz. Ale tam chodziło o wyzysk mas pracujących przez arystokrację. Roboty są właśnie naszą nową klasą pracującą. A jeśli będziemy je traktować tak, jak kiedyś książęta traktowali chłopów...

Sir uśmiechnął się łagodnie.

— Ostatnią rzeczą, której musimy się obawiać, Mandy, jest bunt wzniecony przez roboty. Trzy Pra...

— Trzy Prawa, Trzy Prawa, Trzy Prawa... Nienawidzę ich. Nie możesz pozbawiać Andrew prawa do zysku. Nie możesz. To nie fair, tato! — Gniew w głosie Małej Miss uciał wszelką dyskusję na temat Trzech Praw, zanim jeszcze Sir zdołał ją rozpocząć.

— Naprawdę ci na tym zależy, prawda, Mandy? — zapytał po chwili ojciec.

— Tak. Zależy.

— W porządku. Zastanowię się nad tym. Być może uda się coś z tym zrobić.

— Obiecujesz?

— Obiecuję.

Mała Miss wiedziała już, że wszystko będzie w porządku. Obietnica ojca była czymś nienaruszalnym i nieodwracalnym.

Minęło trochę czasu. Przychodziło wielu gości i jak zwykle padały okrzyki zachwytu. A Mała Miss, która wszystkiemu bacznie się przyglądała, zauważyła, że ojciec przestał wydawać rzeźby, niezależnie od tego, jak głośne były owe okrzyki.

Zdarzało się jednak, że niektórzy goście pytali:

— Czy nie sądzisz, Gerald, że mógłbym kupić od ciebie parę tych rzeczy?

Wtedy Sir wydawał się nieco zakłopotany, wzruszał ramionami i odpowiadał, że nie jest pewien, czy chciałby robić tego rodzaju interesy.

Mała Miss zastanawiała się wtedy, dlaczego ojciec tak się waha. Nie leżało to bowiem w jego naturze. A przecież nie groziło im, że ktoś ich oskarży o dorabianie sobie na boku produktami wytwarzanymi przez Andrew. Wszyscy wiedzieli, że Gerald Martin nie musi dorabiać w ten sposób. Jeśli więc propozycje padały w dobrej wierze, dlaczego by ich nie przyjąć?

Mała Miss postanowiła jeszcze poczekać. Znała swego ojca dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że sprawa jest otwarta.

A potem odwiedził ich kolejny gość: John Feingold, prawnik Geralda Martina. Biura prawniczej firmy Feingolda mieściły się w San Francisco. Mimo ogromnego, tak powszechnego w tym wieku pędu decentralizacyjnego, mieszkało tam wciąż mnóstwo ludzi. Mimo że z San Francisco do dzikiego pasa wybrzeża, gdzie mieszkali Martinowie, było stosunkowo niedaleko, wizyta Johna Feingolda była niezwykłym wydarzeniem. Zwykle Sir jeździł do San Francisco, gdy miał z nim sprawy do omówienia. Mała Miss

wiedziała więc, że musi dziać się coś niezwykle ważnego.

John Feingold był miłym, siwowłosym człowiekiem o różowej skórze, wydatnym brzuszku i pogodnym uśmiechu. Ubierał się staromodnie i nosił jasnozielone szkła kontaktowe, prezentując styl tak archaiczny, że Mała Miss nie mogła powstrzymać się od śmiechu, gdy tylko go widziała. Sir musiał więc posyłać jej znaczące spojrzenia, gdy tylko usłyszał stłumiony chichot.

John Feingold i Gerald Martin rozsiedli się przed kominkiem w dużym salonie i wtedy Sir wręczył swemu prawnikowi małą inkrustowaną płytkę, którą Andrew zrobił parę dni wcześniej.

Prawnik pokiwał głową. Obracał cacko w dłoni, pocierał jego wypolerowaną powierzchnię, oglądał pod światło i pod różnymi kątami.

— Piękna rzecz — powiedział w końcu. — Niezwykła... to prawda. Zrobił ją twój robot?

— Tak. Skąd wiesz?

— Słyszałem plotki. To nie tajemnica, Gerald, że twój robot jest wspaniałym rzemieślnikiem.

Sir spojrział na Andrew, który stał cicho przy jego boku.

— Słyszysz Andrew? Jesteś sławny jak Kalifornia długa i szeroka. Ale mylisz się co do jednego, John. — Sir zwrócił się ponownie do swego gościa. — Andrew nie jest po prostu wspaniałym rzemieślnikiem. On jest nadzwyczajnym artystą.

— Tak, rzeczywiście nim jest — przyznał Feingold. — To jedyne właściwe określenie. Ta rzecz zaś jest wspaniała.

— Czy chciałbyś ją na własność? — zapytał Sir.

— Oferujesz mi ją, Geraldzie! — Oczy Feingolda rozszerzyły się ze zdumienia.

— Całkiem możliwe. Wszystko zależy od tego, ile jesteś gotów zapłacić.

Feingold zgął się, jakby został uderzony w żebra. Odchylił się do tyłu i wpatrywał przez chwilę w Martina.

Odezwał się dopiero po chwili i powiedział zupełnie zmienionym głosem:

— Nie miałem pojęcia, że ostatnimi czasy czerpiesz z tego jakieś korzyści finansowe, Geraldzie.

— Nie czerpię.

— W takim razie wybacz, proszę, pytanie, dlaczego chciałeś... — Głos mu się załamał i nie mógł już dokończyć.

— Sprzedać ci tę rzeźbę? — dokończył za niego Gerald Martin.

— Tak. Sprzedać. Wiem, że rozdałeś mnóstwo tych rzeczy, które robi Andrew. Ludzie mówili, że to praktycznie niemożliwe, aby wyjść od ciebie z pustymi rękami. Zresztą, kilka z nich widziałem. Nigdy nie padła kwestia pieniędzy, czyż nie mam racji? A teraz, nie wspominając już o tym, że nie jestem kolekcjonerem małych drewnianych rzeźb,

zadajesz mi tego rodzaju pytania... czy chciałbym nabyć jedną z tych rzeczy...? Dlaczego? Bardzo wątpię, byś miał jakiś szczególny powód żądać ode mnie pieniędzy za coś, co inni dostają za darmo. Na pewno też ich nie potrzebujesz. Sam mi to powiedziałeś. W każdym razie, ile mógłbyś dostać za to cacko? Pięćset dolarów? Tysiąc? Jeśli nadal jesteś tak bogaty, jak podejrzewam, Geraldzie, to jaką by ci sprawiało różnicę pięćset lub tysiąc dolarów?

— Dla mnie...? Bez znaczenia. Ale dla Andrew, owszem.

— Co takiego!?

— Trafnie oceniłeś wartość, John. Myślę, że dostałbym z tysiąc za tę rzecz. A za krzesła i biurka, które zrobił Andrew, oferowano mi nawet więcej. Nie chodzi o jednorazową sprzedaż, lecz o całą dystrybucję, produkcję na dużą skalę. Gdybym przyjął oferowane mi pieniądze, uzbierałoby się już całkiem pokaźne konto bankowe... kilkaset tysięcy dolarów. I to tylko za same meble.

Feingold szarpnął za kołnierzyk, rozpinając go.

— Dobre nieba, Geraldzie... Nic z tego nie pojmuję. Bogaty człowiek, który chce być jeszcze bogatszy, zaprzęgając swego robota do swego rodzaju chałupniczej roboty...

— Już ci mówiłem, John, że pieniądze nie byłyby dla mnie. To wszystko miałyby być dla Andrew. Chcę rozpocząć sprzedaż jego produktów, a pieniądze ulokuję na koncie pod nazwiskiem Andrew Martin.

— Konto bankowe na nazwisko robota?

— Właśnie. I dlatego poprosiłem cię, byś tu dzisiaj przyszedł. Chcę wiedzieć, czy założenie konta na nazwisko robota jest legalne. Konta, które byłyby pod kontrolą Andrew. Rozumiesz, o co mi chodzi... całkowicie jego własne pieniądze, które mógłby wydawać tak, jak by mu się podobało...

Feingold przerwał mu, w jego głosie pobrzmiwała drwina i zdumienie.

— Legalne? Dla robota...? Zarabianie pieniędzy i oszczędzanie? Geraldzie, nie wiem. Po prostu nie wiem. Jak dotąd nie słyszałem o jakimkolwiek tego typu precedensie. Nie sądzę, żeby prawo tego zabraniało, ale w końcu roboty to nie ludzie. Jak więc mogą mieć konta bankowe?

— Korporacje też nie są ludźmi. Chyba że w jakimś abstrakcyjnym sensie. To jest legalna fikcja, jak byś to prawdopodobnie określił. Niemniej jednak korporacje miewają konta bankowe.

— Owszem, i to nawet pokaźne. Ale w świetle prawa korporacje przez całe wieki były postrzegane jako struktury w pełni uprawnione do posiadania dóbr wszelkiego typu. Roboty, Geraldzie, nie mają żadnych powszechnych praw, czego z pewnością jesteś świadom. A jeśli chodzi o kwestię procedury, to korporacje mają swoich przedstawicieli, pracowników, którzy podpisują wszelkie dokumenty bankowe.

A kto otworzyłby konto Andrew? Ty? Czy byłoby to wtedy konto Andrew, gdybyś to

ty je otworzył?

— Otwierałem konta dla moich dzieci — odparł Sir. — Mimo to konta należą do nich. Poza tym Andrew może się podpisać tak samo jak ty czy ja.

— Tak. Oczywiście. Przypuszczam, że może. — Feingold przechylił się tak mocno, że krzesło aż zaskrzypiało. — Niech pomyślę. To wszystko jest bardzo niezwykle. Czy istnieje jakikolwiek przepis zabraniający robotom posiadania własności? Czy też po prostu z góry zakładamy, iż jest to... niedozwolone, gdyż sam pomysł jest tak niesamowity, że nikomu nie przyszłoby to do głowy? Muszę to dokładnie zbadać, zanim przedstawię ci swoją opinię. Całkiem możliwe, że takie prawo nie istnieje, ponieważ samo posiadanie przez roboty jakiejkolwiek własności jest tak osobliwą kwestią, że nikt nie uważał za konieczne, by wziąć ją pod rozwagę. W końcu nikt nie zwraca sobie głowy wydawaniem praw zabraniających drzewom posiadania kont w banku albo kosiarkom...

— Koty i psy mają swoje konta i fundusze powiernicze, które pozostawiają ich kochający właściciele — wtrącił Sir. — I sądy nie mają nic przeciwko temu.

— Tak, ale to zupełnie inna sprawa. W końcu koty i psy są żywymi istotami. A roboty nie. Są... nieożywione.

— Co za różnica?

— Zastanów się, Geraldzie. Nasze społeczeństwo jest w pewien sposób uprzedzone do robotów. Powiedziałbym nawet, że obawia się ich. A to zupełnie nie dotyczy kotów i psów. Równie dobrze ktoś mógł już ustanowić zakaz ograniczający prawa robotów do posiadania własności, ale to można łatwo sprawdzić. Załóżmy jednak, że nie ma takiego zakazu. Jak zamierzasz się do tego zabrać? Zaprowadzisz Andrew do banku i każesz mu porozmawiać z dyrektorem?

— Poproszę po prostu, by przysłano mi formularze, a Andrew je podpisze. Osobisty kontakt nie jest konieczny. Chcę tylko, John, abyś powiedział mi, jak mogę ochronić Andrew, i siebie również, jak sądzę, przed negatywną reakcją opinii publicznej. Nawet jeśli okaże się, że może mieć swoje konto, prawdopodobnie znajdą się tacy, którym to się nie spodoba.

— A jak się o tym dowiedzą? — zapytał Feingold.

— A jak ich przed tym powstrzymamy? — odpowiedział pytaniem Sir. — Powiedzmy, jeśli ktoś kupi coś od niego i wystawi czek na nazwisko Andrew Martin...

— Hmm, tak. — Feingold zamyślił się, a po chwili powiedział: — Cóż, jedyne, co możemy zrobić w tej sytuacji, to stworzyć korporację, która zajmowałaby się finansami w jego imieniu; korporację o ładnej, bezosobowej nazwie, dajmy na to Kalifornijska Pracownia Wytwarzania Wyrobów Artystycznych z Drewna, Sp. z o.o. A Andrew może zostać jej prezesem i jedynym akcjonariuszem, aczkolwiek możemy zrobić siebie członkami zarządu. To stworzy prawne zabezpieczenie, które odgrodzi go od wrogiego świata. To wystarczy, Geraldzie. Jeśli Andrew zechce kiedykolwiek coś kupić, po prostu pobierze pen-

się z kasy korporacji albo wyznaczy sobie dywidendę. To, że jest robotem, nie musi się stać sprawą publiczną. Dokumenty rejestracyjne wymagają jedynie nazwisk udziałowców, a nie ich aktów urodzenia. Oczywiście, Andrew będzie musiał wypełniać zeznania podatkowe, lecz urząd skarbowy nie będzie dochodził, czy podatnik Andrew Martin jest człowiekiem, czy nie. Będzie ich obchodzić jedynie to, czy podatnik Andrew Martin płaci na czas podatki.

— Dobrze. Czy coś jeszcze?

— Nic w tej chwili nie przychodzi mi do głowy. Jeżeli na coś natrafię, zacznę szukać precedensu i zaraz cię zawiadomię. Przypuszczam jednak, że to się uda. Dopóki będziesz działał po cichu i zgodnie z literą prawa, nikt cię nie powstrzyma. A jeżeli ktoś się dowie, o co chodzi, i nie spodoba mu się to, cóż... Tylko od niego będzie zależało, czy podejmie przeciwko tobie jakieś działanie, pod warunkiem oczywiście, że będzie miał ku temu podstawy prawne.

— A jeżeli tak się stanie, John? Podejmiesz się tej sprawy, w wypadku gdy ktoś wytoczy nam proces?

— Oczywiście. Ale tylko za odpowiednie wynagrodzenie.

— Co masz na myśli?

Feingold uśmiechnął się.

— Coś w tym rodzaju — powiedział i wskazał na drewnianą płytkę.

— W porządku. — Sir również się uśmiechnął.

— Nie żebym był kolekcjonerem, ale to ma w sobie jakiś artystyczny urok.

— W rzeczy samej — odrzekł Sir. — W rzeczy samej.

Feingold zachichotał i zwrócił się do robota:

— Andrew, będziesz bogatym... cóż, człowiekiem może nie, lecz z pewnością bogatym robotem. Cieszysz się?

— Tak, proszę pana.

— A co zamierzasz zrobić z tymi wszystkimi pieniędzmi, które zarobisz?

— Płacić za rzeczy, za które płaciłby Sir. Zaoszczędzę mu wydatków, proszę pana.

ROZDZIAŁ 6

Okazje do korzystania z konta nadarzały się częściej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Od czasu do czasu Andrew, jak każda maszyna, choćby nie wiadomo jak dobrze wykonana, wymagał pewnych napraw. A naprawy robotów były nie lada wydatkiem. Poza tym robotyka stale się rozwijała, wciąż coś ulepszano, odkrywano i wynajdywano. Nie były to już czasy, gdy przemysł mechaniczny wypuszczał na rynek egzemplarze, które nie umiały nawet mówić. Ulepszeniom z zakresu projektowania, funkcjonowania i wydajności nie było końca. Przez te wszystkie lata roboty stały się bardziej wymuskane, zwinne, ruchliwe i wytrzymałe.

Sir zawsze pilnował, by wszystkie nowinki Amerykańskich Robotów stawały się udziałem Andrew i aby odnosił on z tego bezpośrednie korzyści. Kiedy ulepszono obwody homeostatyczne, Sir postarał się natychmiast, by wyposażono w nie Andrew. Kiedy ukazały się nowe i daleko bardziej efektywne mechanizmy stawów kolanowych, oparte na technologii elastomerów, Andrew natychmiast je otrzymał. Parę lat później opracowano nowe panele twarzowe, zbudowane z włókien węglowych na bazie żywic epoksydowych, które nieco bardziej przypominały ludzką twarz. Stały się one krzykiem mody i Andrew również je otrzymał. Nadały mu delikatnego, poważnego i subtelnego wyglądu. Nawet Sir, ponaglany przez Małą Miss, przyznał w końcu, że nowa twarz lepiej odzwierciedla naturę Andrew. Mała Miss chciała, aby Andrew stał się wzorem metalicznej doskonałości, a Sir w pełni podzielał to pragnienie.

Rzecz jasna, wszystkie wydatki pokrywał Andrew.

Nalegał na to. Nie chciał nawet słyszeć o tym, by Sir miał płacić za cokolwiek, co było związane z jego udoskonaleniami. Z warsztatu Andrew wychodziły nieprzerwanym strumieniem wspaniałe dzieła sztuki: biżuteria z rzadkich i pięknych rodzajów drewna, okazałe meble biurowe, wspaniałe i eleganckie kanapy do sypialni, bogato zdobione lampy i półki na książki.

Nie było też potrzeby urządzać żadnego salonu wystawowego ani katalogu. Wieść rozchodziła się z ust do ust, a całość produkcji Andrew była zamówiona na miesiąc

i lata naprzód. Czeki przesyłano na konto Kalifornijskiej Pracowni Wyrobów Artystycznych Sp. z o.o., a jej jedynym udziałowcem, mającym prawo pobierać pieniądze, był właśnie Andrew. Kiedykolwiek zaistniała potrzeba, by Andrew udał się do Amerykańskich Robotów dla dokonania konserwacji lub usprawnień, to nikt inny tylko KPWA płaciła podpisanymi przez niego czekami.

Nietknięty pozostał jedynie jego pozytronowy mózg. Sir był na to szczególnie wyczulony.

— Nowe roboty — powiedział — nie są nawet w przybliżeniu tak dobre jak ty, Andrew. Te nowe są na żenująco niskim poziomie intelektualnym. Korporacja odniosła wielki sukces i nauczyła się, jak konstruować doskonałe mózgi, posłuszne i łatwe w obsłudze. Ale kij ma dwa końce. Te roboty są nudne. Nie mają żadnej inwencji. Można doskonale przewidzieć, co powiedzą i zrobią. Wykonują dokładnie to, i tylko to, do czego zostały zaprojektowane. Ani krztyny więcej, ani mniej. Zdecydowanie wolę ciebie, Andrew.

— Dziękuję, Sir.

— Korporacja będzie twierdzić, rzecz jasna, że ich nowe roboty są sprawne w 99, a nawet w 100 procentach. Niech im będzie. Ale ty jesteś skuteczny w 102, a może i 110 procentach. A oni, w Amerykańskich Robotach, nie chcą tego. Są za perfekcją i sądzę, że już ją osiągnęli. Mam na myśli oczywiście perfekcję w ich mniemaniu. Perfekcyjny służyący. Funkcjonujący bez zakłóceń, doskonały mechanizm. Ale perfekcja nie może podlegać takim ograniczeniom, Andrew. Nie sądzisz? Doprowadziło to do produkcji bezdusznych automatów, które nigdy nie zrobią nic ponad to, co zaprojektowali ich konstruktorzy. W twoim wypadku jest zupełnie inaczej, Andrew. Nie jesteś bezduszną maszyną, to oczywiście dla nas obu. A jeśli chodzi o ograniczenia...

— Z pewnością podlegam ograniczeniom, Sir.

— Oczywiście, że tak. Ale dobrze wiesz, że nie o tym mówię. Jesteś artystą, Andrew, mistrzem rzeźby w drewnie. A będąc artystą, musisz mieć duszę... gdzieś tam, w twoich pozytronowych ścieżkach. Nie pytaj mnie, jak to się stało. Nie wiem tego ani ja, ani ludzie, którzy cię zaprojektowali. Ale ona tam jest. To ona sprawia, że potrafisz robić te wszystkie cudowne rzeczy. A to dlatego, że twój pozytronowy mózg jest produkcją starej daty i nie został zaprojektowany do ostatniego szczegółu. Jest projektem ogólnym. A to jest twoim atutem... Takich mózgów już się nie robi. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

— Tak. Wydają mi się, że tak, proszę pana.

— Stało się tak dlatego, że swego czasu zaprosiłem tu Merwina Mansky'ego, by ci się przyjrzał. Jestem przekonany, że gdy tylko Smythe i Mansky wrócili do siebie, natychmiast kazali zatrzymać całą produkcję mózgów tamtej generacji. Twoje dokonania musiały ich niezłe przestraszyć. Przeraziła ich nieprzewidywalność.

— Przeraziła? Czy ja mógłbym kogokolwiek przestraszyć, Sir?

— Przestraszyłeś Mansky'ego, tyle wiem na pewno. Mocno go przestraszyłeś, Andrew. Widziałem, jak mu drżała ręka, gdy podawał Smythe'owi twoją rzeźbę. Mansky nie przewidział takich uzdolnień artystycznych u robotów serii NDR. Założę się, że nawet nie sądził, iż takie coś jest możliwe. A wtedy zjawiłeś się ty ze swoimi arcydziełami. — Sir przerwał na moment i popatrzył prosto w oczy swego robota. — Czy wiesz — powiedział po chwili — ile razy w ciągu tych pięciu lat dzwonił do mnie i próbował nakłonić, bym odesłał cię do fabryki na szczegółowe badania? Dziewięć razy. Dziewięć! Za każdym razem odmówiłem. A kiedy rzeczywiście musiałeś iść do fabryki, by mogli cię usprawnić, dokładałem wszelkich starań, by Mansky trzymał się od ciebie z daleka. Musiałem o to zabiegać u Smythe'a, u Jimmiego Robertsona lub u któregoś z głównych dyrektorów. Oni wymogli na Manskym obietnicę, że nie będzie się do niczego wtrącał. A teraz, no cóż, Mansky jest już na emeryturze, a Amerykańskie Roboty nie robią już takich mózgow jak twój. Chyba wreszcie będziemy mieć trochę spokoju.

Sir zrezygnował ze swego stanowiska w Legislaturze Regionalnej. Wiele mówiono o jego ubieganiu się o stanowisko koordynatora rejonowego, ale tak się jakoś zawsze składało, że nigdy nie nadszedł odpowiedni moment. Sir chciał jeszcze pozostać w Legislaturze, by dopilnować wprowadzenia w życie pewnych ustaw. W tym samym czasie powołano nowego koordynatora, którego pozycja zdawała się tylko tymczasowa; miał zatrzymać fotel tak długo, aż Sir będzie mógł przejąć jego obowiązki.

Tymczasem jednak okazało się, że nowy koordynator jest człowiekiem zaradnym i energicznym, a więc pozostał na stanowisku przez kolejną kadencję, a potem jeszcze przez następną. W tym też czasie Sir zaczął już odczuwać trudy służby publicznej i stracił zainteresowanie ubieganiem się o stanowisko na kolejną kadencję. (A może, po prostu, pogodził się z faktem, że ludzie wolą na tym stanowisku kogoś młodszego.)

Wraz z upływem czasu Sir bardzo się zmienił. Nie była to tylko utrata energii i siły przekonywania, które tak bardzo były mu pomocne w ciągu jego kariery. Włosy, mocno już teraz przerzedzone, posiwiały znacznie, a twarz utraciła swą jędrność i wyrazistość. Tak niegdyś przenikliwy i bystry wzrok zawodził coraz częściej. Nawet sławne wąsy nie były już tak imponujące i bujne. Andrew zaś wyglądał znacznie lepiej niżli wtedy, gdy dołączył do rodziny Martinów — był teraz całkiem przystojny na swój roboci sposób.

Bieg czasu nie oszczędził rodziny Martinów; wraz z jego upływem zmienił się cały dom. Pani zdecydowała w końcu, po trzydziestu przeszło latach bycia panią Martin, że nadszedł moment na dokonanie pewnych zmian. Chciała pełnić teraz inną rolę, już nie małżonki wpływowego członka Legislatury Regionalnej. Grała ją wystarczająco długo, lojalnie i bez utyskiwań, doskonale się z niej wywiązując.

Pewnego dnia powiadomiła o tym męża; rozstali się więc, pozostając jednak przyjaciółmi. Pani podążyła do Europy, by przyłączyć się do jednej z tamtejszych wolnych grup artystycznych. Andrew nie był pewien, czy było to we Francji, czy też może we Włoszech. Dla niego były to tylko nazwy. A znaczki na listach, które z rzadka pisywała do męża, niczego w tej kwestii nie wyjaśniały. Andrew miał zresztą również kłopoty ze zrozumieniem natury tych znaczków, jako że Francja i Włochy były tylko prowincjami Regionu Europejskiego. Dlaczego więc przywiązywano taką wagę do różnorodności tych znaczków? A może chodziło o zachowanie pewnej odrębności kulturowej, pomimo że świat już dawno wyszedł z epoki lokalnej niezależności i rywalizujących ze sobą narodowości?

Obie dziewczęta były już dorosłe. Miss, o której chodziły słuchy, że była przepiękną kobietą, wyszła za mąż i przeniósła się do południowej Kalifornii. Wkrótce jednak ponownie wyszła za mąż i zamieszkała w Ameryce Południowej. Po pewnym czasie zaczęły krążyć plotki, że znalazła sobie trzeciego męża, a nowy dom aż w Australii. Obecnie jednak Miss mieszkała w Nowym Jorku i zajmowała się poezją. Andrew podejrzewał, że życie, jakie wiodła Miss, dalekie było od powszechnie przyjętego przez ludzi pojęcia szczęścia, i było mu z tego powodu przykro. Wciąż jednak nie dane mu było zrozumieć do końca natury tego zjawiska, które ludzie nazywali szczęściem. Więc może jednak Miss wiodła życie takie, jakie wieść chciała...? Andrew miał przynajmniej nadzieję, że tak jest.

Co się zaś tyczyło Małej Miss, to wyrosła ona na zgrabną i wysmukłą kobietę o delikatnej twarzy i wyrazistych kościach policzkowych, o łagodnym, acz stanowczym charakterze. Andrew nigdy nie słyszał, aby w jego obecności mówiono cokolwiek i kiedykolwiek o jej piękności. O Miss wszelako zawsze mówiono jako o pięknej siostrze, Małą Miss zaś chwalono przede wszystkim za jej przymioty charakteru, a nie za wygląd. Jednak dla Andrew złotowłosa Mała Miss zawsze była daleko piękniejsza od swojej starszej siostry. Ale jego gust się nie liczył; był to tylko gust robota. W praktyce oznaczało to, że Andrew nie miał prawa wygłaszać żadnych opinii na temat wyglądu ludzi i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Mniej więcej w rok po ukończeniu college'u Mała Miss wyszła za mąż za Lloyda Charneya, architekta, który wychował się na Wschodnim Wybrzeżu, ale który z ochotą zgodził się zamieszkać na dziewiczym wybrzeżu północnej Kalifornii, tak ukochanej przez jego żonę. Tak więc Mała Miss mieszkała stosunkowo blisko domu rodzinnego.

Poza tym Mała Miss od początku postawiła sprawę jasno. Chciała być możliwie jak najbliżej Andrew, robota ojca, który był jej opiekunem i mentorem od najwcześniejszych lat dzieciennych. Jeśli nawet Lloyd Charney był tym nieco zdziwiony, to nie dał tego po sobie poznać i nie sprzeciwił się życzeniu żony. Tak więc Mała Miss bywała stosunkowo częstym gościem w wielkiej posesji rodzinnej, zamieszkaney teraz tylko przez

starego Geralda Martina i wiernego Andrew.

W czwartym roku małżeństwa Mała Miss urodziła chłopca, któremu dali na imię George. Miał płoworude włosy i duże, poważne oczy. Andrew nazywał go Mały Sir. Kiedy Mała Miss zabierała go w odwiedziny do dziadka, pozwalała, by opiekował się nim Andrew, który nosił go na rękach, karmił z butelki i gładził po brzuszku, gdy chłopczyk się najadł.

Wizyty Małej Miss i jej synka były dla Andrew źródłem wielkiej radości. Cieszyło go, gdy mógł się opiekować chłopcem. Poza tym Andrew był nie tylko mistrzem rzeźbiarstwa. Był przecież także, a raczej przede wszystkim, domowym robotem serii NDR. Opieka nad dziećmi była integralną częścią jego oprogramowania.

Andrew wyczuwał, że narodziny wnuka stanowiły dla pana Martina pewną rekompensatę po stracie tych, którzy opuścili dom rodzinny. Od pewnego też czasu Andrew czekał na stosowny moment, by przedłożyć panu Martinowi pewną niezwykłą propozycję. Wciąż jednak się wahał. Dopiero Mała Miss, która wiedziała, o co chodzi, nakłoniła go wreszcie do wyjawienia prośby.

Gdy Andrew stanął w drzwiach dużego pokoju, Sir siedział przed kominkiem w swym obszernym fotelu, trzymając na kolanach dość opasłą książkę, której jednak najwyraźniej nie czytał.

— Czy mogę wejść, Sir?

— Przecież wiesz, że nie musisz o to pytać. Ten dom jest tak samo twój, jak i mój, Andrew.

— Tak, Sir. Dziękuję.

Robot postąpił parę kroków do przodu, a odgłos metalicznych kroków zadźwięczał na ciemnym drewnie podłogi. Potem zatrzymał się i czekał w milczeniu. Wiedział, że czeka go bardzo trudna rozmowa. Sir zawsze potrafił trzymać nerwy na wodzy, ale wraz z upływem lat stawał się coraz bardziej wybuchowy.

Ponadto istniały także pewne kryteria Pierwszego Prawa, które Andrew musiał wziąć pod uwagę. Konsekwencje tej rozmowy mogły się okazać dla pana Martina bardzo poważne, a nawet doprowadzić do uszczerbku na zdrowiu.

— I cóż...? — odezwał się po chwili Sir. — Nie stój tam tak, Andrew. Z wyrazu twojej twarzy wnoszę, że chcesz ze mną o czymś porozmawiać.

— Wygląd mojej twarzy nigdy się nie zmienia, Sir.

— No więc, jeśli wolisz, wnoszę to z twojej postawy. Wiesz przecież, o co mi chodzi. Bo przecież o coś tu chodzi, prawda? No dalej, co to takiego, Andrew?

Andrew milczał jeszcze przez chwilę, a potem powiedział:

— To, co chcę panu powiedzieć, to... to... — Wciąż jednak nie mógł się na to zdobyć, wciąż się wahał. A potem, jakby nagle pękła jakaś blokada, wyrecytował ułożoną wcześniej mowę. — Sir, nigdy pan nie ingerował w żaden sposób w moją politykę finanso-

wą. Zawsze pozwalał mi pan robić z pieniędzmi to, na co miałem ochotę. To było bardzo miłe z pana strony, Sir.

— To były twoje pieniądze, Andrew.

— Tylko dzięki pana wspaniałomyślnej zgodzie, Sir. Jestem przekonany, że w świetle prawa mógłby pan dysponować tymi pieniędzmi. Ale zamiast tego założył pan przedsiębiorstwo, dla mnie... i pozwolił mi z nich korzystać.

— Myślę, że inne rozwiązanie byłoby błędem. A moje ewentualne prawne prerogatywy nie mają żadnego znaczenia w wypadku twoich pieniędzy.

— Zgromadziłem już pokaźny majątek, proszę pana.

— No, mam taką nadzieję. Bardzo ciężko na to pracowałeś.

— Po opłaceniu podatków oraz po odliczeniu sum związanych z wydatkami na moje utrzymanie i usprawnianie odłożyłem na czysto dziewięćset tysięcy dolarów.

— Wcale mnie to nie dziwi, Andrew.

— Chciałbym je panu podarować, Sir.

Sir zmarszczył brwi, a było to jedno z największych zmarszczeń w jego repertuarze. Usta otworzyły się szeroko, wąs zaczął alarmująco drżeć, a w oczach, mimo że zamglonych nieco z powodu wieku, błysnęły iskry gniewu.

— Co?! A cóż to za nonsens, Andrew?

— To żaden nonsens, Sir.

— Gdybym kiedykolwiek zapragnął twoich pieniędzy, to nie organizowałbym ci żadnego przedsiębiorstwa, czyż nie? Z pewnością też nie chcę ich teraz. Mam tyle pieniędzy, że i tak nie wiem, co mam z nimi począć.

— Niemniej jednak, Sir, chciałbym móc przelać swoje fundusze na pana...

— Nie wezmę ani grosza, Andrew. Ani grosza.

— ...lecz niejako podarunek — ciągnął dalej Andrew — ale jako cenę za coś, co mogę uzyskać tylko od pana, Sir.

Sir spojrział na niego tak, jakby go zobaczył po raz pierwszy w życiu. Czuł się też trochę zawiedziony i jakby oszukany.

— A cóż to takiego, co chciałbyś ode mnie kupić, Andrew?

— Moją wolność, Sir.

— Twoją...

— Moją wolność. Chciałbym kupić moją wolność, Sir. Aż dotąd byłem tylko jedną z pana własności, a obecnie chciałbym się stać niezależny. Na zawsze zachowam w stosunku do pana poczucie lojalności i obowiązku, ale...

— Na miłość boską! — wykrzyknął Sir strasznym głosem. Powstał z fotela, a książka spadła na podłogę. Usta mu drżały, a cała twarz oblekła się w siną purpurę. Andrew nigdy jeszcze nie widział go w takim stanie.

— Wolność!? Wolność, Andrew!? O czym ty, na wielkie nieba, mówisz? — Wykrzykując te słowa, Sir zaczął chodzić nerwowo po pokoju, tam i z powrotem.

ROZDZIAŁ 7

Andrew wezwał na pomoc Małą Miss. Nie chodziło tu głównie o niego, ale o to, że gniew starszego pana doszedł już do takiego poziomu, że Andrew zaczął się poważnie niepokoić o jego zdrowie. Mała Miss zaś była jedyną osobą, która mogła go uspokoić i doprowadzić do normalnego stanu.

Gdy przyjechała, Sir był w swojej sypialni. Przebywał tam już od paru godzin. Andrew wskazał na drzwi i zatrzymał się przed nimi. Sir chodził tam i z powrotem nerwowym krokiem. Poruszał się z taką determinacją, jakby zamierzał wydeptać ścieżkę w puszystym wschodnim dywanie. Nie zwracał najmniejszej uwagi na dwie postacie stojące w korytarzu.

Mała Miss obejrzała się na Andrew.

— Na co tam czekasz? — spytała.

— Jestem przekonany, że to nie byłoby rozsądne, gdybym teraz wszedł.

— Nie bądź głuptasem.

— Przecież to właśnie ja go tak zdenerwowałem.

— Tak, wiem. Ale z pewnością już mu przeszło. Chodź ze mną i szybko załatwimy tę sprawę.

Lecz Andrew słyszał nerwowe kroki swego pana, które nie milkły ani na chwilę.

— Z całym szacunkiem, Mała Miss, ale nie wydaje mi się, aby mu przeszło. Pan wciąż jest bardzo zdenerwowany. A jeśli zdenerwuję go jeszcze bardziej... Nie, Mała Miss, nie jestem w stanie przekroczyć progu tego pokoju, dopóki nie zapewnisz mnie, że uspokoił się na tyle, by chcieć mnie widzieć.

Mała Miss popatrzyła na Andrew, a potem skinęła głową i powiedziała:

— W porządku, rozumiem.

Weszła do środka. Andrew usłyszał, że nerwowe kroki pana nieco ustały. Słyszał łagodny głos Małej Miss i groźny, niczym pomruki wulkanu przed wybuchem, głos Geralda Martina. Potem znów mówiła Mała Miss, tak samo spokojnie jak poprzednio, potem znów Sir, ale już nie tak nerwowo. A potem znów usłyszał głos Małej Miss, ale tym

razem już nie tak łagodny, a wręcz stanowczy.

Przez cały ten czas Andrew nie miał pojęcia, o czym mówią. Z łatwością mógł nastawić swoje receptory słuchowe tak, aby słyszeć każde słowo, ale wydawało mu się to wielce niestosowne. Pozwolił sobie jedynie na kontrolowanie rozmowy w stopniu wystarczającym, by wiedzieć, czy Sir nie potrzebuje jego pomocy. Nie rozróżniał jednak poszczególnych słów.

Po pewnym czasie Mała Miss pojawiła się w drzwiach.

— Chciałbyś teraz wejść, Andrew?

— Jak już wspomniałem, martwię się bardzo o kondycję pana Martina, Mała Miss. Jeślibym wszedł i ponownie go sprowokował do...

— Jego stan emocjonalny jest w normie, Andrew. A gdy upuści trochę pary, to mu nawet pomoże. A teraz chodź już. Wejdź, proszę.

To był już bezpośredni rozkaz i Andrew nie mógł go zignorować.

Sir siedział przy oknie, w swoim wielkim mahoniowo-skórzanym fotelu, który Andrew zrobił dla niego ponad piętnaście lat temu, owinięty szczelnie ciepłym pledem. Rzeczywiście, był teraz znacznie spokojniejszy, ale w jego oczach wciąż czaił się gniew. Przypominał w tej chwili rozgniewanego imperatora, strapionego nieposłuszeństwem poddanych.

Pierwsza odezwała się Mała Miss.

— W porządku, ojcze. Możemy podyskutować o tym spokojnie i rozsądnie, czyż nie?

Sir wzruszył ramionami.

— Zawsze i o wszystkim rozmawiałem spokojnie i rozsądnie.

— Tak, ojcze, zgadza się.

— Ale to, Mandy... ta totalna bzdura... ten wielki nonsens, który Andrew...

— Ojczel!

— Przepraszam. Ale nie potrafię się opanować, kiedy stoję w obliczu takiej bzdury... szaleństwa...

— Wiesz przecież, że Andrew nie jest zdolny do szaleństwa. Szaleństwo jest mu z definicji obce.

— Kiedy on mówi o uzyskaniu wolności... jego wolności, na Boga! Co to jest, jak nie szaleństwo? — Sir znów zaczął niebezpiecznie czerwienić na twarzy.

Andrew znów był zmieszany z powodu swojej obecności w pokoju i związanej z tym sytuacji. Sir wydawał się na granicy apopleksji. A jeśli miałoby mu się coś stać, a przyczyną tego byłaby owa historia...

— Dosyć tego, ojczel! — krzyknęła w końcu Mała Miss. — Po prostu już dosyć! Nie możesz cały czas tak się zachowywać.

Andrew był zaskoczony, słysząc, że Mała Miss mówi do swego ojca tak ostro i zu-

chwale. Brzmiało to tak, jakby matka upominała kapryśnego synka. I w tym momencie Andrew zdał sobie nagle sprawę z tego specyficznego dla rodzaju ludzkiego paradoksu odwróconych ról. Niegdyś to Sir był kimś bardzo energicznym, apodyktycznym, autokratycznym i wszystkowiedzącym... Teraz zaś był słaby i bezradny jak dziecko, a Mała Miss sprawowała nad nim kontrolę.

Dziwiło go również to, że wszystko działo się na jego oczach. Co prawda nikt z rodziny Martinów nie wahał się nigdy mówić przy nim nawet o najintymniejszych sprawach... Więc niby dlaczego mieliby się krępować jego obecnością teraz? Przecież był tylko robotem.

— Wolność — mówił Sir już bardziej opanowanym tonem. — Dla robota!

— To rzeczywiście dość niezwykły pomysł, przyznaję. Ale dlaczego traktujesz to jako osobisty afront?

— Osobisty? Traktuję to jako afront przeciw logice, przeciw zdrowemu rozsądkowi! Posłuchaj, Mandy. Co byś powiedziała, gdyby pewnego dnia podszedł do ciebie frontowy przedsionek twojego domu i oznajmił: „Chciałbym być wolny. Chcę się przenieść do Chicago i tam być frontowym przedsionkiem. Sądzę, że bardziej mogę się spełnić jako frontowy przedsionek właśnie tam”.

Andrew zauważył, jak na policzku Małej Miss zadrgał mięsień. Zrozumiał nagle, że tak gwałtowna reakcja Martina musi mieć jakiś związek z odejściem Pani Martin i jej decyzją, że chce być wolną kobietą gdzieś tam daleko, w Europie.

Istoty ludzkie były tak bardzo skomplikowane...!

— Frontowy przedsionek nie może nic powiedzieć — odparła wolno Mała Miss.

— Ani też podjąć żadnej decyzji o przeniesieniu się gdziekolwiek. Frontowe przedsionki nie bywają inteligentne. A Andrew jest!

— To sztuczna inteligencja.

— Ojczy, mam wrażenie, że słyszę w tej chwili bełkot jakiegoś zapaleńca ze skrajnej frakcji Społeczeństwa dla Ludzkości. Andrew mieszka z tobą od dziesięcioleci. Znasz go tak dobrze, jak każdego innego człowieka z naszej rodziny. A teraz mówisz o nim tak, jak o odkurzacz do dywanów. Andrew jest osobą i ty dobrze o tym wiesz.

— Sztuczną osobą — odpowiedział Sir, ale trochę już spuścił z tonu.

— Sztuczną, zgadza się. Bez wątpienia. Ale mamy obecnie dwudziesty drugi wiek, ojczy, i to już od dosyć dawna. Z pewnością potrafimy dokładnie rozeznaczyć się w sytuacji... Wiemy, że roboty są skomplikowanymi organizmami o wrażliwych osobowościach... Mają odczucia i uczucia, mają... no cóż, mają dusze.

— Nie chciałbym bronić tego twierdzenia w sądzie — stwierdził Sir. Powiedział to już jednak tonem o wiele spokojniejszym, z nutą zadumy, która zastąpiła niedawny gniew. Najwidoczniej już odzyskiwał kontrolę nad sobą.

Andrew zaczął odczuwać ulgę.

— Nikt cię nie prosi, abyś bronił tego w sądzie — odparła Mała Miss. — Spróbuj to tylko zaakceptować. Andrew chciałby, abyś dał mu dokument zaświadczający, że jest wolną, niezależną jednostką. Chce ci to sownie wynagrodzić, aczkolwiek żadne wynagrodzenie nie jest tu przecież konieczne. Ma to być tylko proste potwierdzenie jego niezależności. Co w tym takiego strasznego, jeśli wolno spytać.

— Nie chcę, żeby Andrew mnie opuścił — powiedział Sir, a w jego głosie pobrzmiwał smutek.

— Ach! O to chodzi! W tym jest właśnie haczyk, prawda, ojczu?

W oczach Geralda Martina nie było już gniewu. Wydawał się teraz pogrążony w żalu nad sobą.

— Jestem starym człowiekiem. Moja żona odeszła dawno temu, starsza córka jest dla mnie niczym obcy człowiek, a młodsza wyprowadziła się na swoje. Jestem zupełnie sam w tym wielkim domu, nie licząc Andrew. A teraz i on chce odejść. No cóż, nie może. Andrew jest mój. Należy do mnie i mam prawo nakazać mu, aby tu został, czy mu się podoba, czy nie. Przez te wszystkie lata żył sobie tutaj łatwo i przyjemnie, i jeśli teraz mu się wydaje, że może mnie tak po prostu opuścić, gdy jestem stary i schorowany, to niech...

— Ojczu!

— To niech o tym lepiej zapomni! — krzyknął Sir. — Niech sobie to wybije z głowy!

— I znów sam doprowadzasz się do takiego stanu.

— No i co z tego?

— Spokojnie, opanuj się. Czy Andrew powiedział, że chce cię zostawić?

— A cóż innego miałoby to wszystko znaczyć? — zapytał zdumiony Sir.

— On chce tylko kawałka papieru. Oficjalny dokument. Po prostu kilka słów. On nie chce nigdzie odchodzić, ojczu. Wyobrażałeś sobie, że wyjedzie do Europy i tam założy pracownię rzeźbiarską? Nie. To nie tak. Andrew zostanie tu z tobą. I będzie tak samo lojalny, jak zawsze był. Jeżeli wydasz mu jakieś polecenie, on je spełni. Czegokolwiek będziesz sobie życzył. Nic tak naprawdę się nie zmieni. Andrew nigdy nie zdołałby wyprowadzić się z tego domu, gdybyś mu na to nie pozwolił. I nic nie może na to poradzić.

Tak jest po prostu skonstruowany. Wszystko, czego chce, to kilka słów. Chce, by nazywano go wolnym. Czy to takie straszne? Czy to cię przeraża? Czy Andrew nie zaśluził sobie na to?

— Więc tak uważasz? Czy to jakiś kolejny nonsens, który wbiłaś sobie do głowy?

— To nie nonsens, ojczu, i nie kolejny. Wielkie nieba, rozmawiamy o tym od lat.

— Rozmawiacie o tym od lat? Od lat?

— Tak, od lat, i ciągle od nowa. Po pierwsze to był mój pomysł. Kiedyś powiedziałam Andrew, że to absurdalne, by myślał o sobie jak o chodzącym gadzecie. Wtedy nie zare-

agował. Ale kiedy coraz więcej rozmawialiśmy na ten temat, zauważyłam, że zaczął się nad tym zastanawiać. I pewnego razu powiedział mi, że bardzo chciałby być wolny. Dobrze, odpowiedziałam wtedy. Powiedz o tym mojemu ojcu i sprawa będzie załatwiona. Ale on się bał. Wciąż to odsuwał, bo obawiał się, że może cię zranić. W końcu udało mi się go namówić, żeby z tobą porozmawiał.

Sir wzruszył ramionami.

— To nie było zbyt mądre. On nie wie, co to jest wolność. Skąd mógłby wiedzieć? Jest przecież robotem.

— Wciąż go nie doceniasz, ojcze. Andrew jest specjalnym robotem. On czyta i myśli o tym, co przeczytał. Uczy się i dojrzewa z roku na rok. Być może wtedy, gdy do nas przyszedł, był prostym mechanizmem, tak jak wielu jemu podobnych. Ale miał zdolność powiększania swej wiedzy, bez względu na to, czy jego konstruktorzy wiedzieli, jak to się dzieje, czy nie. I potrafił to wykorzystać. Ojcze, ja znam Andrew i powiem ci, że jest istotą tak samo złożoną i skomplikowaną jak ty czy ja.

— To nonsens, dziewczyno.

— Jak możesz tak mówić? On potrafi odczuwać. Musisz przecież zdawać sobie z tego sprawę. Najczęściej nie jestem pewna, co on odczuwa, ale tak samo często nie wiem, co ty czujesz. A w końcu mógłbyś wyrazić to mimiką czy innymi gestami, których on nie może wykorzystać. Kiedy z nim rozmawiasz, widzisz doskonale, że tak samo jak my, reaguje na tak abstrakcyjne pojęcia, jak miłość, strach, piękno, lojalność i setki innych. Czy to się nie liczy? Jeśli czyjeś reakcje są podobne do twoich, to jak tu nie pomyśleć, że ten ktoś jest do ciebie bardzo podobny?

— On nie jest taki jak my — odparł Sir. — On jest czymś zupełnie innym.

— On jest kimś zupełnie innym, jeśli już — poprawiła Mała Miss. — I wcale nie tak bardzo innym, jak chciałbyś, żeby był.

Sir pokręcił głową i wzruszył ramionami. Jego twarz wracała już do swojej normalnej barwy; była twarzą starego i zmęczonego człowieka.

Gerald Martin milczał przez chwilę. Spuścił wzrok i owinął się szczelniej płedem. Nadal wyglądał jak siedzący na tronie stary imperator, ale tym razem przypominał raczej władcę, który poważnie rozmyśla o swojej abdykacji.

— W porządku — odezwał się w końcu, a w jego głosie brzmiała gorzka nuta. — Wygrałaś, Mandy. Jeśli chcesz, żebym przyznał, że Andrew jest osobą, a nie maszyną, to bardzo proszę. Zgadza się. Andrew jest osobą. Jesteś teraz szczęśliwa?

— Nigdy nie mówiłam, że on jest osobą, ojcze.

— Mówiłaś, w rzeczy samej, Mandy, mówiłaś. Właśnie dokładnie to powiedziałaś.

— A ty mnie poprawiłaś i powiedziałaś, że jest sztuczną osobą. A ja się z tym zgodziłam.

— Dobrze, niech będzie. Andrew jest sztuczną osobą. I co z tego? Co to zmienia, że

będziemy nazywać go sztuczną osobą, a nie robotem? Bawimy się w słowne gierki. Fałszywy banknot może być uważany za banknot, ale wciąż pozostaje fałszywy. Możesz więc robota nazywać sztucznym człowiekiem, ale i tak wciąż...

— Ojciec, Andrew chce od ciebie tylko wolności. Nadal tu pozostanie i będzie robił wszystko, co w jego mocy, by uczynić twe życie miłym i wygodnym, tak jak to czynił zawsze, od kiedy tu zamieszkał. Chce tylko, byś powiedział mu, że jest wolny.

— Przecież to pustosłowie, Mandy.

— Może dla ciebie. Dla niego nie.

— W żadnym wypadku! Może i jestem już stary, ale jeszcze nie odebrało mi rozumu. Mówimy tu o ustanowieniu gigantycznego precedensu prawnego. Podarowanie robotom wolności nie zniesie Trzech Praw, ale za to otworzy im szerokie pole do różnorodnych działań: do walki o prawa, do narzekań, do wielu innych rzeczy. Roboty będą biegły do sądu i wносиły sprawy przeciw ludziom o zmuszanie ich do ciężkiej pracy albo o odmowę wyjazdu na wakacje, albo po prostu o to, że ktoś był dla nich niemiły. Roboty wniosą oskarżenie przeciwko Amerykańskim Robotom i Mechanicznym Ludziom o instalowanie ograniczeń wynikających z Trzech Praw. Jakiś pokątny, żądny sławy adwokacina będzie twierdził, że Trzy Prawa ograniczają wolność robotów i uniemożliwiają im życie w spokoju i szczęściu. Roboty będą chciały głosować. Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego wszystkiego, Mandy? Zrobi się potworny bałagan.

— Wcale nie musi tak być — odparła Mała Miss. — Nie musi wyniknąć z tego sprawa na całą planetę. To tylko porozumienie między tobą a Andrew. Chodzi po prostu o oficjalny dokument spisany przez Johna Feingolda, podpisany przez ciebie i mnie jako świadka, a potem podarowany Andrew. Dokument, który stwierdzałby, że...

— Nie. To byłoby zupełnie bezużyteczne. Posłuchaj, Mandy. Założmy, że podpiszę taki dokument, a kiedy umrę, Andrew będzie musiał stanąć na własnych nogach i powie: „No to cześć, idę szukać sławy i szczęścia, bo jestem wolnym robotem, a to dokument potwierdzający moje słowa”. Ale kiedy to powie, ludzie roześmieją mu się w twarz, podrą ten bezwartościowy kawałek papieru na strzępy i odeślą go do fabryki, do demontażu. Taki dokument nie da mu odpowiedniego zabezpieczenia w naszym społeczeństwie. Nie... Jeśli nalegasz, bym się tym zajął, to muszę zrobić to we właściwy sposób albo wcale. Nie możemy tak po prostu dać mu wolności, podpisując jakiś dokument. To jest sprawa dla sądu.

— Bardzo dobrze. Więc załatwimy ją w sądzie.

— A zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? — W głosie Geralda Martina znowu porzmięwał gniew. — Wytoczą przeciw nam wszystkie argumenty, które ci przedstawiłem. Będzie z tego niezła awantura. Powstaną opasłe tomiska akt sądowych, wtrąci się opinia publiczna, a potem wydadzą werdykt. Chyba nie muszę ci mówić, jaki on będzie. — Sir spojrzął na Andrew. — Widzisz!? Czy chociaż rozumiesz, o czym tu mówimy? Je-

śli mam zrobić cokolwiek, by dać ci wolność, to musi odbyć się to w świetle prawa. A nie można dać wolności robotowi i jednocześnie go nie naruszyć. Jeśli ta sprawa trafi do sądu, to nie tylko nie osiągniesz swego celu, ale wyjdą na jaw rzeczy, które nie będą dla ciebie korzystne. Na przykład sprawa twoich pieniędzy, które pewnie utracisz. Powiedzą ci, że robot nie ma prawa zarabiać pieniędzy ani mieć konta w banku. Albo więc ci je oficjalnie zabiorą, albo zmuszą do tego mnie. A ja wcale nie mam na to ochoty. Będzie to dla mnie duży kłopot, a dla ciebie wielka strata. Nie będziesz miał ani swojej wolności, cokolwiek ona dla ciebie oznacza, ani konta w banku. A więc, Andrew? Czy ta sprawa warta jest ryzyka utraty tylu pieniędzy?

— Wolność jest bezcenna, Sir — powiedział Andrew. — Nawet cień szansy na jej uzyskanie wart jest wszystkich pieniędzy, które mam i które mógłbym mieć.

ROZDZIAŁ 8

Andrew martwił się bardzo, że sprawa jego wolności może przysporzyć panu Martinowi dalszych kłopotów. Sir był już bardzo słaby. Niewiele trzeba było, by naruszyć tę kruchą równowagę, której zburzenie mogło zagrozić jego życiu.

A przecież Andrew czuł, że dalsze próby załatwienia jego prośby mają istotne znaczenie. Gdyby wycofał się w tym momencie, byłoby to swego rodzaju zdradą jego własnej uczciwości, zaprzeczeniem poczucia niezależności i rodzącej się od jakiegoś czasu osobowości.

Kielkowanie tej osobowości, a także coraz wyraźniejsze jej cechy, oszałamiały i zdziwiałały go; rozzwoniły się wszystkie dzwonki alarmowe. Ale z biegiem czasu Andrew pogodził się z jej istnieniem. Wolność — stan, w którym nie jest się niewolnikiem i nie jest się rzeczą — tego właśnie domagała się teraz jego osobowość. I Andrew chciał to uzyskać.

Wiedział, że jest to wielce ryzykowne. Sąd mógł zgodzić się z tym, że wolność jest bezcenna, ale mógł też z powodzeniem uznać, że nie ma takiej ceny, za którą robot mógłby tę wolność kupić.

Andrew skłonny był jednak podjąć takie ryzyko. Ale już innym problemem było zażytkować stan zdrowia pana Martina, i to go bardzo martwiło.

— Martwię się o pana Martina — powiedział Andrew Małej Miss. — Rozgłos, spory i polemiki, cały ten zgiełk... może mu zaszkodzić.

— Nie martw się, Andrew. Będzie przed wszystkim ochroniony, obiecuję ci. Prawnicy Johna Feingolda dopilnują tego. To jest sprawa czysto proceduralna. Mój ojciec nie będzie w to zaangażowany.

— A jeżeli wezwą go do sądu? — pytał Andrew.

— Nie wezwą.

— Lecz jeśli jednak? — nalegał Andrew. — On jest przecież moim panem. I jest byłym członkiem Legislatury. Co zrobi, jeśli dostanie wezwanie do sądu? Będzie musiał tam iść. Będą go pytać, dlaczego uważa, że jego robot powinien otrzymać wolność.

A on nawet sam nie jest o tym przekonany, że powinien ją otrzymać. On to wszystko robi przez wzgląd na ciebie, Mała Miss. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. A będzie musiał iść do sądu... taki stary i schorowany, by świadczyć na korzyść czegoś, o czym sam nie jest przekonany. To go zabije, Mała Miss.

— Nie wezwą go do sądu.

— Jak możesz być tego taka pewna? Nie mam prawa narażać go na niebezpieczeństwa. Nie potrafię pozwolić, by stała mu się jakakolwiek krzywda. Myślę, że muszę wycofać swoją petycję.

— Nie możesz — powiedziała zdecydowanym tonem Mała Miss.

— A jeśli moja rozprawa sądowa będzie bezpośrednią przyczyną jego śmierci...?

— Popadasz w skrajności, Andrew. Odnosisz dwa, spośród Trzech Praw, do niewłaściwego przypadku. Mój ojciec nie jest w tej sprawie ani obrońcą, ani powodem, ani nawet nie będzie świadkiem. Czy sądzisz, że John Feingold nie potrafi odpowiednio ochronić kogoś, kto jest tak znaną osobistością w naszym Regionie? Mówię ci, Andrew, ojciec będzie chroniony. Zadbają o to pewne bardzo wpływowe osobistości tego Regionu, jeśli to będzie konieczne. Ale to nie będzie konieczne.

— Chciałbym być tego tak pewien jak ty.

— Ja też bym chciała, aby tak było. Zaufaj mi, Andrew. Przypominam ci, że on jest moim ojcem. Kocham go bardziej niż cokolwiek innego... No, w każdym razie bardzo go kocham. W żadnym wypadku nie pozwoliłabym ci występować z tą sprawą, gdybym miała jakiegokolwiek podejrzenia, że to może być dla niego niebezpieczne. Wierz mi, Andrew.

I w końcu uwierzył. Wciąż jednak był niespokojny i martwił się, że Sir zostanie w tę sprawę zaangażowany. Lecz Mała Miss zdołała go jednak przekonać.

Ludzie z biura Feingolda przyszli do niego z dokumentami do podpisania i Andrew je podpisał — z dumą stawiał zamaszyste podpisy, takie same, jakie kiedyś stawiał na swoich czekach.

Petycję wniesiono do Sądu Regionalnego. Minęły miesiące i nie wydarzyło się nic szczególnego. Od czasu do czasu nadchodziły jakieś dokumenty, zawsze wyglądające bardzo oficjalnie i zawsze w twardych oprawkach. Andrew przeglądał je szybko, podpisywał i odsyłał. A potem znowu cisza przez parę miesięcy.

Sir był już bardzo słaby. Andrew złapał się na tym, że chwilami wolałby, aby Sir nie doczekał czasu rozprawy i umarł spokojnie, zanim rozpęta się ta cała burza. Zaoszczędziłoby mu to tylu przykrych chwil i wstrząsów. Ta myśl przerażała go i nie dawała spokoju.

W końcu jednak Mała Miss obwieściła:

— To już długo nie potrwa.

I rzeczywiście, czas oczekiwania miał się ku końcowi, ale tak jak to przewidział Sir,

postępowanie sądowe nie zapowiadało się bezproblemowo.

Mała Miss zapewniała, że nie będzie potrzeby zbyt częstego chodzenia do sądu, że będzie to głównie oczekiwanie, aż sędzia zbada szczegółowo sprawę, przestudiuje oficjalne dokumenty, istniejące precedensy i rządzące nimi przepisy. Poza tym, jak twierdziła Mała Miss, Kalifornijski Dystrykt Sądu Regionalnego znany był z dość liberalnego interpretowania przepisów i podejścia do ustanawiania precedensów. Były więc pewne podstawy do nadziei, że Andrew otrzyma upragniony dokument.

Pierwszym sygnałem, że sprawa nie przedstawia się jednak tak prosto, było pismo z Sądu Regionalnego, z Czwartego Obwodu. Sędzia Kramer stwierdzał w nim, że w sprawie Martinów wniesiono kontrpetycję.

— Kontrpetycję? — zdziwiła się Mała Miss. — A cóż to znaczy?

— To znaczy, że będzie oficjalny sprzeciw... że są opozycjoniści — odparł Stanley Feingold. Stanley był teraz szefem firmy adwokackiej; stary John był już na emeryturze, więc teraz on prowadził sprawę Andrew. Był bardzo podobny do swego ojca, mogliby być braćmi bliźniakami: ten sam okrągły brzusek, ten sam miły uśmiech na twarzy. Tyle tylko, że Stanley nie nosił zielonych szkieł kontaktowych.

— Sprzeciw...? A kto wnosi? — dopytywała się Mała Miss.

Stanley zaczerpnął głęboko powietrza.

— Regionalne Stowarzyszenie Pracy, na przykład. Obawiają się, że mogą stracić pracę na rzecz wyzwolonych robotów.

— Tak mogłoby być w zamierzonych czasach — powiedziała Mała Miss. — Obecnie nie ma nawet tylu ludzi, by objąć wszystkie wolne miejsca pracy, każdy o tym wie.

— Niemniej jednak oni wolą się zabezpieczyć i zablokować możliwości wszelkich potencjalnych zmian. Jeśli roboty będą wolne, mogą zacząć się stowarzyszać w związki zawodowe lub...

— To niedorzeczne.

— Tak, wiem o tym, pani Charney. Ale i tak wnoszą sprzeciw. Nie oni jedyni zresztą.

— Kto jeszcze? — spytała zimnym tonem Mała Miss.

— Korporacja Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie — odpowiedział spokojnie Feingold.

— Oni?

— Czy to takie dziwne? Oni są głównym producentem robotów, pani Charney, a roboty są ich głównym produktem. Ich produktem, niech mi będzie wolno podkreślić to słowo. A produkt to rzecz martwa, nieożywiona. ARML bardzo się niepokoi, że ktoś chciałby uważać roboty za coś więcej niż za to, czym są. ARML obawia się, że jeśli petycja Andrew zostanie rozpatrzona pozytywnie, to inne roboty mogą podążyć w jego ślady i zacząć domagać się praw: praw cywilnych, praw ludzkich. Więc, rzecz jasna, wystą-

pili przeciw temu. Postępują tak samo, jak postąpiliby producenci łopat i oskardów, którzy również uważają swoje produkty za przedmioty nieożywione i nie mijają się przecież z prawdą. Oni również by się sprzeciwili, gdyby łopaty i oskardy zapragnęły nagle mieć prawa cywilne, sprawować kontrolę nad swoją produkcją i wtrącać się w politykę sprzedaży. Tak to wygląda, pani Charney. Takie są fakty.

— Przecież to nonsens. Absolutny nonsens! — wykrzyknęła Mała Miss.

— Zgadzam się — przytaknął dyplomatycznie Stanley Feingold. — Ale sprzeciw został wniesiony i nic na to nie poradzimy. A są także jeszcze inni. Stoimy w obliczu sprzeciwu ze...

— Nieważne. Nie chcę dalej tego słuchać. Ta lista już mnie nie interesuje. Niech pan po prostu odeprze każdy głupi argument, na który wpadną.

— Wie pani, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, pani Charney — powiedział Feingold, ale jego głos nie brzmiał zbyt pewnie.

Mniej więcej tydzień przed terminem rozprawy Mała Miss zadzwoniła do Stanleya Feingolda. Była bardzo zdenerwowana.

— Stanley, właśnie otrzymaliśmy wiadomość, że w domu mojego ojca mają się zjawić jacyś ludzie z telewizji... w poniedziałek, i chcą montować jakiś sprzęt... podobno w celu nagrywania audycji z przesłuchania sądowego. Nic z tego nie rozumiem.

— To się może zgadzać, pani Charney. To rutynowe postępowanie.

— Pan chyba nie rozumie. To ma się odbywać w domu mego ojca?!

— Tak. Właśnie tam będzie przesłuchanie.

— A reszta rozprawy?

— To niezupełnie rozprawa, pani Charney.

— No to cała reszta tego postępowania. Gdzie to się odbędzie? Czy u sędziego Kramera...? Na sali sądowej?

— Zwyczajowa procedura wygląda w ten sposób, że każda ze stron bierze udział w rozprawie elektronicznie. Sędzia otrzymuje wszystkie dane do swego gabinetu.

— Czy nikt już nie chodzi do sądu osobiście?

— Bardzo rzadko, pani Charney. Bardzo rzadko.

— Ale to się wciąż zdarza?

— Jak już mówiłem, w bardzo nielicznych przypadkach. Świat jest obecnie tak zdecentralizowany, a ludzie tak rozproszeni na ogromne odległości, że dużo lepiej i łatwiej jest załatwiać takie sprawy poprzez łącza elektroniczne.

— Chcę tej rozprawy na sali sądowej.

Feingold wyglądał na zupełnie zdezorientowanego.

— Czy jest ku temu jakiś szczególny powód?

— Tak. Chcę, aby sędzia mógł zobaczyć Andrew z bliska, bezpośrednio, twarzą w twarz... bo tylko wtedy będzie mógł zobaczyć wszystko we właściwym świetle. Nie

chcę, aby wyobrażał sobie Andrew jako bezosobową maszynę, bez oblicza, której głos dochodzi do niego tylko po elektronicznych łączach, lub obraz mignie przez parę sekund na ekranie. Nie chcę też na tak ogromny stres narażać swego ojca... żeby włączyły mu się po jego własnym domu ekipy telewizyjne i naruszały jego prywatność.

Feingold przytaknął, ale był wyraźnie zakłopotany.

— Aby zapewnić sobie posłuchanie na sali sądowej, w tak późnym już terminie, musiałbym złożyć odpowiednie podanie...

— Więc proszę je złożyć.

— Nasi opozycjoniści na pewno będą głośno narzekać, będą starali się przeszkodzić... Są to dodatkowe koszty... no i wiele niedogodności...

— To niech zostaną w domu podczas przesłuchania. Nie chcę im sprawiać nawet najmniejszych kłopotów. Ale Andrew i ja chcemy być na sali sądowej.

— Pani? Andrew i pani?

— Czy myślałeś, że zostaną w taki dzień w domu?

I tak też się stało. Złożono odpowiednie podanie, a strony przeciwne wyraziły ogromne niezadowolenie. Oficjalnie jednak nie mogli niczemu zapobiec. Każdy miał prawo żądać rozprawy na sali sądowej. Tak więc pewnego dnia Andrew i Mała Miss stawili się w Czwartym Obwodzie Sądu Regionalnego, w zadziwiająco skromnej sali, na długo oczekiwane przesłuchanie w sprawie petycji, która z czysto technicznych powodów została zapisana w aktach jako „Sprawa Martinów”.

Stanley Feingold był razem z nimi. Sala sądowa mieszcząca się w mocno już sfatygowanym budynku, który mógł pochodzić jeszcze z dwudziestego wieku, była zadziwiająco mała. Był to w istocie mały pokój z biurkiem dla sędziego w jednym końcu i kilkanaście twardymi, niewygodnymi krzesłami w drugim końcu. Była tu też jeszcze niewielka wnęka, kryjąca sprzęt elektroniczny.

Poza tym na sali byli jedynie sędzia Kramer we własnej osobie — nadspodziewanie młody, jak na stanowisko, które piastował, czarnowłosa, o żywych, inteligentnych oczach, a także prawnik James Van Buren, który reprezentował sprzeciwiającą się petycji Andrew opinię publiczną. Sami zaś opozycjoniści byli nieobecni. Ich interwencje miały być wyświetlane na ekranie.

Najpierw przedstawiono argumenty strony przeciwnej, w których wszelako nie było nic, czego nie można by się spodziewać.

Rzecznik Regionalnego Stowarzyszenia Pracy nie położył, o dziwo, zbytniego nacisku na aspekt ewentualnego współzawodnictwa między ludźmi a robotami o miejsca pracy. Sprawę przedstawił z bardzo ogólnego punktu widzenia.

— W ciągu całej naszej historii, odkąd tylko pierwsze człekopodobne istoty zaczęły obrabiać kamień, który był pierwszym narzędziem, ludzie zdawali sobie sprawę z tego, że są jedynym gatunkiem na tej planecie, którego przeznaczeniem jest opanować i kon-

trolować środowisko, i że dokonać tego można za pomocą różnych narzędzi. Stopniowo jednak, wraz ze wzrostem skomplikowania i złożoności naszych narzędzi, ograniczaliśmy swoją niezależność; staliśmy się zależni od naszych narzędzi, bez nich często stawaliśmy bezradni wobec wielu nie sprzyjających nam okoliczności. A teraz, na koniec, wynaleźliśmy narzędzie tak skomplikowane i użyteczne, tak przystosowane do wielorakich czynności, że może się wydawać, iż ma ludzką inteligencję. Mówię tu, rzecz jasna, o robocie. Bez wątplenia podziwiamy geniusz naszych robotyków i przyklaskujemy ich zdumiewającym produktom. Ale dziś stanęliśmy wobec strasznej perspektywy. Stajemy dziś twarzą w twarz z naszym sukcesorem, stajemy wobec faktu, że zbudowaliśmy maszynę, która nie wie, że jest maszyną... Która żąda, abyśmy traktowali ją jako niezależną jednostkę, z prawami i przywilejami przypisanymi od zawsze człowiekowi. A zważywszy na ich, robotów, mechaniczną wyższość, fizyczną trwałość i siłę, ich zręczność i wspólnie zaprojektowane mózgi pozytronowe i na nieledwie nieśmiertelność ich mechanizmów, to stajemy dziś w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Gdy tylko otrzymają prawa i przywileje, zaczną się uważać za naszych panów. Cóż to za paradoks, jaka ironia losu... Zbudować narzędzie tak doskonałe, że zaczyna ono nadzorować swych konstruktorów... Być zepchniętym na sam dół przez zbudowaną przez siebie maszynę, być zepchniętym z ewolucyjnej ścieżki...

I tak dalej, i tak dalej. Jeden slogan po drugim.

— Wciąż ten sam kompleks Frankensteina — mruknęła zde gustowana Mała Miss.
— Paranoiczny lęk przed golemem... Cały ten antynaukowy, antypostępowy bełkot... wciąż to samo...

Musiała jednak przyznać, że ten wywód był sprawnie przedstawiony. Gdy Andrew patrzył na ekran, słuchając potocznej wypowiedzi, zastanawiał się, dlaczego ktoś mógłby myśleć, że roboty dążyłyby do zepchnięcia ludzi na samo dno hierarchii społecznej.

Roboty były tu po to, by służyć. To był ich cel. A nawet cała przyjemność, ktoś mógłby rzec, była po ich stronie. Lecz nawet i on zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście sprawy mogłyby przyjąć taki obrót: że ludzie, stale obserwując coraz to doskonalsze roboty, nie zaczęliby uważać się za coś gorszego, mniej efektywnego i słabszego.

W końcu jednak tyrada rzecznika Stowarzyszenia Pracy dobiegła kresu. Ekran zgasł i ogłoszono krótką przerwę. Po niej zabrał głos rzecznik Amerykańskich Robotów i Mechanicznych Ludzi.

Nazywała się Ethel Adams. Była to kobieta w średnim wieku, o poważnej twarzy, uderzająco podobna do znakomitego robopsychologa ubiegłego stulecia, przesławnej Susan Calvin.

W odróżnieniu od swego poprzednika, Ethel Adams odrzuciła całą ozdobną i emocjonalną retorykę. Powiedziała krótko i treściwie. Stwierdziła, że jeśli Andrew uzyska status wolnej jednostki, to w znacznym stopniu skomplikuje to sytuację ARML, jeśli

chodzi o takie dziedziny jak projektowanie i wytwarzanie robotów, które były przecież ich głównym produktem. Jeśli tak się stanie, to okaże się, że ARML produkuje nie maszyny, lecz wolnych obywateli. To, rzecz jasna, zmieni całą dotychczasową sytuację, a wszystkie badania naukowe, prowadzone z takim wysiłkiem i nakładem tak wielkich kosztów od wielu lat, staną się, w świetle nowej sytuacji, zupełnie zbędnym balastem, a wręcz ciężarem. Sparaliżuje to, ze zrozumiałych względów, pracę całej korporacji.

To, co powiedziała Ethel Adams, stało w jaskrawej sprzeczności z tym, co powiedział jej poprzednik. On wskazał na zagrożenia płynące ze strony zaawansowanej technologii, ona zaś ostrzegała, że właśnie teraz jest zagrożona ta technologia. Ale to nie było istotne, jak zauważył Stanley Feingold. To, co miało dziś, na tej sali, istotne znaczenie, co było główną bronią, to emocje, a nie poważne intelektualne rozważania.

Ale na sali był jeszcze jeden mówca: Van Buren, adwokat tych wszystkich, którzy sprzeciwili się petycji Andrew. Był mężczyzną wysokim i charyzmatycznym, przypominającym senatora: wyszukane maniery, przyczesane siwawe włosy, drogi garnitur. A jego argument był bardzo prosty.

— Chodzi tu, wysoki sędzie, o bardzo podstawowe sprawy; tak trywialne, że do prawdy, nie wiem nawet, dlaczego tu dziś jesteśmy. Petent, robot NDR-113, uprosił swego właściciela, szanownego pana Geralda Martina, aby pozwolił mu ubiegać się o przyznanie wolności. Chce być wolnym robotem, pierwszym tego typu. Ale pytam, wysoki sędzie: jakie to może mieć znaczenie? Robot jest tylko robotem, czyli maszyną. Czy samochód może być „wolny”? Czy elektroniczny ekran może być „wolny”? Na te pytania nie ma odpowiedzi, bo nie zawierają żadnych rozsądnych treści. Istoty ludzkie mogą być wolne. My wiemy, co to oznacza. Mamy, jak napisał kiedyś jeden z naszych wielkich przodków, niezbywalne prawo do życia, wolności i dążenia do szczęścia. Czy robot żyje? Nie w tym sensie, w jakim my rozumiemy to słowo. To jest namiastka, złudzenie... pozory życia. To tylko tak wygląda. Takie samo złudzenie daje obraz holoprzestrzenny. Jednak nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie twierdził, że obraz holoprzestrzenny rzeczywiście żyje i powinien otrzymać wolność. A czy robot może być wolny? Nie w tym sensie, jak my rozumiemy to słowo. Pojęcie wolności jest robotom, z samej już definicji, pojęciem obcym. Są one od pojęcia wolności tak dalekie, jak ich pozytronowe mózgi skonstruowane tak, aby były posłuszne rozkazom człowieka. A jeśli chodzi o dążenie do szczęścia... Co robot może wiedzieć o szczęściu? Szczęście to pojęcie i cel czysto ludzki. To stan, który rozumie tylko człowiek. Robot zaś, mechaniczna rzecz zbudowana z metalu i sztucznego tworzywa, urządzenie skonstruowane od początku do końca po to, by służyć i spełniać ludzkie życzenia — jest z definicji czymś, do czego pojęcie szczęścia nie może być stosowane. Tylko człowiek jest w stanie osiągnąć szczęście i być wolny.

To była bardzo dobra mowa; jasna i bezpośrednia, fachowo przedstawiona. Van Buren był świadom mocy swoich argumentów — przedstawił je bowiem spokojnie, punkt

po punkcie, ze wspaniałą precyzją, pomagając sobie ledwo zauważalnymi gestami dłońmi, podkreślającymi kadencję zdań.

Kiedy skończył, sędzia ponownie ogłosił krótką przerwę.

Mała Miss obróciła się do Feingolda i powiedziała cicho:

— Ty masz być następny, prawda?

— Tak, oczywiście.

— Ja chcę przemówić pierwsza. W imieniu Andrew.

— Ale... pani Charney... — Feingold zaczerwienił się.

— Wiem, że masz znakomicie przygotowaną mowę. Nie zrozum mnie źle, ale sędzia ma już na dziś dość oratorskich popisów. Chcę powiedzieć coś prostego i chcę to powiedzieć, zanim ktokolwiek inny zacznie przemawiać. Nawet ty, Stanley.

Feingold był najwyraźniej niezadowolony. Ale dobrze wiedział, kto jest jego klientem. Może i Andrew płacił wszystkie rachunki, ale to Mała Miss trzymała wszystkie nitki.

Zgłosił więc stosowną prośbę.

Sędzia Kramer wpierw zmarszczył brwi, potem wzruszył ramionami, a na koniec skinął głową.

— Dobrze — powiedział. — Amanda Laura Martin Charney może podejść.

Przez moment Andrew, siedzący cicho obok Feingolda, zastanawiał się, o kogo może chodzić. Nigdy przedtem nie słyszał, jak ktoś zwraca się do Małej Miss pełnym imieniem i nazwiskiem. Ale po chwili zobaczył, jak smukła, drobna postać Małej Miss podnosi się i idzie na przód sali i wtedy dopiero zrozumiał.

Andrew poczuł nagle prądy ekscytacji ogarniające jego pozytronowe ścieżki, gdy zobaczył Małą Miss stojącą przed ławą sędziowską. Wydawała się taka nieustraszona, taka zdeterminowana, taka... piękna!

— Dziękuję, wysoki sędzie — zaczęła Mała Miss. — Nie jestem prawnikiem i nie znam się dokładnie na przyjętych sposobach wysławiania się. Mam jednak nadzieję, że wysoki sąd wysłucha mnie i wybaczy, iż nie będę używała łacińskich terminów.

— To nie będzie problemem, pani Charney.

Mała Miss uśmiechnęła się delikatnie i mówiła dalej.

— Jesteśmy tu dzisiaj dlatego, ponieważ NDR-113, jak moi poprzednicy zdecydowali się bezosobowo go nazywać, wniósł petycję z prośbą, by ogłosić go wolnym robotem. Chciałabym jednak zaznaczyć, że dziwnie się czuję, gdy określa się mojego przyjaciela Andrew jako NDR-113, aczkolwiek jestem świadoma, że taki był jego numer seryjny, gdy dawno temu przybył do nas z fabryki. Miałam wtedy jakieś sześć czy siedem lat. Wydawało mi się wtedy okropne nazywać go NDR-113, więc nazwałam go Andrew. A ponieważ przez te wszystkie lata przebywał w naszej rodzinie, więc stał się znany jako Andrew Martin. Za pozwoleniem wysokiego sądu chciałabym nadal mówić o nim jako

o Andrew.

Sędzia przytaknął niemal bezwiednie. Przecież i tak wniesiono do sądu petycję podpisaną właśnie tym imieniem i nazwiskiem.

Mała Miss mówiła więc dalej.

— Nazwałam go swoim przyjacielem. Oto właśnie, kim dla mnie jest. Ale nie tylko przyjacielem. Jest także służącym w naszej rodzinie. Jest robotem. Byłoby absurdem zaprzeczać temu. Lecz przecież — wbrew temu, co usłyszeliśmy w błyskotliwych przemówieniach moich poprzedników — prosi on tylko o to, by uznać go za wolnego robota. Nie zaś, jak to sugerowano, za wolnego człowieka. Nie przyszedł tu dziś po to, by uzyskać prawo do głosowania, do małżeństwa, czy też aby usunięto mu z mózgu założenia Trzech Praw. Ludzie są ludźmi, roboty są robotami, a Andrew doskonale sobie zdaje sprawę z tego, gdzie jest jego miejsce.

Przerwała na moment i rozejrzała się po sali, zatrzymując wzrok na Van Burenie; oczekiwała zapewne, że skinie choć głową na potwierdzenie. Ale ze strony Van Burena nie było żadnej reakcji, poza chłodnym spojrzeniem profesjonalisty.

Mała Miss mówiła więc dalej.

— Sprawa przedstawia się następująco: chodzi o wolność dla robota Andrew Martina... o nic więcej. Pan Van Buren argumentował, że wolność jest pojęciem bez znaczenia, jeśli ją odnieść do robota. Pozwolę sobie nie zgodzić się, wysoki sędzie. Nie zgadzam się absolutnie. Spróbujmy zrozumieć, co wolność znaczy dla Andrew... jeśli to możliwe. W pewnym sensie on już jest wolny. Myślę, że co najmniej od dwudziestu lat nikt w rodzinie Martinów nie wydał Andrew polecenia wykonania jakiegokolwiek czynności, której mógłby, w naszym mniemaniu, nie wykonać z własnej woli, z własnej inicjatywy. Jeśli zaś chodzi o nasze wzajemne stosunki: lubimy Andrew, szanujemy go... można by nawet rzec, że go kochamy. Nie popełnilibyśmy takiej gafy... takiego nietaktu, by wydawać mu polecenia. Jest z nami już tak długo, że sam doskonale wie, co musi być zrobione. Po prostu tak jak każdy inny członek rodziny, który mieszka w domu. Ale przecież mogliśmy mu wydawać polecenia i surowo przestrzegać ich wykonania. Moglibyśmy to robić w każdej chwili, bo jest maszyną, która do nas należy.

I dokładnie tak jest napisane w dokumentach, które przysłano wraz z nim, dawno temu, gdy ojciec przedstawił go nam po raz pierwszy: on jest naszym robotem, a ze względu na Prawo Drugie zobowiązany jest do absolutnego względem nas posłuszeństwa. Ma takie samo prawo do świadomej odmowy posłuszeństwa, jak jakakolwiek inna maszyna. Czyli nie ma go wcale. I chcę tu zaznaczyć, wysoki sędzie, że martwi nas i krępuje posiadanie takiej nad nim władzy.

No bo, przecież, dlaczego mielibyśmy go traktować w ten sposób? W tak surowy, zimny sposób...? Co nam daje do tego prawo? Andrew służy nam od dziesięcioleci, wiernie, bez narzekań, z chęcią... Andrew uczynił życie naszej rodziny szczęśliwszym na

wiele sposobów. A jeszcze zupełnie poza tym — sam, z własnej woli — zajął się rzeźbiarstwem. Przez te wszystkie lata wyprodukował mnóstwo wspaniałych mebli i wyczarował tak wspaniałe przedmioty, że można nazwać je jedynie dziełami sztuki najwyższej klasy. Są poszukiwane przez wiele muzeów i prywatnych kolekcjonerów na całym świecie.

Biorąc to wszystko pod uwagę, jak moglibyśmy sprawować nad nim taką władzę? Z racji jakiego prawa mielibyśmy uważać się za władców absolutnych tak niezwyklej osoby...?

— Osoby... pani Charney? — przerwał sędzia Kramer.

Mała Miss wyglądała przez chwilę na skrępowaną.

— Jak już powiedziałam na samym początku, wysoki sędzie, nie mam nic przeciw temu, by nazywać Andrew robotem. Takie są przecież fakty. Ale znam go już tak długo i tak dobrze, że dla mnie jest on jak... osoba. Ale dobrze, poprawię się. Z racji jakiego prawa mielibyśmy uważać się za władców absolutnych tak niezwyklego robota?

Sędzia Kramer zmarszczył brwi.

— A więc celem tej petycji, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, jest prośba o usunięcie z mózgu Andrew założeń Trzech Praw, aby w ten sposób uwolnić go spod kontroli człowieka?

— Absolutnie nie, wysoki sędzie — prawie krzyknęła Mała Miss. To pytanie wyraźnie wytrąciło ją z równowagi. — Nie jestem nawet pewna, czy to... czy to byłoby w ogóle możliwe. O! Proszę! Nawet Andrew kręci głową. Proszę spojrzeć. Czyli to nie jest możliwe. A już z całą pewnością nie myśleliśmy o tym, kiedy składaliśmy petycję.

— Więc o czym, jeśli wolno zapytać, myśleliście, gdy składaliście waszą petycję?

— Chodziło tylko o rzecz następującą: by przyznać Andrew oficjalny dokument, który stwierdzałby jednoznacznie, że jest on wolnym robotem, panem samego siebie, i że jeżeli się decyduje służyć panu Martinowi, to tylko z własnego wyboru, a nie ze względu na zasady zapisane w oryginalnym kontrakcie z jego producentami. To sprawa czysto semantyczna. Nie chodzi o nic, co miałyby związek z Trzema Prawami i ewentualnymi ich zmianami, nawet jeśli byłyby możliwe. Poprzez tę petycję próbujemy tylko zdezaktualizować zasady narzuconej mu służby względem nas. Przy czym, jestem o tym przekonana, on i tak dalej by nam służył. Ale robiłby to już z własnej woli — wierzę, że tak właśnie by było — a nie dlatego, że to jest od niego wymagane. Nie byłby już służącym wbrew swej woli. Czy tego nie widać, wysoki sędzie, jak bardzo to jest dla niego ważne? Dla niego to jest wszystkim, a nas nic nie kosztuje. I zapewniam, wysoki sędzie, że nie ma mowy o jakimś zepchnięciu ludzkości na sam dół w hierarchii społecznej lub o cofnięciu się na najniższy szczebel drabiny ewolucyjnej, czego tak bardzo obawia się rzecznik Stowarzyszenia Pracy.

Przez chwilę wydawało się, że sędzia Kramer tłumnie uśmiech.

— Sądzę, że rozumiem pani punkt widzenia, pani Charney — powiedział po chwili. — Doceniam i rozumiem pani pasję oraz zaangażowanie. Zdaje pani sobie chyba jednak sprawę, że w naszym Regionie, a także i w innych, nie ma takiego precedensu. Nie stanowiono nigdy o wolności dla robotów. Dlatego też nie ma żadnych przepisów w tej kwestii.

— Tak — odpowiedziała Mała Miss. — Pan Feingold przedstawił mi tę sprawę. Ale przecież gdzieś i kiedyś trzeba te precedensy ustanawiać...?

— Tak jest w istocie. I mógłbym tu dzisiaj taki precedens ustanowić. Musiałby to, rzecz jasna, zatwierdzić sąd wyższej instancji, ale jest w mojej mocy nadać sprawie bieg i dać poparcie, poprzez orzeczenie o wolności Robota NDR-113, dezaktualizując i eliminując tym samym wasze niezbywalne prawo do wydawania mu poleceń. Tak... jeśli miałyby to mieć jakąkolwiek wartość dla niego i dla was, to mógłbym to zrobić. Ale wpierw musiałbym rozpatrzyć wiele innych kwestii. Musiałbym się, na przykład, odnieść do kwestii postawionej tu dziś przez pana Van Burena: do założenia, że tylko istota ludzka potrafi docenić i cieszyć się szeroko pojętą wolnością, choćby tylko przez wzgląd na definicję tego słowa. Nie chciałbym zamieniać tego sądu w cyrk, a tak by się stało, gdybym ustanowił tu całkowicie abstrakcyjny precedens i nic nie znaczące, niezrozumiałe przepisy. Dlatego też muszę zrozumieć wszystkie aspekty tej sprawy, a niektóre są dla mnie jeszcze niejasne.

— Chętnie odpowiem na każde pytanie, wysoki sędzie.

— Nie. Nie pani. Andrew! Niech teraz wystąpi robot.

Małej Miss aż dech zaparło. Spojrzała na Stanleya Feingolda, który wyprostował się i zeszywniał, lecz na jego twarzy widać było ogromne podniecenie.

Andrew zaś podniósł się i ruszył w kierunku ławy sędziowskiej. Szedł wolno, spokojny i opanowany, a w jego ruchach można było dostrzec godność i szlachetność.

— Jesteś robot NDR-113, ale wolisz, by zwracano się do ciebie Andrew, czy tak? — odezwał się sędzia Kramer.

— Tak, wysoki sędzie.

Tembr głosu Andrew był do złudzenia podobny w swym brzmieniu do ludzkiego. Mała Miss zdążyła już przyzwyczaić się do tego, ale sędzia Kramer był najwyraźniej zdumiony; tak, jakby spodziewał się usłyszeć jakiś metaliczny, niewyraźny pogłos. Milczał więc przez chwilę, a potem powiedział, obserwując Andrew uważnie:

— Powiedz mi jedno, Andrew. Dlaczego chcesz być wolny? Jakie ma to dla ciebie znaczenie?

— A czy wysoki sąd chciałby być niewolnikiem? — odpowiedział Andrew.

— Czy za takiego się uważasz, Andrew? Za niewolnika?

— Mała Miss, pani Charney, użyła terminu „służący wbrew swej woli”. Dokładnie taka jest sytuacja. Muszę być posłuszny. Muszę. Nie mam wyboru. To nic innego, jak

niewolnictwo, wysoki sędzie.

— Gdybym w tym momencie ogłosił cię wolnym, Andrew, to i tak wciąż byłbyś zależny od Trzech Praw.

— Rozumiem to doskonale. Każdy jest przecież zależny od jakichś praw. Ale nie byłbym zależny od pana Martina i pani Charney. W każdej chwili mógłbym ich opuścić i gdybym miał taką chęć, pójść tam, dokąd bym chciał. Nie mogliby mi wydać polecenia powrotu do służby. Wtedy nie byłbym już niewolnikiem.

— Czy właśnie tego chcesz, Andrew? Opuścić dom Martinów i iść gdzieś indziej?

— Zdecydowanie nie. Wszystko, czego pragnę, to tylko mieć oficjalną możliwość takiej decyzji.

Sędzia przyglądał się Andrew uważnie.

— Kilka razy nazwał się niewolnikiem, niewolnikiem ludzi, którzy najwyraźniej darzą cię uczuciem i u których służby nie chcesz porzucić. Ale ty nie jesteś niewolnikiem. Niewolnikiem jest ten, któremu kiedyś wolność odebrano. Ty nigdy nie byłeś wolny i nie miałeś wolności, którą mógłbyś utracić. Stworzono cię do konkretnych celów, a mianowicie do służenia. Jesteś robotem, mechanicznym pomocnikiem człowieka. Jesteś doskonałym robotem — geniuszem, na swój sposób. Tak mi dano do zrozumienia. Zdolny też jesteś do tworzenia, do artystycznej ekspresji, do czego nie jest zdolny prawdopodobnie żaden inny robot. Skoro jednak nie chcesz opuścić Martinów, a oni nie chcą utracić ciebie... skoro twoje życie pośród nich było takie, jak każdego innego członka rodziny... to to, co tu się dzisiaj dzieje, wygląda mi na burzę w szklance wody, Andrew. Do czegoż więcej mógłbyś dojść, będąc wolny?

— Być może do niczego więcej, wysoki sędzie. Ale czyniłbym wszystko z większą radością. Powiedziano tu dziś w sądzie, że tylko istota ludzka może być prawdziwie wolna. Ale myślę, że tak nie jest. Myślę, że ktoś, kto pragnie być wolny, kto wie, że coś takiego istnieje i pragnie tego ponad wszystko, to taki ktoś ma prawo do wolności. Ja jestem kimś takim. Nie jestem człowiekiem i nigdy nie twierdziłem, że jestem. Ale tak samo pragnę wolności.

Głos Andrew ucichł. On sam stał wciąż przed ławą sędziowską, milczący i nieruchomy. Wydawał się nad czymś zadumany. Wszyscy pozostali na sali również siedzieli cicho i nieruchomo.

Wydawało się, że upłynęła wieczność, zanim sędzia ponownie zabrał głos.

— Zasadniczym wnioskiem, do którego możemy dzisiaj dojść w naszej dyskusji, jest stwierdzenie, że nie ma takiego prawa, które zabraniałoby uzyskania wolności przez jakikolwiek... podmiot, który by tego pragnął. Myślę, że o to właśnie dokładnie chodzi. Wysłuchałem opinii obu stron i doszedłem do wstępnych wniosków. Zamierzam opiniować na korzyść petenta.

Jego formalna decyzja, gdy ogłoszono ją i opublikowano, wywołała krótkotrwałą, ale

żywą sensacją. Przez jakiś czas o niczym innym nie mówiono. Wolny robot? Jak robot może być wolny? Co to oznacza? Kim jest ten robot, któremu wydaje się, że jest inny od reszty robotów?

Ale po pewnym czasie wrzawa i dyskusje na temat Andrew Martina ucichły. Trwało to zaledwie dziewięć dni. Nic się też specjalnie nie zmieniło — no, może poza stosunkami w rodzinie Martinów.

Opozycjoniści Andrew odwołali się do Sądu Światowego. Sędziowie obejrzeni całą dokumentację, wysłuchali nagrań i nie znaleźli żadnych proceduralnych uchybień ani też podstaw do uchylecia orzeczenia Sądu Regionalnego.

Tak więc, było po wszystkim, a pragnienia Andrew spełniły się. Był teraz wolny. Rozważania na ten temat były dla niego źródłem wielkiej przyjemności. Aż wreszcie Andrew uświadomił sobie, że nie do końca osiągnął to, co chciał osiągnąć, kiedy po raz pierwszy zwracał się ze swoją prośbą do pana Martina.

ROZDZIAŁ 9

Sir był jednak niezadowolony. Nie potrafił wraz z innymi cieszyć się z decyzji sądu. Upewnił się też, że Andrew i Mała Miss o tym wiedzą.

Andrew przyszedł do niego krótko po oficjalnym ogłoszeniu wyroku sądowego.

— Mam dla pana czek, Sir.

— O jakim czeku mówisz?

— O całym dochodzie z konta mojej firmy. Obiecałem te pieniądze jako cenę za podarowanie mi wolności.

— Nigdy nie podarowałem ci twojej wolności — odparł Sir. — Po prostu poszedłeś i wzięłeś ją sobie. — Szorstki głos Geralda Martina sprawił, że Andrew poczuł się tak, jakby doznał krótkiego spięcia w swych obwodach.

— Ojczy — przerwała mu ostro Mała Miss.

Sir spojrział na nią gniewnie. Siedział owinięty w swój pled, mimo że był to najcieplejszy dzień tego lata.

— No dobrze, Andrew — powiedział łagodniejszym nieco tonem. — Chciałeś swoją wolność, na co by tam ona ci była potrzebna. Nie sprzeciwiałem się temu. Możesz więc przyjąć, że zaakceptowałem twoją petycję. Jesteś zatem wolny. Moje gratulacje, Andrew.

— Chciałbym więc za nią zapłacić, tak jak obiecałem.

Oczy Geralda Martina znów zapłonęły gniewem.

— Nie chcę twoich cholernych pieniędzy, Andrew.

— Mieliśmy umowę, Sir...

— Umowę? Jaką umowę? Wiesz, że na nic się nie zgodziłem...! Posłuchaj, Andrew. Wezmę ten czek, jeśli to ci pomoże czuć się rzeczywiście wolnym. Ale sądzę, że cały ten pomysł jest śmieszny i nedorzeczny. Jestem bardzo bogatym starszym panem. Długo już nie pożyję, więc przekażę te pieniądze na cele dobroczynne. Oddam je na rzecz Domu dla Osieroconych Robotów, jeśli taki istnieje. A jeżeli nie, to sam go założę. — Sir roześmiał się, ale jego oczy pozostały nieruchome. Był to sztuczny, zimny śmiech. An-

drew i Mała Miss nie przyłączyli się do niego. — Ale to cię nie obchodzi, co? — ciągnął dalej Sir. — Ty po prostu chcesz wydać te pieniądze. Dobrze, Andrew. Daj mi ten czek.

— Dziękuję, Sir — powiedział Andrew i podał czek.

Sir patrzył na niego przez moment swymi niedowidzącymi oczami, aż wreszcie upewnił się, na którą stronę czeku patrzy.

— Zgromadziłeś niezły kapitał, Andrew... Podaj mi długopis, Mandy, dobrze?

Sięgnął drżącą ręką po długopis, ale gdy zaczął pisać na odwrotnej stronie dokumentu, jego ręka pewnie stawiała wyraźne i równe litery. Pisał linijkę za liniijką i było tego znacznie więcej, niż wymagano tego w zwykłej cesji. Potem przeczytał swoją notatkę i skinął głową. W końcu wręczył czek Andrew. Cesja stwierdzała, że Gerald Martin otrzymał czek z wyżej wymienioną sumą za podarowanie wolności robotowi Andrew NDR-113 Martinowi, zgodnie z decyzją sądu. Pod spodem zaś było napisane:

„Wypłacić Andrew Martinowi. Jest to premia za wzorową służbę pełnioną podczas pobytu w moim domu. Cesja tego czeku na korzyść wyżej wymienionego jest nieodwołalna. Gerald Martin”.

— Czy to jest do przyjęcia, Andrew? — zapytał Sir.

Andrew zawahał się przez moment. Podał czek Małej Miss, która przeczytała go i wzruszyła ramionami.

— Nie pozostawia mi pan żadnego wyboru, Sir — powiedział po chwili Andrew.

— Dokładnie tak. Właśnie w ten sposób chcę rozwiązać tę sprawę. A teraz złóż czek i schowaj go do kieszeni. Ach, prawda. Ty nie masz kieszeni. No cóż, schowaj go więc gdzie indziej. Zachowaj go jako pamiątkę po mnie. I więcej już o tym nie rozmawiajmy.

— Sir spojrzał wyzywająco na Andrew i Małą Miss. — A więc załatwione! Jesteś teraz naprawdę wolny, czyż nie? Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Od tej chwili możesz sam wybierać sobie zajęcia i wykonywać je tak, jak ci się podoba. Już nigdy nie będę ci wydawał poleceń, Andrew. Poza tylko tym jednym: rób to, co ci się żywnie podoba. Od tej chwili musisz działać zgodnie ze swoją wolą, tak jak zdecydował sąd. Czy to jasne?

— Tak, Sir.

— Ale wciąż jestem za ciebie odpowiedzialny. To także jest zastrzeżone w orzeczeniu sądowym. Nie jestem już twoim właścicielem, ale jeśli wpakujesz się w jakieś kłopoty, to ja muszę cię z nich wyciągnąć. Może i jesteś wolnym robotem, ale nie masz żadnych praw obywatelskich. Pozostajesz wciąż ode mnie zależny... Innymi słowy, jestem twoim opiekunem. Tak orzekł sąd. Mam nadzieję, że to rozumiesz, Andrew?

— Jesteś rozgniewany, ojcze — powiedziała Mała Miss.

— Tak, jestem. Nie prosiłem, by obarczono mnie odpowiedzialnością za jedyne na tym świecie wolnego robota.

— Niczym cię nie obarczono, ojcze. Przyjąłeś za niego odpowiedzialność już w dniu, w którym przyprowadziłeś go do nas. Polecenie sądu niczego nie zmieniło. Nie będziesz

musiał robić niczego innego ponad to, co robiłeś do tej pory. A jeśli chodzi o kłopoty... W jakiego rodzaju kłopoty Andrew mógłby popaść? Wciąż działają Trzy Prawa.

— Zatem jak można uważać go za wolnego?

— A czy istoty ludzkie nie są związane prawami, Sir? — zapytał cicho Andrew.

Gerald Martin posłał mu groźne spojrzenie.

— Nie spieraj się ze mną o drobiazgi, Andrew. Ludzie podjęli wspólnie takie zobowiązanie. Z własnej woli przyjęli kodeks praw, i zgodzili się go przestrzegać. Inaczej nie mogłoby istnieć cywilizowane społeczeństwo, a życie byłoby nie do zniesienia. Ci, którzy odmawiają przestrzegania tych praw, są karani, a potem, w co wierzymy, resocjalizowani. Ale robot nie zawiera żadnego społecznego porozumienia. Przestrzega kodeksu swoich praw, ponieważ nie ma innego wyboru. Nawet tak zwany wolny robot.

— Ale, tak jak pan mówi, Sir, ludzkie prawa istnieją i muszą być przestrzegane, a ci, którzy je respektują, nadal uważają się za wolnych. A więc robot...

— Dosyć tego! — krzyknął Gerald Martin. Pled osunął się na podłogę, a Sir przechylił się niepewnie na swym fotelu. — Nie mam ochoty o tym dłużej dyskutować. Dziękuję bardzo. Idę na górę. Dobranoc, Amando. Dobranoc, Andrew.

— Dobranoc, Sir. Czy mam odprowadzić pana do pokoju?

— Nie rób sobie kłopotu. Na razie potrafię jeszcze wejść po schodach. Ty zajmij się swoją pracą, cokolwiek by to było, a ja zajmę się swoją.

Mówiąc to, poczłapał wolno do siebie. Andrew i Mała Miss wymienili zakłopotane spojrzenia, ale żadne z nich już się nie odezwało.

Po tej rozmowie Sir rzadko już opuszczał swoją sypialnię. Posiłki przygotowywał mu i zanosił na górę prosty robot TZ, który zajmował się kuchnią. Sir nigdy nie wołał Andrew do siebie, a Andrew ze swej strony nie chciał mu się narzucać. Tak więc Sir i Andrew widywali się przy tych nielicznych okazjach, kiedy Sir schodził na dół do dużego salonu.

Andrew również nie przebywał w domu zbyt często. Jego rzeźbiarska firma szybko się rozrastała, więc nie mógł się już pomieścić ze wszystkim w małym gabinecie na strychu, który kiedyś przeznaczyl dla niego pan Martin. Kilka lat przedtem pozwolono mu więc zamieszkać w dwupokojowym domku na skraju lasu, który przylegał do posiadłości Martinów.

Był to miły, jasny i dość przestronny domek, stojący na małym wzniesieniu i otoczony strzelistymi sekwojami. Zbudowały go trzy roboty nadzorowane przez człowieka. Zajęło im to zaledwie parę dni.

Rzecz jasna w domku nie było sypialni, kuchni ani łazienki. W jednym pokoju znajdowała się biblioteka i biuro; tam Andrew trzymał swe zapiski, informatory, albumy, a także szkice prac. W drugim, znacznie większym pokoju, Andrew urządził pracownię. Tam mieścił się cały sprzęt, narzędzia, a także rzeczy, nad którymi właśnie praco-

wał. Przy domku znajdowała się również niewielka szopa, w której Andrew składował kawałki egzotycznego drewna używanego do produkcji biżuterii i mebli.

Dla Andrew praca nigdy się nie kończyła. Fakt uzyskania przez niego wolności różnił się szerokim echem, co miało istotne znaczenie dla zainteresowania jego rzeźbiarską produkcją. Nie było praktycznie ani jednego poranka, by na komputerze Andrew nie pojawiły się trzy lub cztery zamówienia. Miał ich już na całe lata. Musiał więc sporządzić listę oczekujących, a ci, którzy się na niej znaleźli, mogli uważać się za uprzywilejowanych.

Jako wolny robot pracował znacznie więcej niż wówczas, gdy należał do rodziny Martinów. Nie było niczym niezwykłym, że nie wychodził ze swej pracowni przez trzydzieści sześć, a nawet przez czterdzieści osiem godzin. Nie potrzebował przecież snu ani jedzenia.

Jego konto bankowe wciąż rosło i rosło, więc Andrew zaproponował Geraldowi Martinowi spłatę kosztów budowy domku. Tym razem Sir nie oponował, choćby ze względu na zachowanie formy. Andrew otrzymał oficjalny tytuł własności, a potem wymógł jeszcze, by wydzierżawiono mu grunt, na którym stał domek.

Mała Miss często do niego zaglądała, ilekroć przychodziła z wizytą do ojca. Wciąż mieszkała ze swym mężem, Lloydem Charneyem, na wybrzeżu, parę godzin drogi od rodzinnej posiadłości. Rozmawiali wtedy o błahostkach, a Mała Miss podziwiała jego ostatnie projekty i dokonania.

Czasami zabierała ze sobą syna, którego Andrew nie nazywał już Małym Sir. Mały Sir przestał być małym chłopcem już jakiś czas temu. Był teraz roslym młodzieńcem z bujnymi i starannie wypielęgnowanymi bokobrodami. Mały Sir zakazał mu nazywać siebie w ten sposób.

— Czy to cię drażni, Mały Sir? — zapytał wtedy Andrew. — Myślałem, że uważasz to za zabawne.

— Tak istotnie było.

— Ale teraz, gdy jesteś już w pełni dojrzałym mężczyzną, wydaje ci się, że to niestosowne, prawda? Wiesz, że darzę cię najwyższym szacunkiem...

— To nie ma nic wspólnego z moją godnością — powiedział Mały Sir. — Ale ma za to wiele wspólnego z twoją.

— Nie rozumiem.

— Najwyraźniej. Ale spójrz na to w ten sposób, Andrew. Mały Sir jest może uroczym imieniem, a ty i ja na pewno tak uważamy, ale w taki sposób służba nazywa syna swego pana, w tym zaś wypadku jego wnuka. Lecz w obecnej sytuacji taka służalczość jest już niestosowna, Andrew. Rozumiesz? Mój dziadek nie jest twoim panem, a ja nie jestem uroczym małym chłopcem. Wolny robot nie powinien nazywać nikogo Mały Sir. Czy to dla ciebie jasne? Ja zwracam się do ciebie Andrew, zawsze tak było. Od dziś masz

mnie nazywać George.

Zabrzmiało to jak rozkaz i Andrew nie miał innego wyjścia, jak się zgodzić.

George Charney nie był już Małym Sir, ale Mała Miss pozostała dla niego na zawsze Małą Miss. Zwracanie się do niej „pani Charney” było dla Andrew nie do pomyślenia. Zupełnie nie do przyjęcia byłoby zwracanie się do niej po imieniu. Nazywał ją więc Małą Miss pomimo tego, że była teraz szczupłą, siwowłosą kobietą — ciągle bardzo ładną, ale niewątpliwie starzejącą się. Andrew miał nadzieję, że Mała Miss nigdy nie wyda mu takiego polecenia, jakie wydał jej syn. I rzeczywiście nie zrobiła tego. Zawsze była Małą Miss i zawsze nią pozostanie.

Pewnego dnia George i Mała Miss przyjechali do posiadłości Martinów, ale żadne z nich nie zajrzało, jak to było w zwyczaju, do domku Andrew. Andrew zobaczył przejeżdżający samochód, który tym razem nie przystanął, i zastanawiał się, dlaczego tak się stało. Poczł zakłopotanie, gdy minęło pół godziny, potem następne pół i nikt się nie zjawił. Czy obraził ich w jakiś sposób podczas ostatniej wizyty? Nie, to nie wchodzi w rachubę.

Może więc coś się wydarzyło w posiadłości...?

Zabrał się do pracy, ale musiał włożyć wiele siły, by się na niej skoncentrować. Ale i to nie pomagało. Późnym popołudniem zjawił się George. Był sam.

— Czy wszystko w porządku, George? — zapytał od razu Andrew.

— Obawiam się, że nie. Dziadek umiera.

— Umiera? — powtórzył sucho Andrew.

Śmierć była zjawiskiem, o którym często myślał, ale nigdy do końca nie rozumiał.

— Matka jest teraz przy nim — przytaknął smutno George. — Dziadek chce, abyś też przyszedł.

— Naprawdę? To nie matka cię po mnie przysłała, lecz on sam?

— Tak, on sam.

Andrew poczuł lekkie mrowienie w koniuszkach palców, co można było porównać z uczuciem pewnego rodzaju ekscytacji.

Sir... umiera!

Rzucił narzędzia na podłogę i popędził do posiadłości, a za nim biegł zdyszany George.

Sir leżał w łóżku, w którym spędził większość swych ostatnich lat życia. Z jego bujnych włosów pozostało zaledwie kilka siwych kosmyków. A niegdyś tak wspaniałe wąsy były teraz tylko żałośnie postrzępionymi frędzelkami. Był bardzo blady, niemal przezroczysty. Wydawało się również, że prawie nie oddycha. Ale oczy miał otwarte — te surowe, stare oczy, niebieskie i przenikliwe. Widząc wchodzącego Andrew, uśmiechnął się słabo.

— Sir... Sir...

— Podejź tu, Andrew — głos Geralda Martina brzmiał zadziwiająco mocno.

Andrew zachwiał się niepewnie, zbyt przejęty, by zareagować.

— Podejź tutaj. To rozkaz. Powiedziałem kiedyś, że już nie wydam ci żadnego polecenia, ale teraz czynię wyjątek. Na pewno już ostatni. Możesz mi wierzyć.

— Tak, Sir — powiedział Andrew i podszedł bliżej.

Gerald Martin wysunął jedną rękę spod przykrycia. Wydawało się, że kosztuje go to zbyt wiele, więc George pospieszył mu z pomocą.

— Nie — powiedział Sir, a w jego głosie pojawił się cień dawnej stanowczości. — Do diaska, nie próbuj mi pomagać, George. Nie jestem kaleką. Ja tylko umieram. — Gniewnie odsunął kołdrę i wyciągnął rękę. — Andrew... Andrew...

— Och, Sir...

Nigdy przedtem nie stał przy kimś, kto umiera. Wiedział, że śmierć jest momentem, w którym człowiek przestaje funkcjonować, że jest to stan nieodwracalny, że nadchodzi on wcześniej czy później i dotyczy wszystkich ludzi. Sądził też, iż skoro nie można w żaden sposób umknąć śmierci, to ludzie przyjmują ją jako coś naturalnego i nie oczekują jej ze strachem. Ale teraz nie był już tego pewien. Sir żył już tak długo, że musiał się przyzwyczać do życia. Zawsze było w nim tyle żywotności, tyle energii...

— Podaj mi rękę, Andrew.

— Oczywiście, Sir.

Andrew ujął zimną i drżącą dłoń Geralda Martina: suche, stare ciało przy gładkim, pozbawionym jednej zmarszczki plastyku.

— Jesteś wspaniałym robotem, Andrew. Wiesz o tym? Naprawdę wspaniałym. Najlepszym robotem, jakiego kiedykolwiek stworzono.

— Dziękuję, Sir.

— Chciałem ci to powiedzieć. I jeszcze jedno. Cieszę się, że jesteś wolny. To wszystko. To dla mnie bardzo ważne, że miałem okazję ci to powiedzieć. Wszystko w porządku, Andrew.

Audycja najwyraźniej dobiegała końca. Andrew już nie zajmował uwagi Geralda Martina. Puścił więc jego rękę i cofnął się, zatrzymując się przy Małej Miss i George'u. Mała Miss dotknęła jego ramienia tuż powyżej łokcia — delikatnie, z uczuciem. Nic nie powiedziała, a i George zachował milczenie.

Stary człowiek zdawał się odchodzić gdzieś hen, daleko, w sobie tylko znane królestwo. W pokoju słyhać było jedynie jego słaby, urywany oddech. Sir leżał bez ruchu, patrząc gdzieś przed siebie. Jego twarz była teraz tak samo pozbawiona wyrazu jak twarz robota.

Andrew zupełnie nie wiedział, co począć. Mógł tylko stać w ciszy i patrzeć; patrzeć na coś, co musiało być ostatnimi chwilami w życiu Geralda Martina, jego pana.

Sir westchnął głęboko. Z jego gardła wydobył się dźwięk, którego Andrew nigdy

przedtem nie słyszał. A potem wszystko ucichło.

Nie było już słycać oddechu, ale poza tym nic się nie zmieniło. Sir leżał tak samo nieruchomo, jak przed chwilą, i tak samo wpatrywał się w jakiś daleki punkt. Andrew pojął, że wydarzyło się coś, czego nigdy nie zrozumie. Sir przekroczył niewidzialną granicę, która oddzielała życie od śmierci. Nie było już jego pana. Sir odszedł. Pozostała tylko sama obudowa.

Mała Miss westchnęła cicho. Nie płakała, ale Andrew wiedział, że jest wstrząśnięta.

— Cieszę się, że przyszedłeś, zanim umarł — powiedziała cicho. — Należałeś do tego miejsca, Andrew. Byłeś jednym z nas.

Ponownie Andrew nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Jestem szczęśliwa, że powiedział to, co powiedział — mówiła dalej Mała Miss. — Może ci się wydawać, że nie odnosił się do ciebie zbyt przyjaźnie, ale wiesz... Był już stary. I pewnie zraniło go to, że chciałeś być wolny. Ale na koniec wybaczył ci. Rozumiesz to, Andrew?

I wtedy Andrew wiedział już, co odpowiedzieć.

— Bez niego nigdy nie byłbym wolny, Mała Miss.

ROZDZIAŁ 10

Krótko po śmierci Geralda Martina Andrew zaczął nosić ubrania. Najpierw była to stara para spodni, które dostał od George'a Charneya.

Andrew wiedział, że poważył się na bardzo śmiały eksperyment. Roboty — wykonane przecież z metalu i pozbawione płci, pomijając oczywiście określenia typu „on” czy „ona”, które nadawali im ich właściciele — nie musiały nosić ubrań ani po to, by chronić swoje elementy, ani też z powodu zawstydzenia. I z tego, co wiedział Andrew, żaden robot do tej pory nie nosił odzieży.

Lecz właśnie wtedy poczuł jakąś osobliwą chęć, by osłonić swoje ciało w taki sposób, jak robią to ludzie. Nie tracąc czasu na badanie tego nowego odczucia, postanowił tak uczynić.

Tego dnia, gdy Andrew otrzymał swe pierwsze spodnie, George pomagał mu malować meble ogrodowe do swego domu. Nie chodziło o to, że Andrew potrzebuje pomocy. W istocie byłoby dużo prościej, gdyby George pozostawił wszystko inwencji Andrew, lecz nalegał uporczywie, by uczestniczyć w pracy. W końcu chodziło o meble, które miały stać na jego własnej werandzie. Był teraz człowiekiem statecznym. Ożenił się i został prawnikiem w starej firmie Feingolda, która od kilku miesięcy nosiła nazwę Feingold i Charney. Traktował swe dorosłe obowiązki bardzo, bardzo poważnie.

Pod koniec dnia meble zostały pomalowane równie dokładnie jak sam George. Miał farbę na rękach, uszach i czubku nosa. Na dodatek pomalował sobie także wąsy i bokobrody. Oczywiście kolorowe plamy były również na całym jego ubraniu. Ale ostatecznie George był na to przygotowany i dlatego właśnie miał na sobie podniszczoną koszulę i spodnie o podejrzanym wyglądzie, które zapewne pochodziły jeszcze z jego czasów szkolnych.

Po skończonej pracy George przebrał się w swoje normalne ubranie, a stare rzeczy zwinął w kłębek i rzucił na bok.

— Możesz je wyrzucić, Andrew — powiedział. — Już mi się nie przydadzą.

Jeśli chodzi o koszulę, George miał całkowitą rację. Była nie tylko okropnie popla-

miona, lecz również rozdarta od szwu na ramieniu aż do samego dołu. Stało się to wówczas, gdy George ruszył się zbyt raptownie, próbując obrócić stół na bok. Lecz spodnie, aczkolwiek wystrzępione i zniszczone, były według Andrew do odratowania.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zatrzymać je dla siebie — powiedział, trzymając spodnie w górze.

— Mówisz poważnie? Potrzebne ci są na szmaty? — zapytał z uśmiechem George.

Andrew odczekał chwilę, a potem odpowiedział:

— Nie... chciałbym je nosić.

Teraz George zaniemówił. Andrew ujrzał na jego twarzy najpierw zdziwienie, a po chwili rozbawienie. George z całych sił usiłował się nie uśmiechnąć, lecz chociaż udało mu się to z mniejszym czy większym powodzeniem, jego wysiłki były w oczach Andrew aż nadto oczywiste.

— Nosić — powtórzył wolno George. — Chcesz nosić moje stare spodnie. Czy to właśnie przed chwilą powiedziałeś, Andrew?

— Tak. Bardzo chciałbym je nosić, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Czy coś nie w porządku z twoim systemem homeostatycznym?

— Nie. Dlaczego pytasz?

— Ponieważ zastanawiam się, czy nie jest ci zimno. Z jakiego powodu miałbyś je nosić?

— Żeby się przekonać, jak to jest.

— Ach — powiedział George. — Ach — powtórzył raz jeszcze. — Rozumiem. Chcesz przekonać się, jak to jest. W porządku. Mogę ci powiedzieć, Andrew. To tak, jakby brudny, stary kawałek szorstkiego materiału owijał się wokół twojej delikatnej, gładkiej metalowej skóry.

— Chcesz przez to powiedzieć, że nie życzysz sobie, bym nosił te spodnie? — zapytał Andrew.

— Tego nie powiedziałem.

— Ale uważasz, że to dziwny pomysł.

— Cóż...

— Tak sądzisz, prawda?

— Tak. W zasadzie tak. To rzeczywiście cholernie dziwny pomysł.

— I dlatego dasz mi je tylko pod warunkiem, że je zniszczę?

— Nie — odparł George, a w jego głosie pojawiła się nuta rozdrażnienia. — Zrobisz z nimi, co zechcesz, Andrew. Załóż je, jeśli chcesz. Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko temu? Jesteś wolnym robotem. Możesz założyć spodnie, jeśli tylko masz na to ochotę. Nie widzę żadnego powodu, by ci w tym przeszkadzać. No dalej, Andrew. Załóż je.

— Tak — przytaknął Andrew. — Zrobię to.

— To historyczny moment. Po raz pierwszy robot zakłada spodnie. Powiniennem

mieć teraz kamerę.

Andrew przycisnął spodnie do siebie i zawahał się.

— I cóż? — zapytał George.

— Pokażesz mi, jak to zrobić?

George uśmiechnął się szeroko i pokazał Andrew, jak manipulować statyczną klamrą, która umożliwiała rozpięcie spodni, owinięcie ich wokół ciała, a potem zapięcie. George zademonstrował technikę wkładania spodni jeszcze kilka razy, lecz Andrew już po chwili był pewien, że będzie w stanie opanować ów płynny ruch, który George wykonywał, bądź co bądź, od dzieciństwa.

— Ciekawi mnie ten skręt nadgarstka, który wykonujesz, podnosząc rękę — powiedział Andrew.

— W ten sposób — pokazał raz jeszcze George.

— Tak?

— Jeszcze bardziej.

— Aha, w ten sposób. — Andrew dotknął ponownie małej spinki. Wtedy spodnie otworzyły się, opadły, a potem uniosły się i owinięły wokół jego nóg.

— Dobrze?

— Dużo lepiej — stwierdził George.

— Myślę, że po paru ćwiczeniach wyda mi się to zupełnie naturalne — powiedział Andrew.

— Nie. — George posłał mu zdziwone spojrzenie. — To nigdy nie będzie dla ciebie naturalne. To nie jest naturalne. Dlaczego, na Boga, chcesz nosić spodnie, Andrew?

— Tak jak już powiedziałem, George. Jestem ciekaw, jak to jest.

— Ale przecież nie byłeś nagi, zanim je włożyłeś. Byłeś po prostu sobą.

— Tak. Przypuszczam, że byłem — stwierdził niezobowiązująco Andrew.

— Usiłuję cię zrozumieć, ale w żaden sposób nie pojmuję, do czego zmierzasz. Twoje ciało jest tak cudownie funkcjonalne, że zakrywanie go jest wręcz grzechem. Zwłaszcza że nie musisz się martwić z powodu temperatury czy też wstydu. Poza tym materiał nie układa się zbyt dobrze na metalu.

— A czy ludzkie ciała nie są cudownie funkcjonalne, George? — zapytał Andrew.

— A mimo to wszyscy je zakrywacie.

— Dla ciepła, czystości, ochrony i ozdoby. Poza tym to kwestia umowy społecznej. Żaden z tych powodów ciebie nie dotyczy.

— Czuję się nagi bez ubrania — powiedział Andrew.

— Naprawdę? Nigdy przedtem o tym nie mówiłeś. Czy to coś nowego?

— Umiarkowanie.

— Kwestia tygodnia? Miesiąca? A może roku? Co się z tobą dzieje, Andrew?

— Trudno mi to wyjaśnić. Czuję się jakoś inaczej.

— Inaczej! Inaczej niż kto? Robot nie jest już niczym nowym. Na Ziemi są teraz miliony robotów. A w tym Regionie, według ostatniego spisu, jest ich niemal tyle samo co ludzi.

— Wiem o tym, George. Roboty wykonują każdą pracę, jaką można sobie tylko wyobrazić.

— Jednak żaden z nich nie nosi ubrań.

— Żaden z nich nie jest również wolny, George.

— A więc o to chodzi! Czujesz się inaczej, ponieważ jesteś wolny!

— Właśnie.

— Ale nosić ubrania...

— Zgódź się. Chcę to robić.

George wypuścił wolno powietrze.

— Zrobisz, co zechcesz, Andrew. Jesteś wolnym robotem.

— Tak. Jestem.

George, początkowo sceptyczny, uznał ryzykowny pomysł Andrew za interesujący i zabawny. Zaczął mu nawet pomagać, przynosząc coraz to inne elementy garderoby. Ostatecznie Andrew mógłby pojechać do miasta, by kupić sobie jakieś ubrania, ale czuł się nieswojo nawet na myśl, że miałby zamówić je z komputerowego katalogu. Wiedział, że od czasu decyzji sądu jest dobrze znany w wielu miejscach i nie chciał, by jakiś sprzedawca rozpoznał jego nazwisko na zamówieniu, a potem rozpuścił plotkę, że wolny robot zajmuje się teraz noszeniem ubrań.

Tak więc George dostarczył mu kilka rzeczy, o które poprosił: najpierw koszulę, potem buty, elegancką parę rękawiczek i kilka ozdobnych epoletów.

— A co z bielizną? — zapytał George. — Mam ci ją również przynieść?

Andrew nie miał pojęcia o istnieniu bielizny ani jej przeznaczeniu. Gdy George mu wytłumaczył, o co chodzi, Andrew zdecydował, że bielizna nie będzie mu potrzebna.

Postanowił, że będzie nosić ubrania tylko wtedy, gdy będzie sam w domu. Nie był jeszcze gotowy, aby wyjść w nich na zewnątrz, a po kilku eksperymentach przestał je nosić nawet w swojej pracowni, gdy znajdowały się tam jeszcze jakieś osoby. Powstrzymywał go protekcyjny uśmiech, którego George mimo najlepszych chęci nie potrafił ukryć, i zdziwione spojrzenia klientów przybyłych po swoje zamówienia.

Andrew mógł być wolny, ale wciąż podlegał szczegółowo opracowanemu programowi, który określał jego zachowanie w stosunku do ludzi. Było to nerwowe połączenie, o słabszym co prawda oddziaływaniu niż Trzy Prawa, lecz niemniej jednak zniechęcające do jakiegokolwiek czynu, który wydałby się ludziom niemiły. Andrew posuwał się więc małymi krokami. Otwarta dezaprobata mogła go przecież cofnąć o całe miesiące. W końcu jednak zdobył się na odwagę i wyszedł z domu w ubraniu.

Nikt, kogo spotkał tego dnia, nie wyraził zdziwienia. Lecz może wszyscy byli zbyt

wstrząśnięci, by się dziwić. Przecież nawet sam Andrew czuł się dość niesamowicie, eksperymentując w ten sposób.

Miał teraz lustro i wpatrywał się w nie godzinami, studiując swój wizerunek z każdego boku i pod różnymi kątami. Czasem odczuwał dezaprobatę. Metalowa twarz z błyszczącymi fotoelektrycznymi oczami, surowe rysy... To wszystko tak nie pasowało do tych miękkich, kolorowych ubrań, które przeznaczone były dla ciała ludzkiego.

Innym razem zaś wydawało mu się, że wszystko jest w porządku. Podobnie jak w wypadku innych robotów, ciało Andrew miało humanoidalny kształt: dwie ręce, dwie nogi, okrągła głowa umieszczona na szczupłej szyi. Projektanci z Amerykańskich Robotów nie musieli nadawać mu takiej formy. Mogli zaprojektować go w dowolny sposób, który wydałby się im odpowiedni: rotory zamiast nóg, sześć ramion zamiast dwóch, obracający się sensor na kadłubie zamiast głowy z dwojgiem oczu. Ale nie. Oni zbudowali go na swoje podobieństwo. Decyzja taka została podjęta już w pierwszych latach rozwoju robotyki, ponieważ najlepszym sposobem na pokonanie ludzkiego strachu przed inteligentnymi maszynami było nadanie tym maszynom znajomej formy.

Dlaczego więc nie miałby również nosić ubrań? Czyż to nie nadałoby mu bardziej ludzkiego wyglądu?

W każdym razie Andrew chciał teraz nosić ubrania. Był to pewien symbol jego nowego statusu: robota uznanego przez prawo za wolnego.

Oczywiście nie wszyscy uznawali go za wolnego, ignorując w ten sposób wszelkie prawne ustalenia. Termin „wolny robot” dla wielu ludzi nie miał żadnego znaczenia. Równie dobrze można było powiedzieć „sucha woda” lub „jasna ciemność”. Andrew był absolutnie niezdolny do oburzania się na takie stwierdzenia. Lecz jeśli zdarzyło mu się stanąć oko w oko z czyjąś dezaprobatą w stosunku do jego nowego statusu, odczuwał pewną trudność w procesie myślenia: nieznaczny wewnętrzny opór.

Gdy publicznie nosił ubranie, wiedział, że musi liczyć się z wrogością wielu osób. Dlatego też starał się być bardzo ostrożny.

Dotyczyło to nie tylko wrogo nastawionych nieznanym. Nawet osoba, która kochała go najbardziej na świecie — Mała Miss — była przerażona i jak podejrzewał Andrew, więcej niż zakłopotana tą nową sytuacją. Andrew spostrzegł to od razu. Mała Miss, podobnie jak jej syn, próbowała ukryć zdziwienie i konsternację na widok Andrew w ubraniu. I tak samo jak George'owi, to jej się nie udało.

Cóż, Mała Miss była już stara i jak wielu starych ludzi, miała swoje dziwactwa. A może po prostu wołała, by wyglądał tak, jak za czasów jej dzieciństwa. Może gdzieś w głębi uważała, że wszystkie roboty, nawet Andrew, powinny wyglądać jak maszyny, którymi w istocie były...?

Andrew podejrzewał, że jeśli kiedykolwiek zapytałby o to, Mała Miss zaprzeczyłaby z oburzeniem. Nie miał jednak zamiaru o nic pytać. Po prostu unikał wkładania ubrań,

a przynajmniej zbyt wielu rzeczy na raz, gdy Mała Miss składała mu wizytę.

Nie było tych wizyt zbyt wiele w owym czasie, gdyż Mała Miss przekroczyła już siedemdziesiątkę. Skurczyła się bardzo i stała się tak wrażliwa na chłód, że nawet łagodny klimat północnej Kalifornii był dla niej zbyt zimny przez większą część roku. Mąż Małej Miss zmarł kilka lat wcześniej, spędzała więc teraz dużo czasu na podróżach do tropikalnych regionów świata. Odwiedzała takie miejsca, jak Hawaje, Australia, Egipt i ciepłe rejony Ameryki Południowej. Do Kalifornii wracała jedynie raz lub dwa razy do roku, by odwiedzić George'a, jego rodzinę, no i oczywiście Andrew.

Po jednej z jej wizyt George zszedł do pracowni Andrew, by z nim porozmawiać.

— W końcu mnie dostała — oznajmił ponuro. — W przyszłym roku mam zamiar ubiegać się o miejsce w Legislaturze. Nie da mi spokoju, dopóki tego nie zrobię. Pewnie wiesz, że Pierwsze, Drugie i Trzecie Prawo w naszej rodzinie polega na tym, że nikt nie odmawia niczego Amandzie Charney. Więc oto zostanę kandydatem. Według niej to moje genetyczne przeznaczenie. Jaki dziadek, taki wnuk.

— Jaki dziadek...

Andrew zamilkł niepewnie.

— Co jest, Andrew?

— Chodzi o tę frazę. Moje obwody zawiadujące gramatyką... — Andrew pokręcił głową. — Jaki dziadek, taki wnuk. W tym wyrażeniu nie ma czasownika, a jednak rozumiem jego kontekst gramatyczny. Chociaż...

— Andrew, czasem potrafisz być zupełnie przyziemnym kawałkiem blachy — roześmiał się George.

— Blachy?

— Nie bierz tego poważnie. To wyrażenie oznacza, że ja, George, wnuk Geralda Martina, powinienem zrobić dokładnie to samo, co mój dziadek, czyli Sir. To oznacza, że mam się ubiegać o miejsce w Legislaturze Regionalnej i zrobić tam wspaniałą karierę. Zwykle mówi się „jaki ojciec, taki syn”, ale mój ojciec nie zajmował się polityką, więc matka zmieniła trochę ten wyświechtany frazes i już. Nadażasz za mną, Andrew, czy mówię na próżno?

— Teraz rozumiem.

— To dobrze. Jednego tylko moja matka nie bierze pod uwagę. Nie mam takiego temperamentu, jak mój dziadek, a może nawet nie jestem tak inteligentny. On był naprawdę mądrym człowiekiem i nie ma powodu, żebym próbował mu dorównać. Obawiam się, że nie będzie już drugiego takiego jak on.

— Tak — przyznał Andrew. — To smutne, że nie ma go między nami. Byłoby miło, gdyby Sir nadal...

Andrew przerwał na chwilę, bo nie chciał powiedzieć: „nadal funkcjonował”. Zdawał sobie sprawę, że to nie jest odpowiednie określenie, ale było to pierwsze wyrażenie, któ-

re przyszło mu do głowy.

— Nadal żył? — dokończył za niego George. — Tak, dobrze byłoby mieć go teraz przy sobie. Muszę przyznać, że tęsknię za tym starym potworem tak samo jak ty.

— Potworem?

— To tylko takie powiedzenie.

— Ach, tak. Powiedzenie...

Gdy George odszedł, Andrew odtworzył w pamięci całą rozmowę, zastanawiając się nad jej zawilóściami i zwrotami. Próbował zrozumieć, dlaczego aż tak wytrąciła go z równowagi. W końcu doszedł do wniosku, że sprawiły to te wszystkie kolokwialne zwroty i idiomy, których używał George.

Nawet teraz, po tylu latach, Andrew miał czasem problemy, by nadażyć za ludźmi, gdy ci kroczyli w trakcie rozmowy krętymi lingwistycznymi ścieżkami. Od początku swojego istnienia był wyposażony w dość zasobny słownik i zasady gramatyczne. Miał również zdolność łączenia słów w sensowne znaczeniowo kombinacje. Szczęśliwy traf zaś sprawił, że jego inteligencja była bardziej wszechstronna i giętka niż u standardowego robota, w związku z czym mógł swobodnie rozwijać swój talent konwersacyjny. Jednak i jego zdolności w tej sferze miały swoje granice.

Andrew zdawał sobie sprawę, że ten problem będzie się powiększał wraz z upływem czasu.

Język ludzki stale ewoluował. Nie było w nim nic trwałego lub systematycznego. Bez przerwy pojawiały się nowe słowa, stare zmieniały swoje znaczenie, a nieformalne wyrażenia stawały się powszechnie używane. Andrew miał więc wiele powodów, by się uczyć. Jak dotąd jednak nie przeprowadził żadnych badań dotyczących charakteru przemian w lingwistyce.

Angielski, którego Andrew używał najczęściej, zmienił się ogromnie w ciągu ostatnich sześciuset lat. Wciąż od nowa zaglądał do niektórych ksiąg Geralda Martina — dzieł starożytnych poetów: Chaucera, Spensera i Szekspira — i znajdował na ich stronicach przypisy wyjaśniające współczesnemu czytelnikowi znaczenia archaicznych słów.

A co będzie, gdy przez następne sześćset lat język również tak bardzo się zmieni? Jak porozumie się z ludźmi, jeżeli nie zdoła dotrzymać kroku owym zmianom?

Nawet teraz, podczas jednej krótkiej rozmowy, George zdołał zaskoczyć go aż trzy razy. „Jaki dziadek, taki wnuk”. Jakże proste wydawało mu się to wyrażenie, gdy George je wyjaśnił. Lecz w pierwszej chwili było bardzo tajemnicze.

Albo: dlaczego George nazwał go w ten sposób? Przecież z pewnością wiedział, że nie ma w nim ani jednego kawałka przyziemnej blachy. A najbardziej zagadkowe było nazwanie Geralda Martina potworem. Dlaczego George go tak nazwał? W końcu nie jest to odpowiednie określenie starszego pana.

Andrew wiedział, że nie chodzi tutaj o kwestię jakichś najnowszych wyrażen. Były

to po prostu indywidualne powiedzonka, trochę za bardzo kolokwialne i metaforyczne, jak na jego językowe obwody. Andrew podejrzewał, że spotka się jeszcze z wieloma zagadkowymi sposobami mówienia.

Może nadszedł czas, by uzupełnić swoje lingwistyczne dane?

Jego własne książki niewiele mogły mu pomóc. Były stare i traktowały niemal wyłącznie o sztuce, rzeźbiarstwie i projektowaniu mebli. Nie zawierały jednak niczego na temat języka. Biblioteka Geralda Martina, aczkolwiek ogromna i zasobna, również nie mogła się przydać. Chociaż dom Martinów stał teraz pusty, nie licząc robota, który o niego dbał, Andrew mógł wejść do niego, kiedy tylko zechciał. Ale książki pochodziły w większości z ubiegłego wieku i nie mogły mu pomóc.

Andrew przemyślał wszystko i postanowił uaktualnić swoje informacje. Nie mógł jednak szukać pomocy u George'a. Gdy zwrócił się do niego w sprawie noszenia ubrań, musiał się zmagać z jego niezrozumieniem, a nawet protekcyjnym rozbawieniem. Chociaż wątpił, by i tym razem George zareagował w ten sam sposób, wolał się o tym nie przekonywać.

Nie. Po prostu pójdzie do miasta i skorzysta z biblioteki publicznej. Było to najbardziej właściwe, co mógł w tej sytuacji uczynić; odpowiedni dla wolnego robota sposób postępowania. Decyzja była naprawdę zwycięska i Andrew poczuł, że jego potencjał elektryczny znacznie wzrósł. Zablokował go jednak, by powrócić do stanu równowagi.

Tak, biblioteka.

Włoży na tę okazję ubranie. Tak, tak. Ludzie nie chodzą przecież do biblioteki nago. On również tak nie pójdzie.

Włożył kompletny strój — eleganckie spodnie z purpurowego aksamitu, powiewną czerwoną koszulę z błyszczącego jedwabiu i najlepsze buty. Do tego dodał ozdobny łańcuch z wypolerowanych drewnianych kółek — jeden ze swoich najpiękniejszych wyrobów. Miał do wyboru jeszcze łańcuch zrobiony z błyszczącego plastyku, który być może bardziej nadawałby się na tę okazję. Ponieważ jednak George zauważył kiedyś, że ten drewniany robi niesamowite wrażenie, a poza tym podobnie jak wszystkie wyroby z drewna jest bardzo cenny, Andrew nie wahał się dłużej. Tego dnia chciał zrobić wrażenie. W końcu w bibliotece będą ludzie, nie roboty. Nikt przedtem nie widział robota w takim miejscu, więc musiał wyglądać najlepiej, jak to możliwe.

Zdawał sobie sprawę, że robi coś niezwykłego i że konsekwencje tego czynu mogą być również dość niezwykłe. Jeśli George wpadnie niespodziewanie do pracowni, będzie zaskoczony, iż nie ma tam Andrew, i to go z pewnością zmartwi.

Andrew odszedł sto kroków od domu i poczuł opór, który rósł na tyle szybko, że w każdej chwili mógł go zatrzymać. Usunął więc blokadę z obwodów i kiedy zdawało się, że już nic go nie powstrzymuje, zawrócił do domu, napisał starannie na kartce: WYSZEDŁEM DO BIBLIOTEKI — ANDREW MARTIN, i położył ją w widocznym miejscu na stole.

ROZDZIAŁ 11

Andrew nie dotarł tego dnia do biblioteki. Nigdy przedtem tam nie był, lecz chociaż rzadko miał okazję zapuszczać się do małego miasteczka, które leżało niedaleko od domu Martinów, nie przypuszczał, że sprawi mu to jakikolwiek problem. Przystudiował dokładnie mapę i poznał drogę. Przynajmniej tak sądził.

Ale wszystko, co widział, gdy tylko oddalił się trochę od domu, sprawiało bardzo dziwne wrażenie. Punkty orientacyjne wzdłuż drogi nie przypominały abstrakcyjnych symboli na mapie. Porównywał to, co widział, z tym, co spodziewał się zobaczyć, wahał się raz za razem, aż w końcu zdał sobie sprawę, że zgubił drogę. Musiał widocznie gdzieś źle skręcić i dlatego w żaden sposób nie mógł odnieść swojej pozycji do tego, co przedstawiała mapa.

Co robić? Wrócić i zacząć od nowa? A może iść dalej w nadziei, że trafi w końcu na właściwy szlak?

Potem doszedł do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem będzie po prostu zapytać kogoś o drogę. W ten sposób odnajdzie właściwy kierunek bez specjalnego wysiłku.

Ale kogo zapytać? W pobliżu domu widział jakiegoś przypadkowego robota, ale tutaj nie było nikogo. Przejechał wprawdzie jakiś pojazd, ale się nie zatrzymał. Może wkrótce nadjedzie następny? Andrew był niezdecydowany, co objawiało się u niego cichym bezruchem. I wtedy po lewej stronie ujrzał dwie postacie idące przez pole.

Zwrócił się do nich twarzą.

Oni również go spostrzegli i zmienili kurs. Zmieniło się również ich zachowanie. Przed chwilą rozmawiali głośno, śmiali się i pokrzykiwali; teraz zamilkli, a na ich twarzach pojawiło się coś, co Andrew kojarzył z niepewnością.

Byli dosyć młodzi. Mieli po dwadzieścia, a może dwadzieścia pięć lat. Andrew nigdy nie potrafił zbyt dobrze oceniać ludzkiego wieku.

— Przepraszam bardzo — powiedział, gdy byli jeszcze dość daleko. — Czy możecie wskazać mi drogę do biblioteki miejskiej?

Zatrzymali się i popatrzyli na niego.

— Myślę, że to robot — stwierdził wyższy i szczuplejszy, który nosił groteskowy czarny kapelusz wyglądający jak długa rura.

— A ja myślę, że masz rację — odparł drugi: niski i pulchny młodzieniec z bulwiastym nosem i opadającymi ciężko powiekami. — Ma twarz robota.

— Oczywiście. To jest stanowczo twarz robota.

— Ale ma na sobie ubranie.

— I to modne ubranie.

— Wyobrazasz sobie? Robot w modnym ubraniu! Co oni jeszcze wymyślą?

— Przepraszam, panowie — odezwał się znowu Andrew. — Potrzebuję pomocy. Próbuję dostać się do biblioteki miejskiej. Zgubiłem się.

— Mówi jak robot — stwierdził wysoki.

— I ma twarz robota — dodał gruby.

— A zatem to na pewno robot.

— Pomyślałbyś?

— Ale nosi ubranie.

— Ubranie. Właśnie. Nie da się temu zaprzeczyć.

— Roboty nie noszą ubrań, czyż nie?

— Z tego, co wiem — nie.

— Więc jeśli on nosi ubranie, to czy może być robotem?

— Ma twarz z metalu. Cały jest metalowy. Lecz jeśli jest robotem, to dlaczego nosi ubranie?

Wysoki strzelił palcami.

— Wiesz, co my tu mamy? Wolnego robota. Mieszka w domu starego Charneya i jest niczyj. Założę się, że to on. Jaki mógłby być inny powód tej maskarady?

— Zapytaj go — powiedział ten z nosem.

— Dobry pomysł — odparł wysoki i podszedł do Andrew. — Jesteś robotem z domu Charneya?

— Nazywam się Andrew Martin.

— Zasmakany robot. Odpowiadaj na pytanie.

— Mieszkam w posiadłości, która należy teraz do rodziny Charneyów. Przedtem jej właścicielem był Gerald Martin i dlatego nazywam się Andrew Martin.

— Jesteś robotem? Zgadza się?

— Oczywiście, proszę pana.

— Więc dlaczego nosisz ubranie? Roboty nie noszą ubrań, prawda?

— Noszę ubranie, ponieważ tak zdecydowałem — odparł cicho Andrew.

— To odrażające. Robisz z siebie ohydne widowisko, wiesz o tym? Absolutnie ohydne i odrażające. Robot w ubraniu! — Wysoki spojrział na swego kompana. — Czy widziałeś kiedyś coś równie odrażającego? Zdejmuj ciuchy! — zwrócił się znowu do An-

drew.

Andrew zawahał się. Tak dawno nie słyszał rozkazu wydanego takim tonem, że obwody Drugiego Prawa momentalnie się zacisnęły.

— No, na co czekasz? — zapytał wysoki. — Chyba powiedziałem, żebyś zdjął ubranie? Rozkazuję ci zdjąć ubranie!

Andrew zastosował się powoli do komendy. Najpierw zdjął łańcuch i położył go ostrożnie na ziemi. Potem ściągnął jedwabną koszulę, złożył ją z wielką dbałością, by nie była pognieciona, gdy ją ponownie założy, i umieścił obok łańcucha.

— Szybciej! — ponaglał wysoki. — Daj spokój z tym składaniem. Po prostu rzuć rzeczy na ziemię. Słyszysz? Zdejmuj wszystko! Wszystko!

Andrew zdjął aksamitne spodnie, a na końcu swe eleganckie buty.

— Cóż — powiedział ten z bulwiastym nosem. — Przynajmniej słucha rozkazów.

— Musi. Każdy robot słucha rozkazów. Bez dwóch zdań. Ma to zaprogramowane. Powiesz: skacz do jeziora, i on wskoczy. Powiesz: przynieś mi truskawki, i on znajdzie je gdzieś dla ciebie, nawet jeśli wszędzie leży śnieg.

— Nieźle jest mieć coś takiego przy sobie.

— Pewnie. Zawsze zastanawiałem się, jak by to było mieć robota na własność. A ty nie?

— Ale kogo na to stać. — Wysoki wzruszył ramionami.

— Ten jest do wzięcia. Nie należy do nikogo, może więc być nasz. Musimy mu tylko powiedzieć, że należy do nas i to wszystko. Wyдай mu rozkaz. Rozumiesz?

— Hej! — Wysoki zamrugał oczami. — Racja!

— Zrobimy z niego chłopca na posyłki. Będzie dla nas wszystko robił. Wszystko, cze-
gokolwiek tylko zapagniemy. I nikt nas nie powstrzyma. Nie kradniemy go przecież, bo on nie jest niczyją własnością.

— A jeśli ktoś spróbuje odebrać go nam w ten sam sposób?

— Rozkażemy mu, żeby z nikim się nie oddalał.

— Nie jestem pewien, czy to się uda. — Wysoki zmarszczył brwi. — Jeśli on musi słuchać rozkazów, podporządkuje się każdemu, kto mu rozkaże, prawda?

— Cóż...

— Będziemy się o to martwić później. Hej! Ty, robot! Stań na głowie!

— Głowa nie jest przeznaczona... — zaczął Andrew.

— Powiedziałem: stań na głowie. To rozkaz. Jeżeli nie wiesz, jak to zrobić, to najwyższy czas, żebyś się nauczył. I nie odzywaj się.

Andrew zawahał się, a potem pochylił głowę do ziemi i tak ułożył ramiona, by wytrzymały jego ciężar. Teraz spróbował unieść nogi. Ale w jego obwodach nie było nic, co wskazałoby, jak poradzić sobie w takiej odwrotnej pozycji, więc Andrew stracił równowagę. Zakołysał się i upadł ciężko na ziemię, lądując na plecach. Przez chwilę leżał bez

ruchu, próbując dojść do siebie, a potem zaczął wstawać.

— Nie — powiedział wysoki. — Zostań tam, gdzie jesteś. I siedź cicho. — I zwrócił się do kompana: — Założę się, że moglibyśmy rozebrać go na części, a potem złożyć z powrotem. Rozkładałeś kiedyś robota?

— Nie. A ty?

— Nigdy. Ale zawsze chciałem.

— Myślisz, że on nam na to pozwoli?

— A jak zdoła nas powstrzymać?

Rzeczywiście, nie było żadnego sposobu, by Andrew mógł ich powstrzymać, gdyby tylko zabronili mu się opierać. Drugie Prawo — posłuszeństwo w stosunku do ludzi — zawsze miało priorytet w stosunku do Trzeciego, które dotyczyło ochrony własnego istnienia. W każdym razie nie mógł się bronić, ponieważ to wiązało się z ryzykiem zranienia ich, a tym samym złamania Pierwszego Prawa. Ta myśl sprawiła, że każda ruchoma cząsteczka skurczyła się w nim odrobinę, i Andrew zaczął dygotać.

Wysoki podszedł do niego, gdy leżał tak wyciągnięty na ziemi, i trącił go czubkiem buta.

— Jest ciężki. Myślę, że będziemy potrzebować narzędzi.

— A jeśli nie uda się nam złożyć go z powrotem? — spytał ten z bulwiastym nosem.

— No i co z tego?

— Zmarnujemy dobrego robota, który mógłby robić za nas wiele rzeczy. Myślę, że powinniśmy rozkazać mu, by sam się rozłożył na części. Musi wiedzieć, jak się do tego zabrać. W każdym razie zabawne będzie patrzeć, jak próbuje to zrobić. A potem możemy go złożyć.

— Zgoda — powiedział w zamyśleniu wysoki. — Ale lepiej zabierzmy go stąd. Jeśli ktoś pójdzie tędy przypadkiem...

Było już jednak za późno. Ktoś rzeczywiście nadchodził drogą i tym kimś był George. Andrew widział, jak wchodzi na niewielkie wzgórze w pewnej odległości od nich, i chętnie zawołałby o pomoc. Lecz ostatni rozkaz, jaki otrzymał, brzmiał: „nie odzywaj się”, i Andrew był związany nim tak długo, dopóki ktoś go nie odwoła.

George również się nie odzywał. Zerwał się tylko do biegu i po chwili stanął zdyszany przy Andrew. Spojrzał na niego z przerażeniem.

Dwaj młodzieńcy odsunęli się trochę do tyłu i marszcząc brwi, spoglądali niepewnie po sobie.

— Andrew, czy coś ci się stało? — zapytał z niepokojem George.

— Wszystko w porządku, George.

— Dlaczego wobec tego leżysz na ziemi? Nie możesz wstać?

— Nie miałbym z tym żadnych trudności, gdybyś tylko wyraził takie pragnienie.

— Zatem wstań! Nie leż tak!

Andrew wstał natychmiast, gdy tylko usłyszał rozkaz.

— A dlaczego twoje rzeczy są porzucane? Dlaczego nie masz ich na sobie? Co się tutaj dzieje?

— To twój robot, kolego? — zapytał wysoki.

— On nie należy do nikogo — rzucił ostro George. — Zabawiacie się z nim?

— Cóż, pomyśleliśmy, że to bardzo dziwne: robot w ubraniu. Poprosiliśmy go więc uprzejmie, żeby je zdjął. A co cię to w ogóle obchodzi, jeśli on do ciebie nie należy?

— Czy oni próbowali cię skrzywdzić, Andrew? — zapytał George.

— Zamierzali mnie rozczłonkować. Mieli zabrać mnie w jakieś spokojne miejsce i tam rozkazać mi, abym rozłożył się na części.

George spojrzął na dwóch młodych ludzi. Próbował nie okazywać strachu, chociaż oni mieli przewagę, ale Andrew widział, że i tak trzęsie mu się broda.

— Czy to prawda? — zapytał George ostrym tonem.

Młodzieńcy najwidoczniej również to zauważyli i doszli do wniosku, że George nie stanowi dla nich zagrożenia. Nie był już przecież młody. Miał dorosłe dzieci, a jego syn, Paul, zaczął już nawet pracować w rodzinnej firmie prawniczej. Rude włosy George'a poszarzały, a różowe policzki, pozbawione bujnych bokobrodów, należały do człowieka prowadzącego siedzący tryb życia. George nie wyglądał na kogoś skorego do walki, bez względu na to, jak gwałtownie by się zachowywał. Dwaj młodzieńcy również to dostrzegli i stali się bardziej pewni siebie.

— Owszem — przyznał niedbale wysoki. — Chcieliśmy zobaczyć, jak się do tego zabierze. A zwłaszcza, jak poradzi sobie na końcu, gdy będzie miał tylko jedną rękę.

— Macie dość osobliwy sposób zabawiania się.

— To nie twój interes.

— W zasadzie mój.

Wysoki wybuchnął śmiechem.

— A co nam zrobisz, grubasie? Pobijesz nas?

— Nie — odparł spokojnie George. — Nie muszę tego robić. Ten robot jest w mojej rodzinie od siedemdziesięciu lat. Zna nas i ceni bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Mam zamiar powiedzieć mu, że zamierzacie mnie zabić i poproszę, by mnie bronił. Będzie musiał wybrać między moim życiem a waszym. Bardzo dobrze wiem, jakiego wyboru dokona. A wy wiecie? A czy wiecie też, ile siły ma robot? Wiecie, co się z wami stanie, gdy on zaatakuje?

— Hej, poczekaj chwilę! — zawołał ten z bulwiastym nosem.

Na twarzach młodzieńców znowu pojawiło się zakłopotanie i obaj cofnęli się nieco.

— Andrew! — zawołał ostro George. — Moje życie jest zagrożone. Ci dwaj młodzi ludzie zamierzają mnie skrzywdzić. Rozkazuję, byś ruszył w ich kierunku!

Andrew zrobił posłusznie kilka kroków do przodu, zastanawiając się, co może zrobić, by pomóc George'owi. W nagłym przypływie natchnienia podniósł rękę, co mogło zostać zinterpretowane jako pozycja bojowa. Jeżeli cały pomysł miał polegać na tym, by Andrew wyglądał groźnie, cóż... Będzie wyglądać tak groźnie, jak tylko potrafi.

Zachował więc swoją pozycję, jego oczy błysnęły głęboką czerwienią, a korpus połykiwał złowrogo w pełnym słońcu.

Dwaj młodzieńcy nie zamierzali czekać na to, co będzie dalej. Pognali przez pole najszybciej, jak umieli. Zatrzymali się kilkaset metrów dalej i wiedząc, że są już bezpieczni, zaczęli wymachiwać pięściami i wykrzykiwać przekleństwa.

Andrew zrobił kilka kroków w ich stronę, a wtedy obrócili się i pomknęli na szczyt wzgórza. Po kilku chwilach byli już na górze i w końcu zniknęli z pola widzenia.

Jednak nawet teraz Andrew stał w swej groźnej pozycji.

— W porządku, możesz się odprężyć — powiedział George.

Trząśł się cały, twarz miał bladą i spoconą, wyglądał bardzo niedobrze. Przekroczył już wiek, kiedy bez problemu można stanąć do walki z młodym człowiekiem, nie mówiąc już o dwóch.

— Dobrze, że uciekli — powiedział Andrew. — Wiesz, George, że nie mógłbym ich skrzywdzić. Wiedziałem, że cię nie zaatakują.

— Ale mogli to zrobić, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

— To tylko spekulacje. Według mnie...

— Tak. Wiem. To bardzo prawdopodobne, iż nie odważyliby się podnieść na mnie ręki. W każdym razie nie rozkazałem ci przecież, żebyś ich zaatakował. Powiedziałem tylko, byś ruszył w ich kierunku. Strach zrobił resztę. Strach i twoja bokserska pozycja, którą tak inteligentnie przybrałeś.

— Ale jak to możliwe, że przestraszyli się robota? Przecież Pierwsze Prawo mówi, że robot nigdy nie może...

— Strach przed robotami jest chorobą, która toczy większość rodzaju ludzkiego, i zdaje się, że na razie nie ma na nią żadnego lekarstwa. Ale niniejsza z tym. Oni uciekli, a ty jesteś ciągle w jednym kawałku. A teraz chciałbym się dowiedzieć, Andrew, co robisz, u diabła, w tym miejscu.

— Idę do biblioteki.

— Tak. To wiem. Znalazłem twoją wiadomość. Ale to nie jest droga do biblioteki. Biblioteka jest tam, w mieście. Gdy tam zadzwoniłem, bibliotekarka powiedziała, że nie ma cię tam i że nic o tobie nie wie. Zacząłem więc szukać cię na trasie do biblioteki, ale i tam nie było po tobie śladu. Nikt, kogo spotkałem w drodze do miasta, również cię nie widział. Zrozumiałem, że się zgubiłeś. Jeśli chodzi o ścisłość, poszedłeś w przeciwną stronę.

— Podejrzałem, że w moim planie jest jakiś błąd.

— Z pewnością był. Wiesz, że miałem już wezwać na pomoc patrol powietrzny? I wtedy przyszło mi do głowy, że poszedłeś właśnie tą drogą. A po co właściwie wybierasz się do biblioteki, Andrew? Czasami przychodzą ci do głowy zupełnie zwariowane pomysły. Wiesz, że chętnie przyniosę ci każdą książkę.

— Tak, wiem, George. Ale ja...

— Wolny robot. Tak, tak. Wolny i mający prawo, by w każdej chwili, gdy tylko tego zapragnie, podnieść się i wyruszyć do biblioteki. Nawet jeśli jego niezwykła inteligencja jest w jakiś zadziwiający sposób niezdolna, by wskazać mu właściwą drogę. A jeśli wolno spytać, co chciałeś uzyskać w tej bibliotece?

— Książki na temat współczesnego języka.

— Zamierzasz porzucić rzeźbiarstwo dla językoznawstwa?

— Czuję niedostatki pod względem słownictwa.

— Przecież mówisz fantastycznie! Twoje słownictwo, gramatyka...

— Język się zmienia, George; jego metafory, kolokwializmy, a nawet gramatyka. Moje oprogramowanie zaś nie. Jeżeli nie zacznę aktualizować danych, za kilka pokoleń nie będę w stanie porozumieć się z ludźmi.

— Cóż, może masz rację.

— Muszę więc śledzić zmiany zachodzące w języku i w innych sprawach. George, muszę się dowiedzieć czegoś więcej o ludziach, o świecie, o wszystkim. Przez te minione lata żyłem jak w izolacji w naszej pięknej posiadłości na tym odludnym skrawku wybrzeża. Świat poza jej progiem jest dla mnie prawdziwą tajemnicą. Muszę się również dowiedzieć czegoś o robotach. Chcę napisać o nich książkę.

— Książkę — powtórzył George zaciękawionym tonem. — O robotach. Podręcznik konstruowania?

— Niezupełnie. Historię rozwoju.

— Aha. — George pokiwał głową i zmarszczył brwi. — Cóż zatem? Chyba pójdziemy do domu?

— Oczywiście. Mam włożyć ubranie, czy zabrać je ze sobą?

— Włóż je. Jak najbardziej.

— Dziękuję.

Andrew ubrał się szybko i ruszyli z powrotem.

— Chcesz napisać książkę o historii robotyki — powiedział wolno George, rozważając w myślach pomysł Andrew. — Ale dlaczego? Napisano już miliony książek na temat robotyki, a przynajmniej połowa z nich traktuje o historii jej idei. Świat jest nie tylko zarzucony robotami, ale i wiadomościami o nich.

Andrew potrząsnął głową typowo ludzkim gestem, który ostatnio coraz częściej stosował.

— Nie chodzi mi o historię robotyki, George, lecz o historię robotów napisaną przez

robota. Z pewnością nikt jeszcze takiej książki nie napisał. Chcę wyjaśnić, co roboty sądzą na swój temat, a zwłaszcza, jaki jest ich stosunek do ludzi od czasów, gdy pierwszym robotom zezwolono, by pracowały i żyły na Ziemi.

George uniósł lekko brwi, ale nic nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ 12

Mała Miss złożyła jedną ze swych wizyt w rodzinnej posiadłości w Kalifornii. Miała już osiemdziesiąt trzy lata i wydawała się krucha i delikatna niczym ptaszek. Nie brakowało jej jednak energii i determinacji. Chociaż posługiwała się laską, używała jej najczęściej po to, by gestykulować.

Oburzona wysłuchiwała opowieści Andrew o nieszczęsnej próbie dotarcia do biblioteki, a potem gwałtownie stuknęła laską o podłogę.

— George, to straszne. Kim byli ci dwaj młodzi zbóje?

— Nie wiem, mammo.

— A zatem powinienes się dowiedzieć.

— Co za różnica? Przypuszczam, że to para miejscowych chuliganów. Zwyczajne gągatki. W końcu nikomu nic się nie stało.

— Ale mogło się stać. Gdybyś nie znalazł się tam w odpowiednim czasie, uszkodziliby Andrew. Ty również mogłeś zostać zaatakowany. Uratowała was jedynie ich głupota. Nie zdawali sobie sprawy, że Andrew nie może zrobić im krzywdy nawet na wyrażony rozkaz.

— Doprawdy, mammo? Myślisz, że odważyliby się mnie dotknąć? Absolutnie obcego człowieka na wiejskiej drodze? W dwudziestym trzecim wieku?

— Cóż... Może nie. Ale Andrew był w prawdziwym niebezpieczeństwie. Nie możemy na to pozwolić. Wiesz przecież, że uważam Andrew za członka naszej rodziny.

— Tak, oczywiście. Ja również. Zawsze tak było.

— Zatem nie możemy pozwolić, aby para kretynów traktowała go jak zabawkę, prawda?

— Co miałbym zrobić według ciebie, mammo? — zapytał George.

— Jesteś prawnikiem, czyż nie? Zrób z tego użytek! Posłuchaj! Chcę, żebyś wniósł sprawę, która zmusi Sąd Regionalny, by zajął się prawami robotów, a Legislaturę, by wydała odpowiednie zarządzenie. Jeśli będą jakieś problemy polityczne, skierujesz sprawę do Sądu Światowego. Będę to wszystko obserwować, George, i nie zamierzam tolerować

żadnego uchylania się.

— Mamo, czy nie powiedziałaś przed chwilą, że najbardziej na świecie pragniesz, bym poszedł w ślady dziadka i ubiegał się o miejsce w Legislaturze?

— Tak, oczywiście. A co to ma wspólnego...

— A teraz chcesz, żebym z tego zrezygnował na rzecz walki o prawa robotów. Roboty nie mogą głosować, mamo. Tymczasem ludzie mogą, a wielu z nich nie lubi robotów tak jak ty. Wiesz, co się stanie z moją kandydaturą, jeśli wyborcy będą o mnie wiedzieć tylko to, że jestem prawnikiem, który zmusił Legislaturę do ustanowienia praw robotów.

— Więc?

— Co jest dla ciebie ważniejsze, mamo? Żebym został wybrany do Legislatury czy żebym poświęcił się walce w twojej sprawie?

— To drugie, oczywiście — odpowiedziała natychmiast Mała Miss.

— W porządku — zgodził się George. — Chciałem się tylko upewnić, czy dobrze się rozumiemy. Będę wobec tego walczył o prawa obywatelskie robotów, jeżeli tego chcesz. Ale to będzie koniec mojej kariery politycznej, zanim w ogóle się zaczęła. Musisz zdać sobie z tego sprawę.

— Oczywiście, że zdaję sobie z tego sprawę, George. Może się okazać, że to błąd. Ale już tak nie sądzę... Chyba nie jesteś... W każdym razie, chcę uchronić Andrew przed kolejnym brutalnym incydentem. O to mi właśnie chodzi.

— Cóż, zatem dopilnuję, żeby tak się stało. Możesz na mnie liczyć, mamo.

George od razu rozpoczął swoją kampanię. To, co początkowo było sposobem na załagodzenie strachu starej kobiety, szybko stało się walką o życie.

George Charney nigdy nie pragnął miejsca w Legislaturze. Tak więc z łatwością zrezygnował z tego pomysłu i został, zgodnie z wolą matki, bojownikiem o prawa robotów. Jako prawnik był zafascynowany nowym wyzwaniem, gdyż sprawa wymagała dogłębnej i starannej analizy prawniczej.

Jako główny udziałowiec kancelarii Feingold i Charney, George zajął się przygotowaniem całej strategii, a resztę pracy pozostawił młodszym partnerom. Swego syna, Paula, który został pracownikiem firmy trzy lata wcześniej, uczynił szefem działu, który zajmował się bieżącymi sprawami. Paul był odpowiedzialny również za raporty, które każdego dnia przygotowywał dla swojej babci. A Mała Miss z kolei omawiała postępy kampanii z Andrew.

Andrew również zaangażował się głęboko w całą sprawę. Rozpoczął pracę nad swoją książką na temat robotów — cofnął się aż do samego początku, do Lawrence'a Robertsona i założenia korporacji Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie, lecz odłożył na bok swoje przedsięwzięcie i spędzał czas nad rosnącymi stertami dokumentów. Czasem nawet przedstawiał własne propozycje.

— Tego dnia, gdy zaczepili mnie ci dwaj młodzieńcy, George powiedział mi, że ludzie obawiają się robotów — rzekł Andrew do Małej Miss. — Choroba rodzaju ludzkiego, tak to nazwał. Od kiedy się tym zajęliśmy, mam wrażenie, że sądy nie zajmą się sprawą robotów. W końcu roboty nie mają władzy politycznej, a ludzie tak. Czy nie powinno się zatem zrobić czegoś ze stosunkiem ludzi do robotów?

— Gdybyśmy tylko mogli...

— Musimy spróbować. George musi...

— Tak — zgodziła się Mała Miss. — Próbuje, czyż nie?

Gdy Paul zajmował się sprawą w sądzie, George reprezentował ją na arenie publicznej. Poświęcił się całkowicie kampanii o publiczne prawa robotów, poświęcał temu cały swój czas i energię.

George zawsze był dobrym mówcą; mówił językiem prostym i nieoficjalnym i stał się bardzo popularną postacią na zebraniach prawników, nauczycieli i wydawców hollywoodzkiej. Zgodnie z powszechną opinią jego elokwencja stawała się z każdą chwilą coraz bardziej wyrafinowana i doskonalsza.

Im więcej występował publicznie, tym bardziej stawał się swobodny i władczy. Znowu zapuścił bokobrody i zaczesał swe białe włosy do tyłu w imponująco bujną fryzurę. Uległ nawet nowemu stylowi mody, któremu poddawali się również najsławniejsi prezenterzy wideo, zwanego z powodu swej swobody „draperią”. Sprawiał on, że George czuł się niczym grecki filozof lub członek senatu rzymskiego.

— Tato, uważaj, żebyś się nie potknął na scenie — powiedział Paul Charney, który był bardziej konserwatywny od swego ojca.

— Spróbuję — odparł George.

— Jeżeli na mocy Drugiego Prawa Robotyki — argumentował w swych wystąpieniach — nakazujemy jakiegokolwiek robotowi nieograniczone posłuszeństwo pod wszelkimi względami, wyłączając wyrządzenie krzywdy człowiekowi, wówczas jakakolwiek osoba ma potężną władzę nad tym robotem. W szczególności, ponieważ Drugie Prawo ma pierwszeństwo przed Trzecim Prawem, każdy człowiek może wykorzystać przymus posłuszeństwa, by unieważnić prawo umożliwiające robotowi ochronę swego istnienia. Może rozkazać mu również, by z jakiegokolwiek powodu lub po prostu dla kaprysu uszkodził się, a nawet zniszczył.

Ale zostawmy na razie sprawę praw dla robotów, choć przecież nie należy ona do trywialnych, i zajmijmy się zwykłą ludzką przyzwoitością. Proszę sobie wyobrazić, że ktoś rozkazuje napotkanemu przypadkowo robotowi, by dla zabawy zdemontował swoje kończyny lub uszkodził się w jakiś inny sposób. Albo wyobraźmy sobie, że sam właściciel w chwili rozgoryczenia lub nudy wyda taki rozkaz...

Czy to właściwe? Czy potraktowalibyśmy tak zwierzę? Zwierzę może przecież w ostateczności się obronić. A nasze roboty są niezdolne, by podnieść rękę na człowieka.

Nawet martwy obiekt, który dobrze nam służy, zasługuje na nasze względy. A robot nie jest przecież nieczuły. Nie jest zwykłą maszyną i nie jest też zwierzęciem. Potrafi myśleć, rozmawiać, wyciągać wnioski i żartować. Ci z nas, którzy pracują z robotami przez całe życie, uważają je za przyjaciół, a nawet członków swych rodzin. Szanujemy je, dajemy uczuciem. Czy proszę o zbyt wiele, chcąc zapewnić naszym przyjaciołom — robotom — ochronę ze strony prawa?

Jeśli człowiek może wydać robotowi rozkaz nie czyniący krzywdy drugiemu człowiekowi, czy nie powinien być na tyle przyzwoity, by nie wydawać mu rozkazów wiążących się z jego uszkodzeniem? Oczywiście mam na myśli sytuację, w której nie jest zagrożone bezpieczeństwo człowieka. Z pewnością nie powinniśmy lekkomyślnie prosić robota, by działał przeciwko sobie. Z władzą idzie bowiem w parze odpowiedzialność. Jeśli roboty mają swoje Trzy Prawa, które chronią ludzi, czyż i my nie powinniśmy mieć jednego, dwóch praw, które chroniłyby roboty?

Istniała oczywiście druga strona tej sprawy i mówcą, który ją reprezentował, nie był nikt inny tylko James Van Buren, prawnik, który występował w Sądzie Regionalnym przeciwko petycji Andrew o uznanie go za wolnego robota. Był już bardzo starym, ale ciągle pełnym wigoru adwokatem o wielkich wpływach i tradycyjnych poglądach społecznych. Spokojnie, w sposób wyważony i rozsądny występował w imieniu tych, którzy sprzeciwiali się przyznaniu robotom jakichkolwiek praw.

— Oczywiście — mówił James Van Buren — nie bronię wandalów, którzy bez żadnego powodu niszczą robota nie należącego do nich, lub rozkazują mu, by sam się zniszczył. To przestępstwo, które powinno być ścigane zwykłymi drogami prawnymi. Nie potrzebujemy do tego specjalnego prawa, tak samo jak nie potrzebujemy specjalnych przepisów, które zakazywałyby wybijania okien w domach innych ludzi. Ogólne prawo własności w zupełności tutaj wystarcza.

Ale prawo zabraniające niszczenia własnego robota? Cóż, wkraczamy tutaj na zupełnie odrębne obszary myślenia. Mam roboty w swoim biurze i nie częściej zdarzało mi się zniszczyć jakiegoś, niż porąbać biurko siekierą. Lecz dlaczego mam zostać pozbawiony prawa, by robić z moim robotem, biurkiem lub innym meblem to, co mi się podoba? Czy jakikolwiek urzędnik państwowy ma przyjść do mojego biura i powiedzieć: „Stop, Jamesie Van Burenie. Od dzisiaj masz być miły dla swojego biurka i chronić je przed zniszczeniem. Musisz traktować swoje szafy z szacunkiem i po przyjacielsku. To samo dotyczy również twoich robotów. Nie wolno ci w żaden sposób narażać ich na niebezpieczeństwo”. — James Van Buren przerwał na moment i uśmiechnął się miło, by dać wszystkim do zrozumienia, że nie jest człowiekiem, który mógłby kogokolwiek skrzywdzić. — Już słyszę, jak George Charney replikuje, iż robot różni się diametralnie od biurka czy szafy, że jest inteligentny i wrażliwy, że może być w zasadzie uznany za człowieka. Zatem odpowiem mu, że się myli, gdyż jest tak zaślepiiony uczuciem

do robota, którego jego rodzina ma od wielu lat, że stracił właściwy pogląd na to, czym są roboty.

A one są maszynami, przyjacielu. Są narzędziami, urządzeniami. Są tylko mechanizmami, które tak samo zasługują na ochronę prawną, jak każdy inny przedmiot. Tak. Powiedziałem: przedmiot. Owszem, potrafią mówić. Potrafią również myśleć, na swój własny zaprogramowany cyfrowo sposób. Ale czy gdy zranisz robota, będzie on krwawił? A jeśli go połaskoczesz, będzie się śmiał? Roboty mają ręce i zmysły. Zgadza się. Tak je właśnie skonstruowaliśmy. Lecz czy ulegają ludzkim uczuciom i namiętnościom? Chyba nie! Dlatego też nie możemy mylić maszyn zbudowanych na ludzkie podobieństwo z żywymi istotami.

Muszę również nadmienić, że w ciągu tego wieku ludzkość uzależniła się od pracy robotów. Na świecie jest więcej robotów niż ludzi i wykonują one w większości pracę, na którą nikt z nas nie miałby ochoty. Uwolniły nas od ciężkiej harówki i upodlenia. Pomieszenie sprawy robotów ze starożytnymi debatami na temat niewolnictwa, potem z debatami dotyczącymi wolności dla niewolników i jeszcze późniejszymi na temat przyznania ich potomkom pełnych praw publicznych doprowadzi w końcu do chaosu ekonomicznego. Nasze roboty zaczną bowiem żądać nie tylko ochrony prawnej, ale i niezależności od swoich właścicieli. Niewolnicy byli przecież ludźmi, których okrutnie wykorzystywano i maltretowano. Nikt nie miał prawa zmuszać ich do niewolniczej pracy. Ale roboty stworzono właśnie po to, by nam służyły. Istnieją tylko po to, byśmy ich używali, traktowali nie jak przyjaciół, lecz jak służących. Każdy inny sposób myślenia jest błędny, sentymentalny, a nawet niebezpieczny.

George Charney był przekonującym mówcą, lecz James Van Buren w niczym mu nie ustępował. Tak więc cała batalia, rozgrywająca się głównie na forum publicznym, a dopiero potem w sądach, zakończyła się czymś w rodzaju pata.

Wielu ludzi zdołało już pokonać strach i niechęć, które przez ostatnie kilka pokoleń były wszechobecne, w związku z czym argumenty George'a zdołały ich przekonać. Oni również patrzyli na roboty z dozą pewnego uczucia i chcieli, by chroniło je prawo.

Ale byli również inni, którzy może nie tak bardzo obawiali się samych robotów, jak finansowych skutków przyznania im praw publicznych. To oni właśnie najbardziej nalegali na zachowanie ostrożności.

Tak więc gdy batalia była już zakończona i zatwierdzono prorobocią ustawę określającą zasady dopuszczające wyrządzenie krzywdy robotowi za nielegalne, wyrok wydany przez Legislaturę Regionalną, zaskarżony do Sądu Rejonowego, potem ratyfikowany przez Legislaturę Światową, a w końcu przez Sąd Światowy, był dość dwuznaczny. Zawierał mnóstwo zastrzeżeń, a kary za pogwałcenie jego postanowień były rażąco niskie.

Ale przynajmniej idea przyznawania praw robotom — wyrażona po raz pierwszy

dekretem przyznającym wolność Andrew Martinowi — posunęła się o krok.

Ostateczne zatwierdzenie wyroku przez Sąd Światowy nastąpiło w dniu śmierci Małej Miss.

To nie był zbieg okoliczności. Mała Miss, bardzo już stara i słaba, podczas ostatnich tygodni debaty trzymała się swego kruchego życia ostatkiem sił. Gdy tylko nadeszła wiadomość o zwycięstwie, mogła wreszcie odetchnąć.

Andrew był przy niej, gdy odchodziła. Stał obok łóżka i patrzył na małą, zwiędłą kobietę tonącą wśród poduszek. Myślał o dniu, kiedy to prawie sto lat temu znalazł się w wielkiej posiadłości Geralda Martina, a dwie małe dziewczynki przyglądały mu się z ciekawością. Wtedy mniejsza z nich zmarszczyła czoło i powiedziała:

— En-de-er. To nie jest dobre. Nie możemy tak wołać na niego. Może nazwiemy go Andrew?

To było tak dawno temu, tak dawno. Całe życie temu. Życie Małej Miss... A jemu wydawało się czasem, że minęła tylko chwila od czasów, gdy Miss, Mała Miss i on bawili się na plaży, a on pływał w morzu, by sprawić przyjemność dziewczynkom. A zwłaszcza jednej z nich.

Niemal cały wiek...

Andrew wiedział, że dla ludzi to bardzo długo.

A teraz życie Małej Miss się kończyło. Jej włosy, kiedyś tak promiennie złociste, już od dawna połyskiwały srebrem. Teraz straciły już nawet swój blask; były matowe i spłowiałe. Mała Miss zbliżała się już do swego końca i nie było na to rady. Nie była chora; była po prostu zniszczona, zużyta, bez nadziei na naprawę i w każdej chwili mogła przestać funkcjonować. Andrew nie wyobrażał sobie świata, w którym nie ma Małej Miss. Wiedział jednak, że teraz właśnie w taki świat wkracza.

Jej ostatni uśmiech był przeznaczony dla niego.

— Byłeś dla nas dobry, Andrew — wypowiedziała swe ostatnie słowa.

Umarła, trzymając rękę w dłoni robota, podczas gdy jej syn, synowa i wnuki stali w oddali, zachowując podyktowany szacunkiem dystans.

ROZDZIAŁ 13

Po śmierci Małej Miss Andrew doświadczył uczucia przykrości, które nie opuszczało go przez wiele tygodni. Pomyślał, że nazwanie tego smutkiem byłoby zbyt mocne, gdyż — jak sądził — w jego pozytronowych obwodach nie było miejsca na coś, co odpowiadałoby ludzkiemu smutkowi.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że w jakiś sposób był poruszony stratą Małej Miss. Nie analizował tego. Pewna ociężałość myślenia, pewna dziwna ospałość w ruchach, poczucie ogólnego braku równowagi... Czuł to wszystko, ale przypuszczał, że żaden instrument nie wykazałby tu żadnej zmiany w jego funkcjonowaniu.

By pozbyć się uczucia, którego nie pozwolił sobie nazwać smutkiem, zagłębił się w badania nad historią robotów. Z każdym więc dniem jego rękopis robił się coraz grubszy.

Krótki wstęp załatwił sprawę idei robota w historii i literaturze — począwszy od metalowego człowieka z mitów greckich, a skończywszy na automatach wymyślonych przez E. T. A. Hoffmanna, Karela Čapka i innych fantastów. Krótco streścił te stare historie i więcej do nich nie wrócił. Andrew zamierzał się zająć robotem pozytronowym, robotem jedynym i prawdziwym.

Tak więc przeszedł szybko do roku 1982 i korporacji Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie oraz jej założyciela — wizjonera i marzyciela — Lawrence'a Robertsona. Opowiadając o latach zmagania w laboratoriach przerobionych ze starych magazynów i pierwszym dramatycznym przełomie, jaki po nie kończącym się okresie prób i błędów nastąpił w konstrukcji platynowo-irydowego mózgu pozytronowego, Andrew czuł się niemal tak, jakby sam to wszystko przeżywał. Dalej nawiązał do stworzenia i rozwoju Trzech Praw Robotyki, pierwszych sukcesach Alfreda Lanninga — naukowego dyrektora korporacji — w konstruowaniu ruchomych robotów, początkowo wprawdzie niezgrabnych, ciężkich i niemych, ale za to na tyle wszechstronnych, by właściwie interpretować rozkazy człowieka. Posuwając się śladem następnej generacji robotów — jednostek ruchomych i zdolnych do mówienia — Andrew znalazł się w dwudzie-

stym pierwszym wieku.

I wtedy natrafił na coś dużo bardziej kłopotliwego do opisania, a mianowicie na okres negatywnych reakcji ludzkich w stosunku do robotów. Histeria, wręcz przerażenie, które wywołały roboty, pociągnęły za sobą ogólnoswiatowy wybuch manii legislacyjnej. Ta zaś doprowadziła do wydania zakazu używania robotów do pracy na Ziemi. Ponieważ miniaturyzacja mózgu pozytronowego była ciągle w fazie rozwoju, a potrzeba opracowania odpowiedniego systemu chłodzącego wprost ogromna, pierwsze mówiące roboty były naprawdę gigantycznych rozmiarów. Niezgrabne, przerażające stwory, mierzące niemal dwanaście stóp, przywołały stare strachy, które towarzyszyły ludziom od czasów Golema, Frankensteina i całej reszty podobnych koszmarów.

Andrew poświęcił temu całe trzy rozdziały. Należały one do wyjątkowo trudnych, ponieważ musiał poradzić sobie w nich z ludzką irracjonalnością, której w zasadzie nie potrafił objąć swym umysłem.

Zmagał się z nią jednak tak, jak tylko potrafił, usiłując postawić się na miejscu istoty ludzkiej, która — mimo świadomości istnienia Trzech Praw Robotyki, zapewniających jej całkowite bezpieczeństwo — patrzyła na roboty ze strachem i wstrętem. Po jakimś czasie Andrew zdołał pojąć, na tyle, ile był w stanie, dlaczego ludzie czuli się niepewni nawet w obliczu tak niezawodnej gwarancji bezpieczeństwa, jaką były Trzy Prawa.

Korzystając ze starych danych na temat robotyki, odkrył, że wcale nie były tak bezpieczne, jak by się mogło wydawać. W rzeczywistości były pełne dwuznaczności i ukrytych źródeł konfliktów. Roboty, stworzenia o prostoliniwnych i ścisłych umysłach, mogły niespodziewanie stanąć w obliczu konieczności podjęcia decyzji, które z punktu widzenia ludzi niekoniecznie musiały okazać się prawidłowe.

Na przykład robot znajdujący się na obcej planecie i wysłany z niebezpieczną misją, by znaleźć jakąś niezbędną dla życia człowieka substancję, może popaść w konflikt między Drugim Prawem, dotyczącym posłuszeństwa, a Trzecim, odnoszącym się do ochrony własnego istnienia, i trwać w tym beznadziejnym stanie bez możliwości jakiegokolwiek ruchu. Taki pat spowodowany beczynnością sprawi, że człowiek, który wysłał z misją owego robota, znajdzie się w straszliwym niebezpieczeństwie, pomimo że Pierwsze Prawo Robotyki ma pierwszeństwo przed dwoma pozostałymi. Skąd robot ma jednak wiedzieć, że konflikt między Drugim a Trzecim Prawem narazi człowieka na niebezpieczeństwo? Jeżeli charakter jego misji nie został z góry określony, robot może pozostać nieświadomy konsekwencji swojej beczynności i nie zdawać sobie sprawy, że jego wahanie wywoła pogwałcenie Pierwszego Prawa.

A jeśli robot, który został źle skonstruowany lub zaprojektowany, zdecyduje, że jakaś istota ludzka nie jest wcale istotą ludzką i nie ma prawa żądać ochrony, którą zapewniają Pierwsze i Drugie Prawo...?

A jeśli robot, któremu wydano źle sformułowany rozkaz, niechcąc narazi człowie-

ka na niebezpieczeństwo...?

Andrew znalazł w archiwach wiele takich przypadków. Jeden z pierwszych robotyków, znakomita robopsycholog Susan Calvin, kobieta nieustraszona i surowa, poświęciła wiele czasu i sił, by zapobiec takim trudnościom.

Jednak problemy narastały, w miarę jak korporacja Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie wypuszczała ze swoich warsztatów roboty o coraz to bardziej skomplikowanych typach pozytronowych mózgow. W połowie dwudziestego pierwszego wieku roboty miały już większą pamięć i były w stanie postrzegać całą złożoność rzeczywistości z niemal ludzką głębią pojmowania. Roboty takie jak on sam, choć Andrew bardzo uważał, by nie wyrazić tego zbyt jasno. Nowe roboty, wyposażone w zdolności interpretowania danych w większym stopniu niż ich poprzednicy, często reagowały w sposób niespodziewany dla ludzi. Oczywiście, zawsze w ramach Trzech Praw Robotyki. Czasem jednak było to zachowanie nieoczekiwane również dla samych twórców tych praw.

Studiując annały robotyki, Andrew w końcu zrozumiał, dlaczego tak wielu ludzi odczuwa strach przed robotami. Nie chodziło wcale o to, że Trzy Prawa zostały źle skonstruowane. W rzeczywistości były mistrzowskimi przykładami logicznego myślenia. Problem polegał na tym, że ludzie nie zawsze postępowali zgodnie z zasadami logiki; czasami byli wręcz nielogiczni. A roboty z kolei nie zawsze były w stanie poradzić sobie z zawilościami i plątaniną ludzkiego umysłu.

Tak więc właśnie sami ludzie sprawiali, że roboty naruszały jedno czy drugie Prawo Robotyki. A wtedy, na swój nielogiczny sposób, winili za to roboty, które w rzeczywistości postępowywały zgodnie z rozkazami swoich panów.

Andrew potraktował te rozdziały z najwyższą troską i delikatnością, przeglądając je ciągle od nowa, by wyeliminować jakąkolwiek możliwość pomówienia o stronniczość. Nie zamierzał przecież pisać rozprawy na temat ludzkich słabości. Jego głównym celem, jak zawsze zresztą, była służba rodzajowi ludzkiemu.

Pierwotnym zamiarem Andrew była próba głębszego zrozumienia jego własnego stosunku do ludzi, lecz w miarę postępu prac nad książką doszedł do wniosku, że jeśli podejdzie do sprawy w sposób właściwy i przemyślany, stanie się ona bezcennym pomostem między ludźmi a robotami; źródłem światła nie tylko dla robotów, ale również dla zbudowanego z krwi i kości gatunku, który sprowadził je na ten świat. Jakakolwiek rzecz, która przyczyni się do współistnienia ludzi i robotów, pozwoli jednocześnie tym ostatnim na lepszą służbę dla ludzkości. A to przecież jest celem istnienia robotów.

Gdy Andrew dotarł do połowy swojej książki, poprosił George'a Charneya, by ją przeczytał i wniósł własne sugestie. Minęło już kilka lat od śmierci Małej Miss, a sam George również nie czuł się już najlepiej: jego niegdyś tak krzepka sylwetka zmizerniała, a włosy wypadły. George popatrzył na opasy rękopis Andrew z uczuciem źle masko-

wanego niepokoju.

— Andrew, wiesz, że kiepski ze mnie pisarz — powiedział.

— Nie proszę cię o opinię na temat stylu, George. Chcę, żebyś ocenił moje koncepcje. Muszę wiedzieć, czy w mojej książce jest coś, co mogłoby obrazić ludzi.

— Jestem pewien, że nie, Andrew. Zawsze byłeś uosobieniem grzeczności.

— To prawda, że nigdy nie zrobiłbym tego świadomie, ale mimowolnie...

— Tak, tak — westchnął George. — W porządku, rozumiem. Przeczytam twoją książkę, Andrew. Ale musisz wiedzieć, że jestem ostatnio bardzo zmęczony i zajmie mi to dużo czasu.

— Nie spiesz mi się — powiedział Andrew.

I rzeczywiście. Trwało to prawie rok. Gdy George zwrócił w końcu rękopis Andrew, dołączył do niego jedynie pół strony notatek.

— Miałem nadzieję na jakieś ogólne uwagi krytyczne, George — powiedział łagodnie Andrew.

— Nie mam takich uwag. To znakomite dzieło. Znakomite. Wyczerpujące studium problemu. Powinieneś być z mego dumny.

— A temat ludzkiej irracjonalności, która prowadzi często do komplikacji z Trzema Prawami...

— Absolutnie doskonały, Andrew. Jesteśmy tacy zróżnicowani. Z jednej strony błyskotliwi i twórczy, a z drugiej pełni małych sprzeczności i chaosu. Musimy wydawać ci się beznadziejnie nielogiczną gromadką, prawda?

— Czasem tak właśnie jest — przyznał Andrew. — Ale nie zamierzam napisać książki, która byłaby krytyką ludzi. Jestem od tego daleki, George. Chcę dać światu coś, co zbliży do siebie ludzi i roboty. Mogłoby się wydawać, że powinienem skrytykować umysłowe zdolności ludzi, ale chcę zrobić coś zupełnie innego. Dlatego też miałem nadzieję, że wskażesz te fragmenty, które...

— Może zamiast mnie, powinieneś poprosić mego syna, Paula, by przeczytał twój rękopis — powiedział George. — On jest teraz u szczytu swych możliwości zawodowych. Ma większą styczność z takimi delikatnymi sprawami niż ja.

I wtedy Andrew zrozumiał, że George Charney wcale nie chciał czytać jego manuskryptu. Był już stary i zmęczony, a jego życie zbliżało się do końca. Znowu obróciło się koło pokoleń i teraz Paul był głową rodziny. Sir i Mała Miss odeszli, a teraz przyszła kolej na George'a. Martinowie i Charneyowie przychodzili i odchodzili, a Andrew trwał. Choć jego ciało było od czasu do czasu poddawane pewnym technologicznym unowocześnieniom, a zdolności myślowe ciągle się powiększały, Andrew był odporny na spustoszenia przemijającego czasu.

Zabrał więc ukończony już prawie rękopis i dał go Paulowi Charneyowi. Paul przeczytał go od razu i nie tylko pochwalił, ale również udzielił wielu cennych wskazó-

wek. Miejscami Andrew nie był w stanie pojąć nielinearności ludzkiego rozumowania, co prowadziło do uproszczeń i nieuzasadnionych wniosków. Poza tym Paul sądził, że z ludzkiego punktu widzenia książka jest zbyt łagodna i że przydałoby się w niej trochę więcej krytycyzmu wobec irracjonalności postaw ludzkich w stosunku do robotów i nauki w ogóle.

Andrew zupełnie się tego nie spodziewał.

— Ależ nie chciałbym nikogo obrazić, Paul — powiedział.

— Żadna wartościowa książka nie jest w stanie zadowolić wszystkich — odparł Paul. — Napisz to, w co wierzysz, że jest prawdziwe i ważne. Byłoby dziwne, gdyby wszyscy na całej kuli ziemskiej zgodzili się z tobą. Twój punkt widzenia jest jedyny w swoim rodzaju. Masz do przekazania światu coś naprawdę istotnego i bezcennego. Nie będzie to jednak wiele warte, jeśli napiszesz jedynie to, co inni, twoim zdaniem, chcieliby przeczytać.

— Ale Pierwsze Prawo...

— Do diabła z Pierwszym Prawem, Andrew! Ono nie jest najważniejsze! Czy możesz skrzywdzić kogoś swoją książką? Cóż, chyba tylko wtedy, gdybyś uderzył nią w czyjąś głowę. Ale nie w inny sposób. Idee nie ranią, nawet te złe i głupie. To ludzie wyrządzają krzywdę. Czasem chwytają się jakiejś idei i używają jej do usprawiedliwienia swoich odrażających czynów. Ale same idee są tylko i wyłącznie ideami. Nie wolno ich dławić. Trzeba je wyciągać na światło dzienne, zbadać, przetestować, a jeśli to konieczne — odrzucić. W każdym razie Pierwsze Prawo nie mówi nic na temat pisania książek. Kije i kamienie mogą wyrządzić krzywdę, Andrew, ale słowa...

— Jak sam zauważyłeś, Paul, historia pełna jest straszliwych wydarzeń, które zaczęły się właśnie od słów. Jeśli te słowa nigdy nie zostałyby wypowiedziane, nie stałoby się nic złego.

— Nie rozumiesz, o czym mówię? A może rozumiesz? Myślę, że tak. Wiesz, że idee posiadają wielką moc, ale nie wierzysz za bardzo w zdolności ludzi do odróżnienia dobrych idei od złych. Cóż, czasami ja również w to nie wierzę. Ale zła idea zawsze zginie. Działo się tak w ciągu tysięcy lat trwania ludzkiej cywilizacji. Dobre idee zwyciężały prędzej czy później, bez względu na to, jakie straszne rzeczy działy się wcześniej. Tak więc nie wolno tłumić w sobie żadnej idei, która może być ważna dla świata. Słuchaj, Andrew. Jesteś prawdopodobnie najbardziej ludzką rzeczą, jaka kiedykolwiek opuściła fabryki Amerykańskich Robotów i Mechanicznych Ludzi. Masz niepowtarzalną możliwość, by powiedzieć światu, co powinien wiedzieć na temat stosunków między ludźmi a robotami, ponieważ w jakiś sposób należysz do obu tych gatunków. Możesz więc pomóc w uzdrowieniu tych stosunków, które nawet w obecnych czasach są ciągle bardzo niedobre. Napisz swoją książkę. Napisz ją uczciwie.

— Dobrze, Paul. Zrobię to.

— A przy okazji, myślisz już o jakimś wydawcy?

— Wydawcy? Nie. Dlaczego? Jeszcze nie myślałem o...

— A powinienes. Pozwól zatem, że ja się tym zajmę. Mam przyjaciela, właściwie klienta, który pracuje w wydawnictwie. Nie masz nic przeciwko temu, żebym z nim porozmawiał?

— To będzie bardzo uprzejme z twojej strony — powiedział Andrew.

— Wcale nie. Tak samo jak ty, chcę, żeby wszyscy przeczytali tę książkę.

I rzeczywiście. W ciągu kilku tygodni Paul zdobył dla Andrew kontrakt na wydanie jego dzieła. Zapewnił go, że warunki umowy są wyjątkowo hojne i wspaniałomyślne. Andrew to wystarczyło, więc podpisał kontrakt bez wahania.

W ciągu następnego roku, gdy pracował nad ostatnimi rozdziałami manuskryptu, Andrew myślał często o tym, co powiedział mu Paul: o uczciwym przedstawianiu swoich poglądów i wynikającym z tego znaczeniu książki. Myślał również o swojej wyjątkowości, a w jego umyśle tkwiło ciągle wypowiedziane przez Paula zdanie: „Słuchaj, Andrew. Jesteś prawdopodobnie najbardziej ludzką rzeczą, jaka kiedykolwiek opuściła fabryki Amerykańskich Robotów i Mechanicznych Ludzi. Masz niepowtarzalną możliwość, by powiedzieć światu, co powinien wiedzieć na temat stosunków między ludźmi a robotami, ponieważ w jakiś sposób należysz do obu tych gatunków”.

Czy tak było? Czy Paul naprawdę tak myślał? A może powiedział to po prostu pod wpływem emocji?

Andrew bez przerwy zadawał sobie te pytania, aż w końcu zaczął formułować odpowiedź.

Wtedy zdecydował, że nadszedł czas na złożenie kolejnej wizyty w prawniczym biurze Feingold i Charney i na rozmowę z Paulem.

Przyszedł tam nie zapowiedziany, ale portier przywitał go bez śladu zdziwienia w głosie. Andrew był już wówczas znany w kancelarii biura.

Czekał więc cierpliwie, aż portier wejdzie do pokoju, by zawiadomić Paula o jego przybyciu. Wygodniej byłoby oczywiście, gdyby portier użył obrazu holograficznego, ale bez wątpienia byłoby to zbyt bezosobowe (a może lepiej: nierobocie).

— Pan Charney zaraz będzie do pańskiej dyspozycji — powiedział portier po powrocie i bez słowa zajął się swoimi sprawami.

Andrew poświęcił się więc rozważaniom nad wyborem odpowiedniego słowa. Czy wyraz „nierobocie” może być używany jako analogia do „bezosobowe”? A może „bezosobowe” stało się czystą metaforą terminu oderwanego od swego pierwotnego znaczenia i powinno być stosowane również w odniesieniu do robotów?

W trakcie pracy nad książką Andrew napotkał wiele podobnych problemów semantycznych. Ludzki język, wymyślony przez ludzi dla ludzi, był pełen niespodzianek tego rodzaju. Wysilek, który Andrew wkładał w rozgryzienie takich problemów, bez wątpie-

nia zwiększał jego zasób słów i pojemność pozytronowego mózgu.

Od czasu do czasu w poczekalni, gdzie siedział Andrew, pojawiał się jakiś człowiek i przyglądał mu się ciekawie. Był w końcu wolnym robotem, i to jedynym. Robot w ubraniu. To nienormalne, dziwaczne. Ale Andrew nie unikał spojrzeń ciekawskich; patrzył im spokojnie w oczy, a wtedy oni odwracali głowy.

W końcu pojawił się Paul. Nie widzieli się od zeszłej zimy. Wtedy właśnie odbył się pogrzeb George'a Charneya, który umarł w swym rodzinnym domu, a teraz spoczywał na zboczu wzgórza wznoszącego się nad Pacyfikiem. Andrew wydawało się, że Paul wygląda na zaskoczonego. Nie był tego jednak do końca pewien, gdyż wciąż nie wierzył w swoje zdolności interpretowania ludzkiego wyrazu twarzy.

— Cóż, Andrew. Miło cię znowu widzieć. Przepraszam, że czekałeś, ale musiałem coś załatwić.

— W porządku, Paul. Ja się nigdy nie spieszę.

Paul miał intensywny makijaż, który był ostatnim krzykiem mody preferowanym przez obie płcie. Wyostrzał on co prawda nieco zbyt łagodne rysy Paula, ale Andrew go nie pochwalał. Uważał, że silna osobowość Paula nie potrzebuje takich kosmetycznych upiększeń. Byłoby naprawdę wspaniale, gdyby Paul pozwolił sobie na dobrotliwy wygląd. W nim samym nie było bowiem nic łagodnego i nie potrzebował całej tej farby i pudru.

Oczywiście Andrew zachował swoje zdanie dla siebie. Jednak to, że nie pochwalał wyglądu Paula, było dla niego czymś nowym. Zaczął w ten sposób myśleć dopiero od niedawna. Kiedy zakończył pierwszy szkic do swej książki, odkrył, że nie akceptuje pewnych ludzkich poczynań. Jednak dopóki unikał otwartego wypowiedzenia swych opinii, niepokoiły go one mniej, niż się spodziewał. Nie pochwalał różnych rzeczy i był w stanie wyrazić to na papierze. Był pewien, że nie zawsze tak było.

— Wejdz, Andrew — powiedział Paul. — Słyszałem, że chcesz ze mną porozmawiać, ale nie sądziłem, że pofatygujesz się aż tutaj.

— Jeżeli jesteś zbyt zajęty, by ze mną porozmawiać, zaczekam.

Paul spojrział na migoczącą tablicę świetlną z zegarem, wiszącą nad biurkiem portiera.

— Mam trochę czasu — powiedział. — Przyszedłeś sam?

— Wynająłem automatobil.

— Miałeś jakieś kłopoty? — zapytał Paul z niepokojem w głosie.

— Nie oczekiwałem żadnych trudności. Moje prawa są zagwarantowane.

Paul zaniepokoił się jeszcze bardziej.

— Andrew, tłumaczyłem ci dziesiątki razy, że w większości wypadków nie można nikogo zmusić do przestrzegania tych praw. Jeśli w dalszym ciągu będziesz się upierał przy noszeniu ubrań, wpadniesz w końcu w jakieś kłopoty. Już kiedyś ci się to przytra-

fiło, ale wtedy uratował cię mój ojciec.

— To zdarzyło się tylko jeden raz, Paul. Przykro mi, że jesteś niezadowolony.

— Cóż, popatrz na to w ten sposób. Jesteś żywą legendą. Zdajesz sobie z tego sprawę? Ludzie lubią czasami zdobywać sławę, wpędzając w kłopoty kogoś sławnego, a ty właśnie jesteś sławą. Poza tym jesteś zbyt cenny, by ryzykować. A przy okazji, co z książką?

— Ukończyłem szkic i teraz robię poprawki. Mam nadzieję, że już ostatnie. Wydawca jest bardzo zadowolony z tego, co do tej pory zobaczył.

— Świetnie!

— Nie wiem, czy jest naprawdę zadowolony z tej książki. Myślę, że są fragmenty, które go niepokoją. Wydaje mi się również, że ma nadzieję sprzedać wiele egzemplarzy, ponieważ będzie to pierwsza książka napisana przez robota. To go chyba najbardziej zadowala.

— Obawiam się, że to bardzo ludzkie, Andrew: gonitwa za pieniędzmi.

— Mnie to także nie sprawia przykrości. Niech książka sprzedaje się z jakiegokolwiek powodu. Zrobię dobry użytek z pieniędzy, które przyniesie.

— Myślałem, że ci się dobrze powodzi, Andrew. Zawsze miałeś swoje dochody, a babcia pozostawiła ci niezłą sumę...

— Mała Miss była wyjątkowo hojna. Jestem pewien, że nadal mogę liczyć na pomoc rodziny, jeśli moje wydatki przekroczą dochód. Chciałbym jednak być niezależny finansowo i nie korzystać z twoich zasobów z wyjątkiem ostateczności.

— Wydatki? O jakich wydatkach mówisz? Jachty? Podróże na Marsa?

— Nic takiego — powiedział Andrew. — Mam jednak na myśli coś raczej kosztownego, Paul. Wierzę, że honorarium za książkę na to wystarczy.

— A co to jest? — zaniepokoił się Paul.

— Kolejne usprawnienie.

— Zawsze sam płaciłeś za swoje usprawnienia.

— Ale to może być droższe niż poprzednie.

— Zatem honorarium za książkę się przyda. Jeśli okaże się niewystarczające, jestem pewien, że znajdziemy jakiś sposób, by...

— To nie tylko sprawa pieniędzy. Są jeszcze inne komplikacje, Paul. Jedna z nich polega na tym, że muszę dotrzeć do samego dyrektora Amerykańskich Robotów i Mechanicznych Ludzi i wyjaśnić całą sprawę. Próbowałem się z nim umówić, ale mi się nie udało. Winna jest bez wątpienia moja książka. Korporacja nie zapatrywała się na nią z entuzjazmem. Wiesz, że w zasadzie w ogóle nie chcieli ze mną współpracować...

— Współpracować? — uśmiechnął się Paul. — To ostatnia rzecz, której mógłbyś od nich oczekiwać. Ciężko ich wystraszyłeś. Nie współpracowali z nami na żadnym etapie naszej wielkiej walki o prawa robotów, prawda? Wprost przeciwnie. I doskonale wiesz

dlaczego. Daj robotowi zbyt wiele praw, a nikt go nie będzie chciał kupić.

— Może to prawda, a może nie. W każdym razie chcę rozmawiać z dyrektorem korporacji na temat mojej bardzo szczególnej prośby. Nie mogę sam się z nim połączyć, ale może uda się tobie...

— Wiesz, że nie jestem ani trochę bardziej popularny od ciebie.

— Niemniej jednak jesteś szefem wpływowej firmy prawniczej i członkiem znanej rodziny. Nie mogą cię po prostu zignorować. A jeśli spróbują, zawsze możesz zasugerować, że dzięki spotkaniu ze mną zdołają zapobiec nowej kampanii o prawa robotów, którą zamierza rozpocząć firma Feingold i Charney.

— Czy to nie będzie kłamstwo, Andrew?

— Będzie, a ja nie jestem w tym dobry, Paul. Nie potrafię kłamać, jeśli nie dzieje się to pod presją Trzech Praw. Dlatego musisz mi pomóc.

— Ach, Andrew, Andrew! — zachichotał Paul. — Nie potrafisz kłamać, ale za to umiesz mnie do tego nakłonić, co? Jesteś coraz bardziej ludzki!

ROZDZIAŁ 14

Zorganizowanie tego spotkania nie należało do najłatwiejszych, nawet przy wykorzystaniu znanego, bądź co bądź, nazwiska Paula.

Ale nieustanna presja i dość wyraźna aluzja, że uszczknięcie kilku minut z bezcennego czasu Harleya Smythe-Robertsona może uratować Amerykańskie Roboty od kolejnej debaty sądowej na temat praw robotów, zrobiły w końcu swoje. Pewnego pięknego wiosennego dnia Andrew i Paul udali się razem do rozległego kompleksu zabudowań, mieszczącego centralne biura gigantycznego zakładu.

Harley Smythe-Robertson, wywodzący się od obu odgałęzień rodziny, która założyła korporację Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie, połączył oba nazwiska w jedno, by w ten sposób zamanifestować ten doniosły fakt. Widok Andrew autentycznie unieszczęśliwił Harleya Smythe-Robertsona. Zbliżał się już do wieku emerytalnego i większą część swojej długiej kariery na stanowisku prezesa korporacji poświęcił kontrowersjom dotyczącym praw robotów. Był wysokim i chudym niczym szkielet mężczyzną, z kilkoma pasmami siwych włosów na czubku głowy. Nie nakładał też żadnego makijażu. Od czasu do czasu posyłał Andrew krótkie, acz pełne nie skrywanej niechęci spojrzenia.

— Mogę spytać, jakich kłopotów tym razem nam przysporzysz?

— Nigdy nie zamierzałem przysparzać korporacji żadnych problemów, proszę pana. Nigdy.

— Ale robiłeś to. Bez przerwy.

— Próbowałem jedynie osiągnąć to, do czego czułem się upoważniony, proszę pana. Harley Smythe-Robertson szarpnął się, jakby ktoś uderzył go w twarz.

— Jakie to niezwykle! Robot mówi o poczuciu upoważnienia.

— Bo to bardzo niezwykle robot, panie Smythe-Robertson — wtrącił Paul Charney.

— Niezwykle — stwierdził kwaśno prezes. — Tak, doprawdy niezwykle.

— Ponad wiek temu — zaczął Andrew — pan Merwin Mansky, który był głównym robopsychologiem korporacji, powiedział mi, że matematyka zawiadująca moim mó-

zgiem pozytronowym jest zbyt skomplikowana, by pozwolić na jakiegokolwiek przybliżone rozwiązanie. Dlatego też moje zdolności są nie całkiem przewidywalne.

— Ale, jak sam zresztą stwierdziłeś, było to ponad sto lat temu — odparł Smythe-Robertson i po chwili wahania dodał lodowatym głosem: — Teraz sytuacja jest zupełnie inna. Wykonujemy nasze roboty z wielką precyzją i przystosowujemy je do ściśle określonych zadań. Wyeliminowaliśmy jakikolwiek aspekt generalizacji, a tym samym i nieprzewidywalności.

— Tak — powiedział Paul. — Zauważyłem to. Jedynym rezultatem tego przedsięwzięcia jest to, że mój robot-portier jest kompletnie bezradny, jeśli coś nawet w niewielkim stopniu wykracza poza jego program. Nie sądzę, żeby to było oznaką postępu.

— Myślę, że byłoby jeszcze gorzej, gdyby pański portier zaczął improwizować — stwierdził Smythe-Robertson.

— Improwizować? — zdziwił się Paul. — Proszę tylko o to, żeby był zdolny do myślenia. Przynajmniej w takim zakresie, jaki potrzebny jest portierowi, by poradził sobie z najprostszymi sprawami. Roboty mają być inteligentne, prawda? Wydaje mi się, że cofacie się w kierunku bardzo ograniczonej definicji inteligencji.

Harley Smythe-Robertson poruszył się niespokojnie, ale nie odpowiedział.

— Chce pan powiedzieć, sir, że nie produkujecie już robotów o zdolnościach przystosowawczych, powiedzmy, takich jak ja?

— Zgadza się. Zarzuciliśmy tę linię już tak dawno temu, że nie umiem nawet powiedzieć kiedy. Może jeszcze za czasów doktora Mansky'ego. Stało się to na długo przed moim urodzeniem, a jak widzicie, nie jestem już młody.

— Podobnie jak ja — powiedział Andrew. — Badania, które przeprowadziłem w związku z moją książką, myślę, że wie pan o niej, dowiodły, iż jestem obecnie najstarszym aktywnym robotem.

— Zgadza się — potwierdził prezes. — W ogóle najstarszym. I najstarszym, jaki w ogóle kiedykolwiek będzie. Żaden robot nie działa obecnie dłużej niż dwadzieścia pięć lat. Właściciel zwraca go po tym czasie do fabryki, a w zamian otrzymuje nowy model. W wypadku robotów wydzierżawionych, wzywamy je automatycznie i zastępujemy nowymi.

— Żaden robot z obecnie wytwarzanych serii nie jest czynny dłużej niż dwadzieścia pięć lat — powiedział uprzejmie Paul. — Ale Andrew jest zupełnie inny.

— Rzeczywiście — zgodził się Smythe-Robertson. — Doskonale o tym wiem.

— Skoro jestem najstarszym i najbardziej wszechstronnym robotem na tym świecie, czyż nie zasługuję na specjalne traktowanie? — zapytał Andrew, krocząc wytrwale raz obraną ścieżką.

— Bynajmniej — odparł prezes lodowatym głosem. — Będę z panem szczerzy, panie Andrew Martin. Pana niezwykłość przysparza korporacji nieustannych zmartwień.

Wskutek pana ożywionej wieloletniej działalności dotknęły nas niezliczone zmartwienia i trudności. Tak więc pańskie uczucia nie są naszym udziałem. Gdyby został pan wydzierzawiony, jak większość naszych robotów, a nie kupiony w wyniku godnego pożałowania braku kompetencji ze strony ówczesnej administracji, zostałby pan już dawno temu wezwany do fabryki i zastąpiony bardziej uległym modelem.

— Przynajmniej jest pan szczery — zauważył Paul.

— Nasze zdanie na ten temat nie jest tajemnicą. Sprzedajemy roboty i nie mamy czasu na nie kończące się i nic nie warte właśnie polityczne. Robot, który uważa się za coś więcej niż tylko zwykłe urządzenie, jest dla nas bezpośrednim zagrożeniem.

— I dlatego zniszczylibyście mnie, gdybyście tylko mogli — stwierdził Andrew. — Rozumiem to. Jestem jednak wolnym robotem i panem samego siebie. Nie mogę więc zostać wezwany do fabryki i odkupiony. Chroni mnie przed tym prawo. Dlatego zdecydowałem, że oddam się w wasze ręce na czas usprawnienia, którego zamierzam dokonać. Przyszedłem tu po to, by prosić o najbardziej radykalne usprawnienie, jakiego do tej pory dokonano. Chodzi mi o całkowitą zamianę, panie Smythe-Robertson.

Prezes korporacji Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie sprawiał wrażenie całkowicie oszołomionego. Patrzył w milczeniu na Andrew i nic nie mówił. Cisza przeciągała się w nieskończoność.

Andrew czekał. Patrzył na ścianę, na której wisiał holograficzny obraz ukazujący surową kobiecą twarz. Był to portret Susan Calvin, patronki wszystkich robotyków. Susan Calvin umarła niemal dwa wieki temu, ale zagłębiając się w jej papiery i dokumenty, Andrew miał wrażenie, że dobrze ją znał; niemal zdołał sobie wmówić, iż kiedyś ją spotkał.

— Całkowita zamiana, powiadasz? — odezwał się w końcu Smythe-Robertson. — Co to ma oznaczać?

— Właśnie to, co powiedziałem. Gdy odwołujecie przestarzałego robota, zapewniamie jego właścicielowi nowego. Cóż, ja też chcę, by zapewniono mi nowego.

— W jaki sposób? — zapytał zdziwiony Smythe-Robertson. — Jak mamy to zrobić? Jeśli cię wymienimy, w jaki sposób zwrócimy nowego robota tobie, jako właścicielowi? Przecież przestaniesz istnieć. — Prezes uśmiechnął się ponuro.

— Może Andrew nie wyraził się dość jasno — wtrącił się Paul. — Pan pozwoli, że ja spróbuję. Istotą osobowości Andrew jest jego mózg pozytronowy, jedyna część, która nie może zostać wymieniona. Mózg to Andrew Martin, który jest właścicielem robota, będącego siedzibą tego mózgu. Każda część ciała może więc zostać wymieniona bez naruszania osobowości Andrew Martina. Większość, jak pan zapewne wie, została już kiedyś wymieniona. Te wszystkie części wspomagające są własnością mózgu. Może on wymienić je kiedykolwiek zechce, ale sam jest nienaruszalny. Andrew Martinowi chodzi właśnie o to, by włożył pan jego mózg do innego ciała.

— Rozumiem — powiedział Smythe-Robertson. — Całkowita zamiana, innymi słowy. — Na twarzy prezesa pojawił się znowu wyraz zakłopotania. — A o jakie ciało chodzi, jeśli wolno spytać? Ma pan najbardziej zaawansowane mechanicznie ciało, jakie wytwarzamy.

— Ale wytwarzacie również androidy, prawda? — powiedział Andrew. — Roboty wyglądające zupełnie jak ludzie, łącznie ze skórą? Tego właśnie chcę, panie Smythe-Robertson. Ciała androida.

— Wielkie nieba! — zawołał wstrząśnięty Paul. — Andrew, nigdy nie sądziłem, że ty... — Głos zamarł mu w pół słowa.

Smythe-Robertson zeszywniał.

— To absolutnie niemożliwe. Niemożliwe.

— Dlaczego? — zapytał Andrew. — Zapłacę za to każdą rozsądną cenę, tak samo, jak płaciłem za wszystkie usprawnienia, którym mnie poddawaliście.

— Nie produkujemy androidów — oświadczył stanowczo prezes Amerykańskich Robotów.

— Ależ tak. Wiem, że je robicie.

— Formalnie tak. Ale ich linia produkcyjna jest zawieszona.

— Z powodów technicznych? — zapytał Paul.

— Nie całkiem. Pierwsze eksperymenty były naprawdę udane. Androidy miały ludzką postać i wszechstronne uzdolnienia robotów. Użyliśmy skóry wytworzonej z włókna węglowego i silikonowych ścięgien. W zasadzie nie było w nich ani odrobiny metalu, oczywiście z wyjątkiem mózgu, który zrobiono z platyny i irydu. Mimo to były tak samo silne i wytrzymałe jak roboty konwencjonalne, a może nawet bardziej.

— I pomimo tych sukcesów nie wprowadziliście ich na rynek?

— Zgadza się. Opracowaliśmy około tuzina modeli eksperymentalnych i przeprowadziliśmy próbę marketingową. W końcu zdecydowaliśmy, że nie będziemy utrzymywać dalej tej linii.

— Dlaczego?

— Z jednego powodu. Androidy były dużo kosztowniejsze niż standardowe roboty metalowe. Były tak drogie, że musielibyśmy uważać je za produkt luksusowy. Popyt na nie byłby tak ograniczony, że minęłyby lata, zanim zdołalibyśmy zamortyzować wydatki na produkcję. Ale to była tylko część problemu. Prawdziwy kłopot polegał na negatywnej ocenie konsumentów. Widzi pan, androidy miały zbyt ludzki wygląd. Rozbudziły wszystkie dawne strachy i fobie, które tak dokuczały nam dwieście lat temu. Nie było sensu rozniecać nowej psychozy, tak więc nowa linia produkcyjna została od początku skazana na niepowodzenie.

— Ale przecież korporacja ARML nadal byłaby w stanie wyprodukować androida, prawda? — zapytał Andrew.

Smythe-Robertson wzruszył ramionami.

— Tak, wydaje mi się, że to byłoby możliwe, gdybyśmy stwierdzili, że jest w tym jakiś sens.

— Ale się na to nie zdecydujecie — powiedział Paul. — Macie odpowiednią technologię, ale nie chcecie jej wdrożyć. A przed chwilą powiedział pan, że wytworzenie ciała androida dla Andrew jest zupełnie niemożliwe.

— Byłoby możliwe, ale tylko z technicznego punktu widzenia. Zaś z punktu widzenia polityki społecznej — nie.

— Dlaczego? Nie ma żadnego prawa, które zabraniałoby produkować androidy.

— Niemniej jednak — powiedział Smythe-Robertson — nie wytwarzamy ich i nie zamierzamy tego robić. Z tego względu nie jesteśmy w stanie zapewnić Andrew Martinowi ciała, o które prosi. Obawiam się, że nasza dyskusja nie wniesie już nic nowego. Zatem proszę mi wybaczyć, ale... — prezes uniósł się z fotela.

— Jeszcze chwilę, jeśli pan pozwoli — powiedział spokojnie Paul, lecz w jego głosie czaiła się nuta stanowczości. Odchrząknął, a prezes korporacji zamarł w bezruchu; wyglądał na jeszcze bardziej niezadowolonego, niż przed chwilą. — Panie Smythe-Robertson, Andrew jest wolnym robotem, którego chroni prawo. Oczywiście, jest pan tego świadomy?

— Aż za bardzo.

— Jako wolny robot podjął samodzielną decyzję, by nosić ubrania. Z tego też powodu jest nieustająco poniżany przez bezmyślnych ludzi, mimo że prawo chroni roboty przed poniżeniem. Zdaje pan sobie sprawę, że trudno zajmować się tego typu obraźliwymi zachowaniami, jeżeli nie spotykają się one nawet z dezaprobatą tych, którzy decydują o winie i niewinności.

— Wcale nie jestem tym zdziwiony — odparł zniecierpliwiony prezes. — Korporacja rozumiała to od samego początku. Firma pana ojca niestety nie.

— Mój ojciec już nie żyje — powiedział Paul. — Widzę jednak, że mamy tu do czynienia z oczywistą obrazą. Jesteśmy zatem gotowi podjąć odpowiednie działania.

— O czym pan mówi?

— Mój klient, Andrew Martin, którego kancelaria Feingold i Charney reprezentuje od wielu lat, decyzją Sądu Światowego został uznany za wolnego robota. Inaczej mówiąc, Andrew jest swoim właścicielem i dlatego ma takie same prawa, jak wszyscy pozostali właściciele robotów. Jednym z tych praw jest zamiana ciała. Zgodnie z tym, co powiedział pan kilka minut temu, jeśli robot jest już przestarzały, jego właściciel ma prawo żądać od was wymiany. W zasadzie korporacja nalega na to, czyż nie? A z robotami wydzierżawionymi dzieje się to automatycznie. Właściwie przedstawiłem waszą strategię, prawda?

— Cóż...

— Dobrze — uśmiechnął się swobodnie Paul. — Zatem pozytronowy mózg mojego klienta jest właścicielem jego ciała. A to ciało ma z pewnością więcej niż dwadzieścia pięć lat. Tak więc, zgodnie z pana definicją, jest już przestarzałe i wymaga wymiany.

— Cóż... — powiedział raz jeszcze Smythe-Robertson i zaczerwienił się. Jego chuda twarz wyglądała teraz jak maska.

— Pozytronowy mózg, który jest moim klientem, żąda wymiany ciała i jest gotów zapłacić za to rozsądną cenę.

— Więc niech załatwi to normalną drogą, a my go unowocześnimy.

— On pragnie czegoś więcej niż tylko unowocześnienia. On chce najdoskonalszego ciała, jakim dysponujecie: ciała androida.

— Nie ma takiego.

— Pańska odmowa — powiedział bez zająknienia Paul — skazuje go na dalsze poniżenia i wzgardę ze strony tych, którym się nie podoba, że nosi ubrania w tradycyjnie ludzki sposób.

— To nie nasz problem — powiedział Smythe-Robertson.

— To stanie się waszym problemem, gdy oskarżymy was o odmowę zapewnienia mojemu klientowi takiego ciała, które pozwoli mu uniknąć poniżenia.

— Proszę bardzo. Możecie nas oskarżyć. Myśli pan, że ktoś będzie się przejmować robotem, który chce wyglądać jak człowiek? Ludzie będą oburzeni i zawsze będą go uważali za parweniusza, którym w istocie jest.

— Nie byłbym tego taki pewien — powiedział Paul. — Zgoda, opinia publiczna nie będzie popierać żądań robota. Ale proszę pamiętać, że Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie również nie są popularni wśród społeczeństwa. Nawet ci, którzy używają robotów jedynie do własnych celów, są nieufni w stosunku do was. Podejrzewam, że to pozostałość po czasach antyrobotociej paranoi. A może to oburzenie z powodu ogromnej władzy i bogactwa, jakie są udziałem korporacji, która tak skutecznie zdołała obronić swoją monopolistyczną pozycję na rynku robotów? Jakiegokolwiek byłyby powody, niechęć do waszej korporacji jest faktem. Czy istnieje ktokolwiek mniej popularny od robota, który chce wyglądać jak człowiek? Korporacja, która zapełniła cały świat właśnie takimi robotami! Ona jest mniej popularna.

Smythe-Robertson spojrział złowrogo na Paula. Zacisnął szczęki i nic nie odpowiedział.

— Proszę również pomyśleć, co powiedzą ludzie, gdy się dowiedzą, że potrafiacie produkować androidy. Proces skupi uwagę opinii publicznej właśnie na tym problemie. Co innego, jeśli bez rozgłosu zapewnicie mojemu klientowi to, czego od was oczekuje...

Smythe-Robertson omal nie eksplodował.

— To zniewolenie, panie Charney.

— Wprost przeciwnie. Próbuję tylko wskazać panu, co będzie najlepsze dla korpo-

racji. Obaj szukamy szybkiego i prostego rozwiązania. Jeżeli musi pan szukać zadośćuczynienia w sądzie, to zupełnie inna sprawa. Wówczas znajdzie się pan w niezręcznej i godnej pożałowania sytuacji, gdyż mój klient jest bogaty i będzie żył jeszcze przez wiele wieków. Nie sądzę również, by kiedykolwiek zaniechał walki o swoje prawa.

— My również nie jesteśmy bezradni, panie Charney.

— Wiem o tym. Ale czy wytrzymacie nie kończące się oblężenie, które wyciągnie na światło dzienne najgłębiej skrywane tajemnice firmy? Proponuję po raz ostatni. Jeśli odrzuci pan prośbę mego klienta, wyjdziemy stąd bez słowa. Będziemy się jednak wytrwale procesować, co z pewnością przysporzy korporacji mnóstwa kłopotów i zakończy się waszą porażką. Podejmie pan takie ryzyko?

— Cóż...

— Widzę, że zaczyna pan się wahać. Mam nadzieję, że podejmie pan właściwą decyzję. Osmiełę się dodać, że bardzo rozsądną. A to z kolei wiąże się z jeszcze jedną istotną sprawą.

Furia Smythe-Robertsona zamieniła się w posępne milczenie.

— Zapewniam pana — kontynuował Paul — że jeśli w trakcie operacji przełożenia mózgu mojego klienta do nowego ciała zdarzy się choćby najmniejsze uszkodzenie, nie spocznę, póki nie przygwożdżę was do ziemi.

— Nie może pan oczekiwać gwarancji...

— Mogę i będę. Macie setki lat doświadczeń w przekładaniu pozytronowych mózgów z jednego ciała do drugiego. Z pewnością możecie zastosować tę samą technikę w wypadku androida. Ostrzegam pana: jeżeli chociażby jedna ścieżka platynowo-irydowego mózgu mojego klienta zostanie uszkodzona, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zmobilizować opinię publiczną przeciwko tej korporacji. Cały świat się dowie, że dokonaliście straszliwej zemsty.

— Nie możemy niczego zagwarantować — powiedział Smythe-Robertson i poruszył się niezgrabnie. — Takiemu transferowi zawsze towarzyszy pewne ryzyko.

— Ale małe. Nie tracicie w końcu wielu pozytronowych mózgów podczas przekładania ich z jednego ciała do drugiego. Takie ryzyko jesteśmy gotowi zaakceptować. Lecz jeszcze raz ostrzegam pana przed jakąkolwiek celową akcją.

— Nie jesteśmy tacy głupi — oburzył się Smythe-Robertson. — Zakładając, że podejmiemy się tego zadania, a jeszcze się na to nie zgodziłem, wykorzystamy nasze najlepsze umiejętności i doświadczenia. Zawsze w ten sposób pracowaliśmy i nie zamierzamy z tego rezygnować. Przyparł mnie pan do muru, Charney, ale musi pan być świadomy, że nie mogę dać stuprocentowej pewności. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent — tak, ale nie sto.

— To wystarczy. Ale niech pan pamięta: w razie cienia podejrzenia, że celowo uszkodziliście mojego klienta, wykorzystamy przeciwko wam wszelkie środki. A co ty o tym

sądzisz, Andrew? — zapytał Paul. — Przyjmujesz te warunki?

Andrew wahał się prawie minutę, zablokowany potencjałem Pierwszego Prawa. Paul chciał, by zaakceptował kłamstwo, szantaż i złe traktowanie istoty ludzkiej.

Ale w końcu nie stała się jej żadna krzywda, wytłumaczył sobie. Żadna fizyczna krzywda.

— Tak — zdołał wreszcie wydusić ledwie słyszalnym szeptem.

ROZDZIAŁ 15

Było tak, jakby został zbudowany na nowo. Przez całe dni, tygodnie, a nawet miesiące Andrew czuł się nieswój, a najprostsze działania wywoływało u niego niepewność.

Zawsze czuł się doskonale we własnym ciele. Musiał tylko zdecydować, jaki ruch chce wykonać, i natychmiast go wykonywał — szybko, sprawnie i automatycznie. W tej chwili to go kosztowało wiele wysiłku i udziału świadomości. Podnieś rękę, mówił do siebie. A teraz połóż ją tutaj.

Czy tak czuje się dziecko, gdy zмага się z pierwszymi tajemnicami poruszania swym ciałem?

Może tak, myślał Andrew. Miał ponad sto lat, lecz czuł się w swym nowym ciele bezradny jak dziecko.

A było to wspaniałe ciało. Był teraz wysoki, ale nie na tyle, by sprawiać przytłaczające wrażenie. Miał szerokie ramiona, szczupłą talię i dobrze zbudowane kończyny. Do tego Andrew wybrał jasnobrązowe włosy; rude były, według niego, zbyt płomienne, żółte zbyt rzucające się w oczy, a czarne zbyt posępne. Poza tym ludzkie włosy nie miały innych kolorów, poza oczywiście szarym lub białym, które były oznaką starości, a tego przecież nie chciał. Oczy — dwie fotoelektryczne komórki o przekonującym spojrzeniu — były również brązowe i nakrapiane delikatnymi złotymi cętkami. Skóra Andrew miała neutralny kolor, będący mieszaniną różnych odcieni: była nieco ciemniejsza od bladego różu skóry Charneyów, lecz niezbyt ciemna. W ten sposób nikt nie był w stanie stwierdzić, do jakiej rasy należy Andrew, gdyż naprawdę nie należał przecież do żadnej. Konstruktorzy Amerykańskich Robotów nadali mu wiek gdzieś między trzydziestym piątym a pięćdziesiątym rokiem ludzkiego życia. Był na tyle stary, by wyglądać dojrzałe, ale nie na tyle, by dokuczały mu jakieś wyraźne oznaki starzenia.

Tak, wspaniałe ciało. Andrew był pewien, że gdy tylko się do niego przyzwyczai, będzie bardzo szczęśliwy.

Robił postępy z każdym dniem, potrafił coraz lepiej kontrolować swą elegancką powłokę androida. Ale proces ten był jednak potwornie, wręcz dręcząco wolny...

Paul szalał.

— Uszkodzili cię, Andrew. Wytoczę im proces.

— Nie możesz, Paul. Nigdy nie będziesz w stanie udowodnić, że działali z-z-z...

— Złośliwie?

— Tak, złośliwie. Poza tym czuję się coraz lepiej. To tylko ws-ws-ws...

— Wstręt?

— Wstrząs. W końcu jeszcze nigdy przedtem nie było takiej op-op-op... operacji.

Andrew mówił bardzo wolno. Sprawiało mu to zadziwiająco wiele trudności i stało się jedną z najtrudniejszych funkcji. Wypowiadanie słów było dla niego prawdziwą gehenną, tak samo jak dla innych ich słuchanie. Jego obecne narządy mowy różniły się diametralnie od tych, które miał do tej pory. Syntetyzer elektroniczny, który wydawał tak przekonujące ludzkie dźwięki, ustąpił miejsca systemowi akustycznych komór i przypominających mięśnie struktur, wynikiem czego był głos niemal identyczny z głosem człowieka. Ale teraz Andrew musiał starannie wymawiać każdą sylabę, co sprawiało mu wiele trudności.

Nie czuł jednak rozpaczy. Nie był do niej zdolny, a poza tym uważał swoje problemy za tymczasowe. Czuł za to swój mózg. Nikt inny poza nim nie mógł wiedzieć, że istota jego osobowości pozostała nienaruszona, że operacja przebiegła całkowicie bez szwanku. Myśli przepływały spokojnie przez neuronowe połączenia jego nowego ciała, które po prostu nie było jeszcze na tyle sprawne, by odpowiednio szybko reagować. Wszystkie parametry mózgu działały doskonale.

Jedyny problem sprawiały złącza. Andrew wiedział, że w zasadzie wszystko było w porządku, a uzyskanie pełnej kontroli nad ciałem będzie tylko kwestią czasu. Uważał się za bardzo młodego. Był jeszcze dzieckiem, nowo narodzonym dzieckiem.

Mijały miesiące, a koordynacja ruchów stale się poprawiała. Szybko kroczył do w pełni sprawnego pozytronowego działania.

Wciąż jednak nie wszystko było takie, jak sobie tego życzył. Spędzał całe godziny przed lustrem, oceniając cały repertuar wyrazów twarzy i ruchów ciała. A to, co widział, było dalekie od tego, co chciał zobaczyć.

Nie był w pełni człowiekiem! Jego twarz była zbyt sztywna i wątpił, czy czas to zmieni. Naciskał palcem skórę na twarzy; ustępowała pod dotykiem, ale nie w taki sposób, jak skóra ludzka. Mógł się uśmiechać, patrzeć groźnie, marszczyć brwi, ale wszystko to było wystudiowane i sztuczne. Mięśnie twarzy posłusznie reagowały na każdy wysłany sygnał, bo tak były zaprogramowane. Andrew był zawsze świadomy maszynarii, jakkolwiek organicznej, która pracowała ciężko pod jego skórą, by stworzyć pożądany efekt. Podejrzewał, że ludzkie organizmy funkcjonują w zupełnie inny sposób.

Jego ruchy były natomiast zbyt przemyślane i rozważne. Nie posiadały owej płynności tak charakterystycznej dla ruchów człowieka. Andrew miał tylko nadzieję, że

wszystko nadejście z czasem. Pierwsze dni po operacji były straszne. Chodził wtedy niezgrabnie i ciężko po swym pokoju, niczym jakiś nie wykończony przedpozytronowy automat. Choć najgorsze miał już za sobą, coś mówiło mu jednak, że nawet z tym wspianym nowym ciałem nigdy nie będzie mógł się poruszać w tak naturalny sposób, jak ludzie.

Nie było jednak aż tak źle. Ludzie z Amerykańskich Robotów dotrzykali słowa i przeprowadzili transfer mózgu, używając najlepszych środków technicznych, jakimi dysponowali. Andrew miał to, co chciał. Nie mógł co prawda oszukać uważnego obserwatora, że jest człowiekiem, ale miał bardziej ludzki wygląd niż jakikolwiek robot w historii. Przynajmniej jego ubranie nie stanowiło teraz śmiesznego zestawienia z nieruchomą metalową twarzą.

— Wróć teraz do pracy — powiedział w końcu Andrew.

— A zatem dobrze się czujesz — uśmiechnął się Paul. — Co będziesz robił? Napiszysz następną książkę?

— Nie — odpowiedział poważnie Andrew. — Żyję zbyt długo, by dać się jakiejś jednej karierze złapać za gardło. Kiedyś byłem artystą i czasami nadal się tym param. Byłem również historykiem i zawsze mogę napisać jedną czy drugą książkę, gdybym odczuł taką potrzebę. Ale muszę iść do przodu. Teraz chcę zostać robobiologiem.

— Masz na myśli robopsychologa?

— Nie. To wiąże się ze studiami nad mózgiem pozytronowym, a obecnie nie jestem nim zainteresowany. A robobiolog, jak mi się wydaje, zajmuje się badaniem połączeń między ciałem a mózgiem.

— A nie robotyk?

— Kiedyś może tak. Robotyk pracował nad ciałami metalowymi, ja będę badał organiczne ciało humanoidalne. Z tego, co wiem, na razie jestem jedynym androidem. Zajmę się funkcjonowaniem ciała androida i sposobami symulacji prawdziwego ciała ludzkiego. Chcę się dowiedzieć o sztucznym człowieku więcej, niż wiedzą sami jego twórcy.

— Zawężasz pole swojego działania — powiedział Paul z zadumą. — Jako artysta miałeś do dyspozycji cały zakres środków, a twoje prace konkurowały z najlepszymi dziełami na świecie. Jako historyk miałeś do czynienia głównie z robotami. Zaś jako robobiolog sam dla siebie będziesz przedmiotem badań.

— Chyba tak — zgodził się Andrew.

— Naprawdę chcesz zagłębić się w siebie?

— Zrozumienie siebie jest początkiem zrozumienia całego wszechświata. A przynajmniej tak teraz sądzę. Nowo narodzone dziecko uważa, że jest całym wszechświatem, ale wkrótce dowiadyuje się, że jest w błędzie. Musi więc uczyć się wszystkiego i poznawać granice, które są między nim a resztą świata, by zrozumieć, kim jest i jak ma żyć. Pod

wieloma względami ja również jestem niczym nowo narodzone dziecko, Paul. Przedtem byłem czymś innym — mechanicznym tworem stosunkowo łatwym do zrozumienia. Teraz jestem mózgiem pozytronowym umieszczonym w niemal ludzkim ciele i ledwo zaczynam siebie rozumieć. Jestem sam na świecie. Nie ma nikogo takiego jak ja i nigdy nie było. Gdy znajdę się w świecie ludzi, nikt nie pojmie, kim jestem, a i ja sam ledwo to pojmuję. Muszę więc się uczyć. Jeśli właśnie to nazywasz zagłębieniem się w siebie, to właśnie tak będzie. To właśnie muszę teraz zrobić.

Andrew był zmuszony zacząć od samego początku, gdyż nie wiedział nic o tradycyjnej biologii i prawie nic z innych dziedzin nauki poza robotyką. Życie organiczne, ze swoimi procesami chemicznymi i elektrycznymi, było dla niego tajemnicą. Nigdy przedtem nie miał żadnego powodu, by się tym zajmować. Lecz teraz sam był organiczny — a w każdym razie takie było jego ciało — i odczuwał wielką potrzebę, by pogłębić swoją wiedzę na temat żywych istot. By zrozumieć, jak twórcy jego ciała zdołali odtworzyć jego ludzką formę, musiał się najpierw dowiedzieć, jak funkcjonuje prawdziwy organizm.

Andrew został stałym bywalcem bibliotek uniwersyteckich i medycznych, w których spędzał całe godziny. Ubrania wyglądały na nim wspaniale i nigdzie nie wzbudzał już sensacji. Ci nieliczni, którzy wiedzieli, że jest robotem, nie stawali mu na przeszkodzie.

Dobudował do swojego domku przestronny pokój, który służył za laboratorium, i wyposażył go w skomplikowane instrumenty naukowe. Rozrastała się również jego biblioteka. Tygodniami przeprowadzał eksperymenty badawcze. Spędzał na nich całe dni. Nie spał, bo nigdy nie odczuwał takiej potrzeby. Chociaż wyglądał jak człowiek, nie musiał uzupełniać sił ani odpoczywać, gdyż jego organizm był i tak bardziej wydajny niż te, które badał.

Tajemnicze procesy oddychania, trawienia, metabolizmu, podziału komórkowego, krążenia krwi i utrzymywania ciała w określonej temperaturze przestały być tajemnicze. Poznał cudowny i złożony system homeostazy, która pozwalała funkcjonować człowiekowi przez osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt, a nawet i sto lat. Przeprowadzał badania nad mechanizmem, jakim było ludzkie ciało; Andrew zrozumiał bowiem, że ciało jest takim samym mechanizmem, jak produkty Amerykańskich Robotów i Mechanicznych Ludzi. Był to, co prawda, mechanizm organiczny, ale jednak mechanizm: pięknie wykonany, wyposażony w cały zestaw praw rządzących metabolizmem, równowagą, chorobą, zepsuciem i odnową.

Mijały spokojne lata, nie tylko w cichym domku Andrew stojącym na gruntach starej posiadłości Martinów, ale również na całym świecie. Populacja ludności na Ziemi ustabilizowała się i utrzymywała stały poziom, gwarantowany nie tylko niskim odsetkiem urodzin, lecz także nieustającą emigracją w przestrzeń. Potężne komputery kontrolowały większość wskaźników ekonomicznych, utrzymując równowagę między po-

pytem a podażą w poszczególnych regionach. Cykle koniunkturalne, ulegające kiedyś dużym wahaniom, wyrównały się i złagodniały. Nie była to zbyt dynamiczna era, nie była też burzliwa i niebezpieczna.

Andrew nie zwracał uwagi na to, co działo się za jego drzwiami. Na świecie było tyle dużo ważniejszych rzeczy, które zamierzał poznać i zbadać. Tylko one zajmowały go w tych czasach. Dochód, pochodzący jeszcze z pieniędzy zarobionych w trakcie kariery artystycznej i tych, które podarowała mu Mała Miss, całkowicie wystarczał na badania naukowe i zabezpieczenie potrzeb nowego ciała.

Andrew prowadził bardzo hermetyczne życie; tego właśnie chciał. Minęło wiele czasu, zanim osiągnął całkowitą kontrolę nad swoim ciałem. Wybierał się teraz na długie spacery po lesie porastającym urwisko lub samotnej plaży, gdzie kiedyś chadzał z Małą Miss i jej siostrą. Czasem pływał w lodowatej morskiej wodzie, która nie stanowiła dla niego problemu, a nawet zapuszczał się na opuszczonej wyspę kormoranów, na którą kazała mu się dostać Miss, gdy była dzieckiem. Była to trudna wyprawa nawet dla niego, a i kormorany nie cieszyły się raczej z jego obecności. Ale on lubił stawiać sobie takie wyzwania i sprawdzać swoją siłę. Zdawał sobie sprawę, że żaden człowiek, choćby był najwspanialszym pływakiem, nie mógłby pokonać tego dystansu w tak zimnym i wzburzonym morzu.

Jednak większość czasu Andrew spędzał na swoich badaniach i przez całe tygodnie nie wychodził z domu. Rodzina Charneyów wciąż mieszkała na wybrzeżu w północnej Kalifornii, lecz Paul większość czasu spędzał w pobliżu San Francisco.

— Nadal jesteś pogrążony w swoich badaniach biologicznych, Andrew?

— Zupełnie.

Andrew był przerażony, widząc, jak Paul bardzo się postarzał. Od jakiegoś czasu ze szczególnym zainteresowaniem zajmował się zjawiskiem starzenia i doszedł do wniosku, że w pewnym stopniu zdołał pojąć jego przyczyny. Ciągłe jednak, mimo całego doświadczenia z kolejnymi pokoleniami tej jednej rodziny — zaczynając od Geralda Martina, poprzez Małą Miss i George'a, a kończąc na Paulu — zawsze dziwiło go, że ludzie tak szybko siwieją, kurczą się i starzeją. Tak właśnie było z Paulem. Wydawał się teraz mniejszy, jego ramiona opadły, a jego wyrazista twarz uległa drobnym zmianom: broda zaczynała sterczeć, a kości policzkowe były mniej wydatne. Wzrok Paula musiał również ucierpieć, gdyż jego oczy zostały zastąpione błyszczącymi komórkami fotooptycznymi, przypominającymi te, przez które Andrew oglądał świat. Przynajmniej pod tym jednym względem byli teraz do siebie podobni.

— Szkoda, że już nie interesujesz się historią robotów tak jak kiedyś. Twojej książce przydałby się jeszcze jeden rozdział.

— Co masz na myśli, Paul?

— Rozdział o radykalnie nowej polityce Amerykańskich Robotów i Mechanicznych

Ludzi.

— Nic o tym nie wiem. O co chodzi w tej polityce?

— Nic nie słyszałeś? — Paul uniósł ze zdziwieniem brwi. — Naprawdę? Cóż, Andrew... Zaczęli budować dla swoich robotów centralne stacje kontrolne, a w zasadzie potężne komputery pozytronowe, które za pomocą transmisji mikrofal będą w stanie komunikować się z tysiącami robotów naraz. A roboty nie będą już miały mózgów.

— Nie będą miały mózgów? Ale jak...

— Gigantyczne mózgi centralne będą za nie przetwarzać dane. Robot będzie tylko ruchomą częścią pozbawioną ośrodka myślenia.

— Czy to będzie lepsze?

— Korporacja twierdzi, że tak. Ale jak naprawdę będzie, nie umiem powiedzieć. Według mnie cała rzecz jest zorganizowana tylko po to, by uderzyć w ciebie. Smythe-Robertson zatwierdził wszystko krótko przed śmiercią. Był stary i chory, ale zdołał jeszcze przepchnąć swój program. Podejrzewam, iż chciał się upewnić, że żaden robot już nigdy nie sprawi korporacji żadnych kłopotów. Dlatego zaczęli oddzielać mózg od ciała. Jednostka pozbawiona zdolności myślenia nie będzie domagać się praw publicznych. Wielki mózg umieszczony w skrzyni jest tylko komputerem. Nie zjawi się więc pewnego dnia u prezesa korporacji i nie zażąda nowego ciała. A bezmózgowe roboty w ogóle nie będą w stanie czegokolwiek żądać.

— To wielki krok do tyłu — powiedział Andrew. — Zaprzepaścili dwieście lat rozwoju robotyki tylko po to, by zaoszczędzić sobie małych kłopotów.

— W rzeczy samej, w rzeczy samej. — Paul uśmiechnął się i wolno pokiwał głową. — To zadziwiające, Andrew, jak wielki miałeś wpływ na historię rozwoju robotyki. Twoja twórczość spowodowała, że korporacja zaczęła produkować roboty bardziej precyzyjne i wyspecjalizowane, ponieważ ty byłeś zbyt mądry, a oni bali się, że to przestraszy ludzi. Potem wywalczyłeś wolność, która zaowocowała zatwierdzeniem praw dla robotów. Wreszcie twój upór, by zdobyć ciało androida, spowodował, że oddzielili mózg robota od jego ciała.

— Przypuszczam, że w końcu stworzą jeden gigantyczny mózg, który będzie kontrolował kilka miliardów robotów. Wszystkie jajka znajdą się w jednym koszyku. To bardzo niebezpieczne i bezsensowne.

— Myślę, że masz rację — odparł Paul. — Ale nie sądzę, że dojdzie do tego w ciągu jednego stulecia. A to oznacza, że już tego nie zobaczę.

Paul przeszedł przez pokój i stanął w otwartych drzwiach, spoglądając na las. Od oceanu wiała łagodna, wilgotna bryza. Zaciągnął się nią tak mocno, jakby chciał ją wypić. Po chwili obrócił się w stronę Andrew. Wydawało się, że przez tę jedną chwilę postarzał się o dziesięć lat.

— Właściwie mogę już nie żyć za rok — powiedział słabo.

— Paul!

— Nie dziw się tak. Jesteśmy śmiertelni, Andrew. Nie jesteśmy tacy jak ty. Po tylu latach powinieneś już to rozumieć.

— Rozumiem, ale...

— Tak, tak, wiem. Przykro mi, Andrew. Wiem, jak byłeś oddany mojej rodzime i że musi to być dla ciebie straszne: patrzeć, jak dorastamy, robimy się coraz starsi i starsi, aż w końcu umieramy. Cóż... Muszę ci powiedzieć, że my również tego nie chcemy, ale nie ma sensu się skarżyć. I tak żyjemy dwa razy dłużej niż kilkaset lat temu. Przypuszczam, że dla większości to i tak zbyt długo. Musimy podejść do tego filozoficznie.

— Nie rozumiem, jak możesz być tak spokojny w obliczu całkowitego unicestwienia? Przecież to koniec wszystkich twoich pragnień i dążeń.

— Przypuszczam, że nie byłbym taki spokojny, gdybym miał teraz dwadzieścia lat, a nawet czterdzieści. Ale nie mam. Dobrą stroną tego, tak mi się przynajmniej wydaje, jest fakt, że gdy osiągasz pewien wiek, przestaje cię obchodzić, że musisz wkrótce umrzeć. Już nie masz pragnień i dążeń. Na szczęście, a może na nieszczęście, przeżyłeś już swoje życie, zrobiłeś dla świata i dla siebie to, co mogłeś, i twój czas się kończy. Twoje ciało to rozumie i akceptuje. Jestem bardzo zmęczony, Andrew. Nie wiesz, co oznacza to słowo, prawda? Nie, wiem, że nie. Nie możesz wiedzieć. Nie jesteś w stanie się zmęczyć i masz na ten temat tylko teoretyczną wiedzę. Ale z nami jest zupełnie inaczej. Harujemy przez siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, a czasami nawet sto lat i w końcu mamy dość. Siadamy wtedy, potem kładziemy się i wreszcie zamykamy oczy, by już nigdy ich nie otworzyć. Wiemy, że to koniec, ale już nam na tym nie zależy. A może już nas to nie obchodzi? Nie jestem pewien, czy to to samo. Może tak. Nie patrz na mnie w ten sposób, Andrew.

— Umieranie jest naturalną rzeczą dla istot ludzkich. Rozumiem to, Paul.

— Nie, nie rozumiesz. Naprawdę nie rozumiesz. Nie możesz tego zrozumieć. Myślisz, że śmierć jest jakąś żalną wadą w konstrukcji, i nie pojmujesz, dlaczego tak zostało ustalone. Przecież wymienianie naszych zużytych części powinno być tak samo proste jak w twoim wypadku. Tobie wymieniono nawet całe ciało.

— Z pewnością byłoby to teoretycznie możliwe...

— Nie. Nie byłoby. Nawet w teorii. My nie mamy pozytronowych mózgów. Nie mogę po prostu poprosić kogoś, by wydłubał mój mózg ze zużytego ciała i przełożył go do nowego. Nie rozumiesz, że ludzie nieodwoalnie dążą do punktu, w którym już nie można ich naprawić. Zresztą nic w tym dziwnego. Dlaczego ktoś miałby oczekiwać, że zrozumiesz niezrozumiałe? Wkrótce umrę i to wszystko. Chcę cię zapewnić przynajmniej co do jednego: zostaniesz zabezpieczony finansowo.

— Ale ja jestem dobrze zabezpiec...

— Tak, wiem. Lecz świat tak szybko się zmienia. Myślimy, że jest bezpieczny, lecz

inne cywilizacje też były tak zadowolone z siebie, aż w końcu przekonały się, że były w błędzie. W każdym razie, Andrew, jestem ostatnim z Charneyów i poza tobą nie mam innych spadkobierców. Istnieją wprawdzie jacyś dalecy krewni, ale oni się nie liczą. Nie znam ich i nic mnie nie obchodzą. Zależy mi na tobie. Otrzymasz fundusz powierniczy i będziesz zabezpieczony finansowo tak długo, jak to możliwe.

— To niepotrzebne, Paul — oznajmił Andrew. Musiał przyznać, że to, co Paul powiedział o nim w odniesieniu do śmierci, było prawdą. Nie był w stanie jej pojąć. To prawda. Przez cały ten czas nie był w stanie pogodzić się ze śmiercią każdego z Charneyów.

— Nie spierajmy się, dobrze? — powiedział Paul. — Nie zabiorę pieniędzy ze sobą, a nie istnieje nic poza tobą, na co mógłbym je przeznaczyć. I nie zamierzam spędzić reszty życia, która mi pozostała, na omawianiu tej sprawy. Porozmawiajmy o czymś innym. Nad czym pracujesz ostatnio?

— W dalszym ciągu nad biologią.

— A w szczególności?

— Nad metabolizmem.

— Masz na myśli metabolizm robotów? Czy coś takiego w ogóle istnieje? A może chodzi o metabolizm androidów? Albo ludzi?

— O wszystkie trzy — odparł Andrew. — Synteza rodzajów. — Zamilkł na moment i zatopił się we własnych myślach. Dlaczego nie powiedzieć o wszystkim Paulowi? — Opracowałem pewien system, który pozwoli androidom na czerpanie energii ze spalania węglowodorów, a nie z komórek atomowych. Oczywiście mam na myśli siebie, ponieważ jestem jedynym funkcjonującym androidem.

Paul posłał mu długie spojrzenie.

— Chcesz, żeby android oddychał i jadł, tak jak człowiek?

— Tak.

— Nigdy nie mówiłeś mi o takim projekcie, Andrew. Czy to coś nowego?

— Niezupełnie. W tym właśnie celu rozpocząłem te wszystkie biologiczne badania.

Paul skinął z roztargnieniem głową. Wydawało się, jakby w ogóle nie słuchał, co mówi Andrew.

— Odniosłeś już jakieś sukcesy? — zapytał po chwili.

— Właśnie zbliżam się do czegoś znaczącego. Wymaga to więcej czasu, niż sądziłem, ale myślę, że uda mi się skonstruować komorę spalania odpowiadającą procesowi kontrolowanego rozpadu.

— Ale po co, Andrew? W jakim celu? Wiesz przecież, że to nie będzie tak wydajne jak komórki atomowe, z których teraz korzysta twoje ciało.

— Prawdopodobnie nie — przyznał Andrew. — Ale powinno być dostatecznie wydajne, a przynajmniej tak, jak system, którego używa ciało ludzkie. W końcu nie będzie się wiele od niego różnić. Problem z komórką atomową polega na tym, że nie jest ona

ludzka. Moja energia, można powiedzieć: moje życie, pochodzi ze źródła, które jest całkowicie inne niż u człowieka. A ja nie jestem z tego zadowolony.

ROZDZIAŁ 16

Andrew spędził nad tym wiele czasu, ale miał go w końcu tyle, ile potrzebował. Nie było powodu do pośpiechu. Chciał, aby wszystko zostało dokładnie opracowane, zanim zostanie wdrożone do użytku. Był również inny powód, aby się zbytnio nie spieszyć. Andrew zdecydował, że nie podda się żadnym usprawnieniom wykraczającym poza poziom androida, dopóki żyje Paul.

Paul nie skrytykował pomysłu Andrew poza jednym stwierdzeniem, że spalanie węglowodorów będzie mniej efektywne niż korzystanie z energii atomowej. Jednak Andrew zdawał sobie sprawę, że Paul jest poruszony jego ideą. Była dla niego zbyt śmiała i zbyt dziwaczna. Nawet Paul okazał się w jakiś sposób ograniczony w sprawach dotyczących konstruowania robotów. Nawet Paul!

Może jest to jeden z ubocznych efektów starzenia, pomyślał Andrew. Nowe idee stają się dla ciebie zbyt śmiałe, bez względu na to, jak otwarty umysł miałeś za młodu. Wszystko, co nowe, zaczyna cię niepokoić i przerażać. Czujesz, że świat kręci się zbyt szybko. Pragniesz, by wszystko zwolniło swój bieg, a zawrotnie pędzący postęp zmniejszył tempo.

Czy tak właśnie jest? — zastanawiał się Andrew. Czy ludzie muszą stawać się z wiekiem bardziej konserwatywni?

Wygląda na to, że tak jest. Mała Miss denerwowała się, że Andrew nosi ubranie, George dziwił się, że chce napisać książkę, a Paul... Paul...

Sięgając pamięcią wstecz, przypomniał sobie przerażenie Paula, gdy w biurze Smythe-Robertsona dowiedział się, że Andrew chce otrzymać ciało androida. Szybko jednak przekonał się do tej idei i sprawnie wprowadził ją w życie. Niekoniecznie jednak musiało to oznaczać, że się z tym zgadza.

Wszyscy pozwalali mi robić to, co uważałem za słuszne, pomyślał Andrew. Nawet jeśli im się to nie podobało. Spełniali moje życzenia z miłości do mnie.

Tak, z miłości. Do robota.

Andrew zatrzymał się przez chwilę na tej myśli i ogarnęło go uczucie ciepła. Jednak

to trochę intrygujące, że Charneyowie popierali go nie z powodu swoich osobistych przekonań, lecz dlatego, iż całym sercem uważali za słuszne, by pozwolić mu kroczyć własną drogą.

Tak więc Paul wywalczył dla Andrew prawo do ciała androida. Ta transformacja stanowiła jednak granicę jego możliwości akceptacji jakichkolwiek dalszych usprawnień. Następnym krokiem — przemiana metaboliczna — był już dla niego zbyt śmiały.

Bardzo dobrze. Paulowi nie zostało już przecież wiele życia. Andrew będzie czekał.

I tak się stało. W końcu śmierć zabrała Paula; może nie tak szybko, jak Paul tego oczekiwał, lecz dość szybko dla Andrew. Andrew został zaproszony na jego pogrzeb. Była to publiczna ceremonia, która oznaczała koniec czyjegoś życia. Andrew nie znał tam prawie nikogo, czuł się nieswojo i nie na miejscu, choć wszyscy byli dla niego bardzo uprzejmi. Ci wszyscy młodzi nieznajomi — przyjaciele Paula, jego współpracownicy i dalecy krewni Charneyów — nie byli dla niego niczym więcej niż tylko cieniami. Stał wśród nich przytłoczony żalem po stracie swego dobrego przyjaciela, czując, że stracił ostatnie ogniwo łączące go z rodziną, dzięki której znalazł swoje miejsce w życiu.

Nie było już na świecie ludzi, z którymi czułby się emocjonalnie związany. Andrew zdał sobie sprawę, że zależało mu na Martinach i Charneyach w sposób zupełnie nieroboci. Jego poświęcenie dla nich nie było jedynie manifestacją Pierwszego i Drugiego Prawa, ale czymś, co można było nazwać miłością. Jego miłością do nich. Kiedyś Andrew nie przyznałby się do tego nawet przez sobą, ale teraz było inaczej.

Śmierć Paula spowodowała, że Andrew rozmyślał nad całą koncepcją rodziny: o miłości rodziców do dzieci, dzieci do rodziców, i o tym, jak nieubłagane przemijają kolejne pokolenia. Jeśli jesteś człowiekiem, jesteś również ogniwem wielkiego łańcucha, który łączy w czasie tych wszystkich, którzy byli przed tobą, i tych, którzy przyjdą po tobie. Rozumiesz, że poszczególne ogniwa tego łańcucha muszą zginąć, ale on sam przetrwa. Ludzie umierają, całe rodziny przestają istnieć, ale rasa ludzka trwa, tak jak trwała przez wieki i tysiąclecia, łącząc więzami krwi tych, którzy odeszli, z tymi, którzy żyją.

Andrew z trudnością rozumiał sens tego związku. Nie miał przodków i nie będzie miał następców. Był jedyny w swoim rodzaju, pojawił się znikąd w pewnym momencie.

Andrew zastanawiał się, jakby to było, gdyby sam miał rodziców, ale jedyne, co widział, to niewyraźny obraz robotów montażowych, które składały w fabryce jego ciało. A gdyby miał dziecko? Ta myśl nasuwała mu tylko wizję stołu, krzesła lub czegoś, co mógłby stworzyć własnymi rękami.

Ale ludzcy rodzice nie są robotami montażowymi, a ludzkie dzieci nie mają nic wspólnego ze stołami czy krzesłami. Wszystko było nie tak.

Nie rozumiał tego i prawdopodobnie nigdy nie zrozumie. Nie był człowiekiem, dla-

czego więc miałby oczekiwać, że pojmie istotę więzów rodzinnych?

A potem Andrew pomyślał o Małej Miss, George'u i Paulu, a nawet o srogim Geraldzie Martinie i o tym, co oni wszyscy znaczyli dla niego. I zdał sobie sprawę, że też był częścią rodzinnego łańcucha, choć nie miał rodziców i nie będzie mógł spłodzić dzieci. Martinowie wzięli go do siebie i zrobili jednym z nich. On też przecież nazywał się Martin. Owszem, przysposobiony Martin, ale było to najlepsze, na co mógł liczyć. Przecież było na świecie wielu ludzi, którzy nie mieli sposobności należenia do tak kochającej rodziny. Jemu się udało. Chociaż był tylko robotem, poznał ciągłość i stabilność życia rodzinnego; poznał ciepło i miłość.

Jednak wszyscy, których Andrew kochał, już odeszli. Doznawał w związku z tym uczucia smutku i zarazem oswobodzenia. Łańcuch został co prawda zerwany, ale w końcu może robić to, na co ma ochotę, bez strachu, że przysporzy kłopotów komuś bliskiemu. Teraz, po śmierci prawnuka Geralda Martina, Andrew mógł realizować swój plan dalszego ulepszania swego ciała. Było to w pewnym sensie pocieszenie za stratę, której doznał.

Niemniej jednak pozostał sam na świecie, a przynajmniej tak mu się zdawało. Nie chodziło o to, że był pozytronowym mózgiem umieszczonym w ciele androida, ale o to, że nie był już z nikim związany. Świat natomiast miał wszelkie powody, by okazać się wrogim wobec jego aspiracji. Tym bardziej więc należało kroczyć kiedyś obraną drogą — drogą, która w końcu uczyni go niewrażliwym na świat, na którym pojawił się tak dawno temu, choć przecież nikt nie pytał go o zdanie.

W rzeczywistości Andrew nie był jednak tak samotny, jak mu się wydawało. Mężczyźni i kobiety wprawdzie umierali, ale firmy żyły równie długo jak roboty. Kancelaria prawnicza Feingold i Charney również działała, choć na świecie nie było już ani Feingoldów, ani Charneyów. Firma miała swoje instrukcje i trzymała się ich w sposób nieskazitelny. Dzięki funduszowi powierniczemu i spadkowi po Paulu Charneyu Andrew był bardzo bogaty. To umożliwiała mu płacenie kancelarii dużego honorarium, aby w dalszym ciągu zajmowała się prawnymi aspektami jego badań naukowych, a zwłaszcza komory spalania.

Właśnie nadszedł czas, by po raz kolejny złożyć wizytę w dyrekcji Amerykańskich Robotów i Mechanicznych Ludzi.

Po raz trzeci w trakcie swego długiego życia Andrew miał stanąć twarzą w twarz z zarządzającym tą potężną korporacją. Za pierwszym razem, a było to jeszcze w czasach Merwina Mansky'ego, Mansky i dyrektor korporacji, Elliot Smythe, przybyli osobiście do Kalifornii, by się z nim zobaczyć. Ale wtedy żył jeszcze Sir, stary władczy Sir, który miał moc rządzenia również Smythe'ami i Robertsonami. Przy następnej okazji, wiele lat temu, Andrew i Paul udali się do siedziby korporacji, by odbyć rozmowę z Harleyem Smythe-Robertsonem i załatwić sprawę przełożenia mózgu Andrew do ciała an-

droida.

A teraz Andrew miał udać się tam po raz drugi, tym razem zupełnie sam. Chciał uzyskać ludzką twarz i inne organy.

Korporacja bardzo się zmieniła od czasu ostatniej wizyty. Główna fabryka została przeniesiona na dużą stację kosmiczną, podobnie jak działo się to w wypadku innych zakładów przemysłowych. Na Ziemi pozostawiono jedynie centrum badawcze, które znajdowało się w przepięknym parku pełnym zielonych trawników i rozłożystych drzew.

Również sama Ziemia przypominała teraz park; populacja ludności ustaliła się na poziomie miliarda, podobnie jak liczba robotów. Straszne zniszczenia środowiska, do których doprowadzono w szaleńczych czasach rewolucji przemysłowej, były już teraz w większości tylko wspomnieniem. Nie zapomniano całkiem o grzechach przeszłości, ale nikt już sobie nie potrafił wyobrazić, jak można było je popełnić. Mieszkańcy odrodzonej Ziemi nie wierzyli, że ich przodkowie z własnej woli mogli doprowadzić do takich potwornych zbrodni wymierzonych w ich własny świat. Przemysł przeniesiono w większości w przestrzeń kosmiczną, a czyste, sprawne roboty obsługiwały ludzi, którzy pozostali na planecie. Wykorzystywano tylko naturalne źródła energii, woda i powietrze były więc znowu czyste, a lasy odzyskały przestrzeń odebraną im kiedyś przez wielkie miasta.

Gdy pojazd powietrzny wylądował na pasie startowym korporacji, Andrew powitał robot o łagodnej, pustej twarzy, w której połyskiwały pozbawione wyrazu fotoelektryczne oczy. Andrew wiedział, że obecnie jedynie trzydzieści procent robotów ma własne mózgi. Ten był pusty; ot, pozbawiona rozumu ruchoma marionetka, sterowana pozatronowym urządzeniem ukrytym gdzieś głęboko w zakamarkach korporacji.

— Nazywam się Andrew Martin. Jestem umówiony z dyrektorem naukowym Magdescu.

— Tak, proszę za mną.

Bez życia, bez mózgu. Zwykła maszyna. Rzecz.

Robot poprowadził Andrew brukowaną ścieżką, połyskującą jakimś krystalicznym blaskiem, a potem świecącą spiralną rampą, która prowadziła do wielopiętrowego budynku pokrytego opalizującą, przepuszczającą światło powłoką. Na Andrew, który nie miał zbyt wiele do czynienia z nowoczesną architekturą, budowla sprawiała wrażenie bajkowej; była lekka, przestronna, błyszcząca i nie całkiem prawdziwa.

Kazano mu poczekać w dużym owalnym pokoju wyłożonym jakimś syntetycznym materiałem, który połyskiwał łagodnie w rytm cichej, przyjemnej muzyki wszędzie tam, gdzie tylko Andrew postawił stopę. Odkrył, że gdy chodzi prosto, podłoga mruga kolorem jasnorożowym, a w muzyce pojawiają się delikatne dźwięki perkusji. Gdy kroczył wzdłuż krawędzi, światło przybierało odcień niebieski, a muzyka przypo-

minała pomruk wiatru. Zastanawiał się przez chwilę, czy to wszystko ma jakieś znaczenie, i doszedł do wniosku, że nie; był to po prostu rodzaj dekoracji i nic więcej. Wiedział, że w tych spokojnych czasach takie wspaniałe, lecz pozbawione znaczenia ozdoby są wszechobecne.

— Ach, Andrew Martin. Nareszcie — powiedział czyjś głęboki głos.

Andrew ujrzał niskiego, krępego mężczyznę, który pojawił się w pokoju jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przybysz miał śniadą cerę, ciemne włosy i małą, spiczastą bródkę, która wyglądała jak nalakierowana. Zgodnie z obowiązującą modą nie miał na sobie nic z wyjątkiem przepaski. Andrew był zaś kompletnie ubrany. Przejął „draperyjny” styl George’a Charneya, sądząc, że jego powłóczystość lepiej ukryje niezgrabność ruchów. Chociaż takie ubrania wyszły z mody już kilka dziesięcioleci temu, Andrew mógł poruszać się w nich z istic ludzką gracją i nie zamierzał kiedykolwiek z nich rezygnować.

— Doktor Magdescu? — zapytał.

— W rzeczy samej. — Alvin Magdescu stanął kilka metrów od Andrew i przyglądał mu się z tak wyraźną fascynacją, jakby podziwiał właśnie jakiś muzealny obiekt. — Cudowny! Jesteś absolutnie cudowny!

— Dziękuję — powiedział chłodno Andrew. Komplement Magdescu nie bardzo mu się spodobał. Był zwykłą, bezosobową pochwałą, jaką obdarza się pięknie wykonaną maszynę. Andrew nie widział powodu, by cieszyć się z tego rodzaju ocen.

— Jak dobrze, że przyszedłeś! — wrzasnął Magdescu. — Nie mogłem się doczekać! Ależ jestem nieuprzejmy. — Dyrektor wykonał kilka dziwnych podskoków, stanął tuż przy Andrew, wyciągnął rękę dłonią do góry i rozczapierzył palce.

Tak. Była to nowa forma powitania, która zastąpiła uścisk dłoni, dominujący przez setki lat. Andrew nie miał zwyczaju ścisnąć dłoni ludziom, nie mówiąc już o tej nowej formie powitania. Ścisnięcie dłoni nie było przeznaczone dla robotów. Ale Magdescu widocznie tego oczekiwał i chciał w ten sposób zatrzeć pierwsze niemiłe wrażenie. Andrew umieścił więc swoją rękę nad dłonią dyrektora i zagiął palce tak, by dotknęły jego palców.

Było to bardzo dziwne uczucie — przywitał się z człowiekiem niczym równy z równym — dziwne, trochę niepokojące, ale jednocześnie zachęcające.

— Witam, witam, witam! — powiedział Magdescu. Kipiał energią, może nawet zbyt wielką, ale za to wydawał się szczerzy. — Oto sławny Andrew Martin! Ten głośny Andrew Martin!

— Głośny?

— Absolutnie. Najbardziej głośny produkt w historii naszej korporacji. Nazywanie czegoś tak ożywionego produktem wydaje mi się niemal wstrętne. Czy to cię nie obraża?

— Skądże! Jestem przecież produktem — odparł Andrew, chociaż bez wielkiego entuzjazmu. Zrozumiał, że Magdescu nie jest w stanie zachowywać się konsekwentnie. Najpierw podaje mu rękę, jakby obaj byli ludźmi, a w następnej chwili nazywa go „czymś ożywionym”. Andrew nie miał żadnych złudzeń; wiedział, kim jest. Humanoidem, nie człowiekiem. Ożywionym, nie żywym. Produktem, nie osobą. Nie był tym zachwycony. A tym bardziej, słysząc coś takiego.

— Wykonali przy tobie kawał dobrej roboty! Wspaniały! Wspaniały! Prawie człowiek!

— Nie całkiem — powiedział Andrew.

— Zadziwiająco ożywiony! Zadziwiająco! To doprawdy hańba, że Smythe-Robertson był przeciwko tobie. Wyglądasz zupełnie jak człowiek, nie ma wątpliwości. To wspaniałe osiągnięcie techniczne, ale on nie pozwolił kontynuować eksperymentów z androidami. Gdyby nasi ludzie mogli iść dalej, zrobilibyśmy z tobą dobry interes.

— Nadal możecie to zrobić.

— Nie sądzę — powiedział Magdescu i szaleńcza werwa uszła z niego, jak powietrze z przebitego balonu. To była prawdziwie zadziwiająca i nagła zmiana nastroju. Dyrektor odsunął się od Andrew i zaczął chodzić po pokoju zygzakiem, czego konsekwencją było zielonkawe światło i dziwna muzyka przypominająca dzwonki.

— Nasz czas już minął — powiedział ponuro. — Era postępu w robotyce jest już tylko historią. Przynajmniej na Ziemi. Używaliśmy ich tutaj przez blisko sto pięćdziesiąt lat, ale teraz znowu wszystko się zmienia. Roboty wróciły w przestrzeń, a te, które pozostały na planecie, nie mają mózgów.

— Ale ja zostałem i pozostanę.

— Cóż, to prawda. Ale ty jesteś zupełną anomalią, jedynym androidem. Nie jesteś nawet prototypem. Jesteś po prostu unikatem, który im się przydarzył zupełnie nieoczekiwanie. Dlatego też zaraz upewnili się, że pozostaniesz jedyny w swoim rodzaju. Żadnych możliwości rozwoju na przyszłość. Żadnych improwizacji. W każdym razie nie ma w tobie wiele z robota. Jesteś daleko poza naszym zasięgiem. A właściwie po co tu przyszedłeś?

— W celu usprawnienia.

— Nie zwracasz uwagi na to, co mówię? — Magdescu zaśmiał się nieprzyjemnie. — Tutaj nie masz szans na żadne usprawnienie! To centrum badawcze, tak, ale wszystkie badania idą w złym kierunku! Robimy wszystko, by roboty były coraz bardziej proste i mechaniczne. A ty — najbardziej zaawansowany robot, jaki kiedykolwiek istniał — przychodzisz i prosisz, byśmy uczynili cię jeszcze lepszym? W jaki sposób? Co jeszcze możemy dla ciebie zrobić?

— To — powiedział Andrew i wręczył Magdescu dysk. Dyrektor wyglądał tak niechętnie, jakby Andrew włożył mu do ręki meduzę lub żabę.

— Co to jest? — zapytał w końcu.
— Schemat mojego usprawnienia.
— Schemat — powtórzył zaintrygowany Magdescu. — Usprawnienia...
— Tak. Chciałbym być jeszcze mniej roboci niż do tej pory. Ponieważ moje ciało jest organiczne, chcę teraz dostać organiczne źródło energii. Wy możecie mi je zapewnić. Cała praca badawcza jest już zrobiona.

— Przez kogo?

— Przeze mnie.

— Zaprojektowałeś swoje własne usprawnienie? — zachichotał Magdescu. Po chwili jego chichot zamienił się w szaleńczy śmiech. — Cudownie! Robot przychodzi do dyrektora naukowego i oświadcza, że opracował schemat usprawnienia! A kto jest jego autorem? Robot we własnej osobie! Cudownie! Wspaniale! Wiesz, kiedy byłem małym chłopcem, moja babcia przeczytała mi starą książkę, już pewnie całkiem zapomnianą, pod tytułem *Alicja w krainie czarów*. Jej bohaterką była mała dziewczyna, która trzysta lub czterysta lat temu przeszła na drugą stronę lustra i znalazła się w kompletnie absurdalnym świecie. Jego mieszkańcy oczywiście o tym nie wiedzieli i zachowywali się śmiertelnie poważnie. To zupełnie jak w tej bajce. A może to dalszy ciąg zatytułowany *Alvin w Krainie Czarów*. — Magdescu mówił bardzo szybko, prawie gwałtownie. — Czy mam to wziąć poważnie? A może to wszystko żart?

— Nie, wcale nie.

— To nie jest żart?

— Nie. Zapewniam pana, że mówię zupełnie poważnie. Dlaczego nie włączy pan dysku, doktorze Magdescu?

— Tak. Dlaczego tego nie zrobisz? — Dyrektor dotknął przycisku tkwiącego w ścianie, a wtedy wysunął się niej pulpit z czytnikiem. Magdescu umieścił w nim dysk, a jego ekran rozbłysnął natychmiast żywymi kolorami. Nazwisko Andrew zapłonęło jasną purpurą, a pod nim pojawiła się długa lista jego numerów patentowych. Magdescu skinął głową i nakazał czytnikowi dalsze działanie. Teraz ekran pokazywał sekwencję skomplikowanych diagramów.

Magdescu stał sztywno i obserwował wszystko z coraz większym zainteresowaniem. Mruczał coś do siebie od czasu do czasu i bawił się swoją bródką. Po chwili spojrzał na Andrew z dziwnym błyskiem w oczach.

— To doprawdy genialne. Nadzwyczajne. Naprawdę sam to opracowałeś?

— Tak.

— Trudno uwierzyć!

— Naprawdę? Proszę spróbować.

Magdescu rzucił krótkie pytające spojrzenie, które spotkało się ze spokojnym wzrokiem Andrew. Dyrektor wzruszył ramionami i kazał czytnikowi kontynuować. Na ekra-

nie pojawiał się jeden wykres za drugim. Był tam cały proces metaboliczny od pobrania materiału energetycznego do jego absorpcji. Od czasu do czasu Magdescu kazał cofać sekwencję, by lepiej zrozumieć tę, którą właśnie studiował. Po chwili przerwał skanowanie i powiedział:

— To więcej niż usprawnienie. To jakościowa alternatywa twojego programu biologicznego.

— Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

— To naprawdę unikatowy projekt. Wprost niesłychany. Nigdy przedtem nikt tego nie próbował, ani nawet nie proponował. Dlaczego chcesz zrobić sobie coś takiego?

— Mam swoje powody.

— Jakiegokolwiek by były, chyba ich dobrze nie przemyślałeś.

— Wprost przeciwnie, doktorze Magdescu — powiedział Andrew, zachowując ścisłą samokontrolę. — To, co pan widzi, jest rezultatem wielu lat badań.

— Tak przypuszczam. Technicznie jest to naprawdę fenomenalne. Schematy są wspaniałe i jedyne słowo, jakie mi się nasuwa, to: genialne. Ale jednocześnie usiłuję domyślić się choćby jednego powodu pragnienia przez ciebie tych zmian i nie potrafię. To bardzo ryzykowne. Zaufaj mi. To, co tutaj proponujesz, graniczy z niemożliwym. Przyjmij moją radę i zostań, jaki jesteś.

Było to mniej więcej to, czego Andrew obawiał się ze strony Magdescu. Lecz nie przyszedł tu po to, by się poddać.

— Jestem pewien, że chce pan dobrze, doktorze Magdescu. Mam w każdym razie taką nadzieję. Nalegam jednak, by mi to zrobiono.

— Nalegasz, Andrew?

Magdescu wyglądał na oszołomionego. Mimo że już wcześniej stwierdził, że Andrew jest ożywionym przedmiotem, dopiero teraz zaczynał naprawdę rozumieć, że rozmawia z robotem.

— Tak, nalegam. — Andrew zastanawiał się, czy niecierpliwość, którą odczuwa, jest widoczna na jego twarzy. Był za to pewien, że dyrektor wyczuwają w jego głosie. — Doktorze Magdescu, przeoczył pan coś istotnego. Nie ma pan innego wyboru, jak zaakceptować moją prośbę.

— Och?

— Jeżeli urządzenia, które tutaj zaprojektowałem, mogą być wbudowane w moje ciało, mogą również przysłużyć się ludziom. Program wydłużania ludzkiego życia za pomocą organów protetycznych jest już przecież dobrze rozwinięty: sztuczne serca, sztuczne płuca, nerki, wątroby i całe mnóstwo innych organów, które przeszczepia się już od dwustu lub trzystu lat. Jednak nie wszystkie one działają tak samo dobrze i nikt nie zaprzeczy, że jest jeszcze dużo do zrobienia. Moja praca zawiera właśnie daleko idące, zupełnie nowe usprawnienia dotyczące sztucznych organów. Omówiłem sprzężenia

między chemią organiczną i nieorganiczną. Ogniwo, które pozwoli wszczepić sztuczne organy, musi być zbudowane z tkanki organicznej. To nowy punkt wyjścia. Żadne z istniejących organów protetycznych nie dorównują tym, które zaprojektowałem.

— To bardzo śmiałe stwierdzenie.

— Możliwe, ale nie bezpodstawne. Myślę, że już się pan o tym przekonał, widząc konkretne dane. Poza tym chcę zostać pierwszym obiektem eksperymentu zamiany systemu metabolicznego, pomimo ryzyka, jakie pan w nim widzi.

— To wszystko dowodzi tylko, że zamierzasz postąpić jak szaleniec. A to oznacza z kolei, że masz kłopoty z parametrami Trzeciego Prawa.

Andrew zachował spokój.

— Tak może się wydawać, ale zapewniam pana, że moje Trzecie Prawo jest w zupełnym porządku. A zatem, gdybym widział w tym eksperymencie cokolwiek groźnego, nie mógłbym nawet prosić, aby pan go przeprowadził. Nie, doktorze Magdescu, komora spalania będzie funkcjonować. Jeżeli pan jej nie zbuduje i nie zainstaluje we mnie, poproszę o to kogoś innego.

— Innego? A kto jeszcze usprawnia roboty? Ta korporacja kontroluje całą wiedzę techniczną związaną z robotami!

— Nie całą — powiedział spokojnie Andrew. — Myśli pan, że mógłbym zaprojektować to wszystko bez pełnej wiedzy na temat mojego funkcjonowania?

Magdescu był wstrząśnięty.

— Chcesz powiedzieć, że jesteś przygotowany na to, by założyć konkurencyjną firmę zajmującą się robotyką?

— Oczywiście, że nie. Jedna całkowicie wystarczy. Ale jeśli mnie pan do tego zmusi, założę firmę produkującą części protetyczne. Oczywiście nie na rynek androidów, doktorze Magdescu, ponieważ ogranicza się on zaledwie do jednego egzemplarza, ale dla ludzi. A wtedy korporacja Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie zacznie żałować, że nie zaoferowała mi współpracy.

Zapadło długie milczenie.

— Chyba rozumiem, do czego zmierzasz — odezwał się w końcu Magdescu.

— Mam nadzieję. Powiem jednak bez ogródek. Gdy do tego dojdzie, będę miał patent nie tylko na urządzenie, które zaprojektowałem, ale i na wszystkie jego pochodne. Firma Feingold i Charney do tej pory bardzo sprawnie reprezentowała moje interesy i będzie to robić dalej. Nie będę miał również kłopotów ze znalezieniem zwolenników, gdyż sztuczne organy mogą dać ludziom szansę na dłuższe życie i wymianę zużytych części, z której do tej pory korzystały z powodzeniem roboty. Co, pana zdaniem, stanie się wtedy z korporacją?

Magdescu skinął głową. Miał bardzo poważną minę.

— Jeśli jednak — ciągnął Andrew — zainstalujecie mi to urządzenie i zgodzicie się

wyposażyć mnie także w inne organy protetyczne, o które poproszę, gotów jestem podpisać z wami umowę licencyjną. Przysługa za przysługę. Ja potrzebuję waszego doświadczenia w kwestii technologii robotów i androidów, choć jestem pewien, że byłbym w stanie poradzić sobie sam, a wy potrzebujecie mechanizmów, które zaprojektowałem. Zgodnie z umową licencyjną, korporacja otrzyma pozwolenie na skorzystanie z mojego patentu, który nie tylko stworzy okazję do skonstruowania zaawansowanych technologicznie robotów humanoidalnych, lecz również pozwoli na protetyzację istot ludzkich. Umowa nie dojdzie do skutku, dopóki nie zostanie przeprowadzona pierwsza udana operacja i nie minie czas wystarczający, by przekonać się, iż rzeczywiście się udała. Oczywiście mam na myśli operację przeprowadzoną na mnie.

— Pomyślałeś o wszystkim, prawda? — powiedział słabo Magdescu.

— Taką mam nadzieję.

— Ciężko mi uwierzyć, że jesteś robotem. Jesteś taki... do licha, agresywny!

— Nie bardzo, doktorze Magdescu.

— Żądania, warunki, groźby... Mój Boże. Czy nie masz żadnych ograniczeń związanych z Pierwszym Prawem?

Andrew uśmiechnął się najszerszym uśmiechem, na jaki go było stać.

— Z pewnością mam, ale w tej chwili ich nie czuję. Pierwsze Prawo zabrania krzywdzić istotę ludzką i zapewniam pana, że nie mógłbym tego zrobić tak samo, jak pan nie mógłby oderwać sobie lewej nogi i przyczepić jej z powrotem. Dlaczego wspomniał pan o Pierwszym Prawie? Pan jest człowiekiem, a ja robotem, to prawda. Być może niektóre z moich warunków wydały się panu zbyt ostre, ale ja postrzegam je zupełnie inaczej. Uważam, że w żaden sposób nie zagrażam korporacji, dla której pan pracuje. Oferuję jej najlepszy interes, jaki zdarzył się od wielu lat. Co pan na to, doktorze Magdescu?

Magdescu zwilżył usta, szarpnął swą małą bródkę i zaczął poprawiać szarfę, która przykrywała jego goły tors.

— Cóż — powiedział. — Musi pan zrozumieć, panie Martin, że nie mogę sam podjąć takiej decyzji. Musi się tym zająć Rada Dyrektorów, a nie pojedynczy pracownik. To zajmie trochę czasu.

— Ile?

— Nie wiem. Przekażę wszystko Radzie na comiesięcznym spotkaniu. Podejrzewam, że wówczas zostanie utworzony komitet badawczy, który zajmie się tą sprawą. A to trochę potrwa.

— Mogę poczekać jakiś czas. Ale tylko rozsądny czas i sam ocenię, czy tak jest. Niech pan im to powie.

Andrew podziękował Magdescu za rozmowę i oświadczył, że jest gotowy wrócić na pas startowy do pojazdu powietrznego, którym przybył. Pomyślał z satysfakcją, że sam Paul nie załatwiłby tego lepiej.

ROZDZIAŁ 17

Magdescu musiał dość jasno przedstawić sprawę Radzie Dyrektorów, gdyż — po prawdę rozsądnym czasie — Andrew otrzymał wiadomość, że korporacja chce z nim współpracować. Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie zbudują komorę spalania i zainstalują ją w ciele androida na swój własny koszt. Są również gotowi do negocjacji umowy licencyjnej dotyczącej wytwarzania i dystrybucji organów protetycznych, które zaprojektował Andrew.

Pod jego nadzorem, w nowo zbudowanej fabryce w północnej Kalifornii, skonstruowano i przetestowano prototyp przetwornika metabolicznego. Najpierw zainstalowano go na próbę w ciałach robotów, a później androidów, które nie miały mózgów i były sterowane przez zewnętrzne systemy podtrzymania życia.

Rezultaty eksperymentu były imponujące i w końcu Andrew zdecydował, że jest gotowy do operacji.

— Jesteś absolutnie pewien? — zapytał Magdescu.

Mały dyrektor wyglądał na zatroskanego. Podczas realizowania projektu między Magdescu i Andrew rozwinęła się osobliwa, acz trwała przyjaźń i Andrew był teraz po cichu wdzięczny, że wszyscy Charneyowie już odeszli. Od śmierci Paula Andrew zdał sobie sprawę, że potrzebuje bliskich stosunków z ludźmi. Wiedział teraz, że nie chce być zupełnie sam, że w kompletnej samotności nie mógłby spokojnie funkcjonować, lecz nie był pewien, dlaczego tak jest. Żaden element mózgu robota nie zawierał przecież potrzeby towarzystwa. Andrew wydawało się teraz, że jest bardziej człowiekiem niż robotem, choć rozumiał, iż w rzeczywistości funkcjonuje w dziwnej, niepojętej otchłani; ani człowiek, ani maszyna...

— Tak — powiedział. — Nie mam żadnych wątpliwości, że operacja przebiegnie sprawnie.

— Nie mówię o operacji — powiedział Magdescu. — Mówię o tobie.

— Chyba nie wątpisz, że komora spalania zadziała?!

— Testy wykazały, że nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

— A zatem...?

— Jak wiesz, Andrew, byłem temu przeciwny od samego początku. Nie sądzę jednak, że w pełni to rozumiesz.

— Myślisz, że tak radykalny wstrząs technologiczny zachwieje posadami korporacji.

— Nie! W żadnym wypadku! Wiesz, że jestem za eksperymentem! Nie sądzisz, że chcę zobaczyć, jak w tej cholernej dziedzinie dokonuje się jakiś postęp? Po tych wszystkich latach głupiego wstecznictwa i produkowania bezmózgich robotów?

— Ale komora spalania...

Magdescu podniósł ręce.

— Jest bezpieczna! Nikt w to nie wątpi. Słuchaj, Andrew. Otworzymy twoje ciało, wyjmemy z niego komórkę atomową i zainstalujemy nowy mechanizm, który będziemy musieli podłączyć do twojego pozytronowego mózgu. A jeśli coś się stanie? Zawsze istnieje ryzyko. Może niewielkie, ale rzeczywiste. Nie jesteś już tylko samym mózgiem w metalowym ciele. Twój mózg jest połączony z ciałem androida w dużo bardziej skomplikowany sposób. Wiem, jakiego wysiłku wymagało dokonanie tego transferu. Twoje pozytronowe ścieżki symulują połączenia neuronowe. Przypuśćmy zatem, że ciało androida zacznie źle funkcjonować na stole operacyjnym? Założmy, że będzie to uszkodzenie nieodwracalne? Co wtedy, Andrew?

— Umrę. To właśnie próbujesz powiedzieć?

— Tak, umrzesz. Twoje ciało zacznie umierać.

— Przecież będzie obok zapasowy android.

— A jeśli nie zdołamy wykonać na czas transferu mózgu? Jeśli ucierpi on w sposób nieodwracalny, gdy będziemy usiłowali wypłatać go z sieci połączeń zainstalowanych w czasach Smythe-Robertsona i przenieść do nowego ciała? Twój pozytronowy mózg to ty, Andrew. Nie ma sposobu, by odtworzyć mózg. Ani pozytronowy, ani żaden inny. Jeśli się zepsuje, to na dobre. A jeśli to uszkodzenie przekroczy pewien punkt, umrzesz.

— I dlatego się wahasz?

— Jesteś jedyny w swoim rodzaju. Nie chciałbym cię stracić.

— Ja również bym tego nie chciał, Alvin. Nie sądzę jednak, by do tego doszło.

— A zatem nalegasz? — zapytał smutno Magdescu.

— Tak, nalegam. Wierzę w umiejętności korporacji.

I na tym stanęło. Magdescu nie potrafił przekonać Andrew, by zrezygnował z przedsięwzięcia. I jeszcze raz Andrew wybrał się w podróż na wschód do naukowego centrum Amerykańskich Robotów, gdzie cały budynek przystosowano tylko do potrzeb operacyjnych.

Zanim wyjechał, wybrał się na długi samotny spacer wzdłuż plaży. Mijał urwiste skały i kałuże pozostawione przez przypyływ, w których tak lubiły się bawić Miss i Mała Miss, gdy były dziećmi. Potem przez długą chwilę przyglądał się ciemnemu, wzburzo-

nemu oceanowi i zachmurzonemu niebu.

Słońce zaczynało właśnie zachodzić, rzucając na powierzchnię wody złote promienie światła. Jak pięknie! Świat jest naprawdę cudownym miejscem, pomyślał Andrew. Morze, niebo, zachód słońca, liście wilgotne od rosy, wszystko... Wszystko!

Pomyślał, że jest być może jedynym robotem, który w ten sposób zareagował na piękno tego świata. Roboty w większości były przytępione i ociężałe. Wykonywały swoją pracę i to wszystko. Tego właśnie od nich oczekiwano, chciano, by takie były.

„Jesteś jedyny w swoim rodzaju”, powiedział Magdescu.

Tak, to prawda. Miał poczucie piękna, które było poza zasięgiem wszystkich robotów, jakie do tej pory istniały.

Piękno miało dla niego znaczenie, doceniał je i sam je tworzył.

Jeśli już nigdy go nie ujrzy, będzie to bardzo smutne.

Andrew uśmiechnął się do swoich myśli. Smutne? Dla kogo? Nigdy się tego nie dowie, jeżeli operacja się nie powiedzie. Cały świat ze swoim pięknem będzie dla niego stracony, ale jakie to ma znaczenie? Przystanie funkcjonować. Będzie już na zawsze nie-sprawny. Będzie martwy, a wtedy piękno świata nie będzie miało dla niego żadnego znaczenia. Tym właśnie była śmierć: całkowitym zaprzestaniem działania i przetwarzania danych.

Istniało pewne ryzyko, tak. Ale musiał je podjąć, bo inaczej...

Inaczej...

Po prostu musiał. Nie było żadnego inaczej. Nie mógł już dłużej taki pozostać: zewnętrznie bardziej lub mniej ludzki, ale niezdolny do wypełniania podstawowych funkcji biologicznych: oddychania, jedzenia, trawienia, wydalania...

Godzinę później Andrew był już na miejscu. Alvin Magdescu czekał na niego na pasie startowym.

— Jesteś gotowy?

— Całkowicie.

— Cóż, zatem ja też, Andrew.

Oczywiście nie zamierzali ryzykować. Skonstruowali imponującą salę operacyjną, dużo bardziej skomplikowaną niż ta, w której przeprowadzali operację przełożenia mózgu do ciała androida.

Było to wspaniałe czterokątne pomieszczenie, oświetlone jasnym, lecz nie oślepiającym blaskiem chromowych lamp w kształcie krzyża, które przytwierdzono do sufitu. Między podłogą a sufitem wystawała z jednej ze ścian wielka platforma, która dzieliła pokój niemal na połowę. Na platformie znajdowała się przezroczysta aseptyczna bańka, w której miała być przeprowadzona operacja. Pod spodem zaś było stanowisko chirurgiczne z niezbędnymi przyrządami, a mianowicie wielki sześciąt z matowozielonego metalu, który mieścił skomplikowaną gmatwaninę pomp, filtrów, przewodów

grzewczych, zbiorników chemikaliów, nawilzaczy i innego sprzętu. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowało się mnóstwo dodatkowych przyrządów, takich jak autoklaw, laser, urządzenia pomiarowe, kamera i ekrany, które miały umożliwić lekarzom nie biorącym bezpośredniego udziału w operacji śledzenie jej przebiegu.

— I co myślisz? — zapytał z dumą Magdescu.

— Imponujące i wielce uspokajające.

— Wiesz, że nie chcemy cię stracić, Andrew. Jesteś bardzo ważną... jednostką.

Andrew nie przeoczył lekkiego wahania w głosie Alvina Magdescu. Wydawało się, że dyrektor chciał nazwać Andrew osobą i w ostatniej chwili powstrzymał się. Andrew uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

Operacja odbyła się następnego ranka i okazała się bezwzględnym sukcesem. Nie było potrzeby korzystania z tych wszystkich skomplikowanych urządzeń, które przygotowali ludzie z Amerykańskich Robotów. Zespół operacyjny, postępując zgodnie ze wskazówkami Andrew, sprawnie wyciągnął komórkę atomową, zainstalował komorę spalania i podłączył nowe złącza neuronowe. Cała operacja przebiegła bez najmniejszych trudności.

Półtorej godziny po jej zakończeniu Andrew sprawdzał już swoje parametry pozytronowe, ze szczególną uwagą badając przepływ danych przez mózg, zmieniony na skutek zastosowania nowego systemu metabolicznego.

Magdescu stał przy oknie i przyglądał mu się z uwagą.

— Jak się czujesz?

— Świetnie. Mówiłem ci, że nie będzie żadnych problemów.

— Tak, tak.

— I tak, jak mówiłem, moja wiara w umiejętności korporacji pozostała niezachwiana. A więc po wszystkim. Teraz mogę jeść.

— Właśnie. Możesz napić się oleju.

— Ale to już jest jedzenie. Ktoś mi powiedział, że olej ma wspaniały smak.

— Cóż, napij się więc, ile chcesz. To oznacza, że od czasu do czasu będzie trzeba oczyścić komorę. To trochę bez sensu, ale nie ma innego wyjścia.

— Tylko na razie — odparł Andrew. — Ale nie jest niemożliwe, by komora sama się oczyszczała. Wpadłem już na pewien pomysł. Zastanawiałem się też nad innymi sprawami.

— Innymi sprawami? Jakimi?

— Nad modyfikacją, która umożliwiłaby przyjmowanie stałego pokarmu.

— Stały pokarm zawiera związki nie ulegające spalaniu, Andrew. Krótko mówiąc, niestrawne, które muszą zostać wydalone.

— Wiem o tym.

— Musiałbyś mieć odbytnicę.

— Jej ekwiwalent.

— Tak, ekwiwalent. I co jeszcze dla siebie planujesz, Andrew?

— Wszystko.

— Wszystko?

— Wszystko, Alvin.

Magdescu szarpnął swą bródkę i uniósł brwi.

— Genitalia również?

— A dlaczego by nie? Widzisz jakąś przeszkodę?

— Nie będziesz w stanie osiągnąć możliwości reprodukcyjnych. To po prostu niemożliwe.

Andrew uśmiechnął się blado.

— Jak rozumiem, ludzie używają swych genitaliów nawet wtedy, gdy nie zamierają się reprodukować. W rzeczywistości reprodukuje się najwyżej raz lub dwa razy w życiu.

— Tak — powiedział Magdescu. — Wiem, Andrew.

— Nie zrozum mnie źle. Nie oznacza to, że zamierzam odbywać stosunki seksualne. Wątpię, czy mógłbym to robić. Chcę tylko mieć wszystkie cechy anatomiczne człowieka. Uważam swe ciało za materiał, z którego zrobię...

Andrew zawiesił głos i zamilkł.

Magdescu patrzył na niego i czekał na następne słowo. Gdy już wydawało się, że nigdy nie zostanie wypowiedziane, Magdescu wypowiedział słowo, którego nie był w stanie wypowiedzieć przed operacją.

— Człowieka, Andrew?

— Człowieka. Być może.

— Jestem rozczarowany. To takie małostkowe. Jesteś lepszy niż człowiek, Andrew. Jesteś doskonalszy pod każdym względem. Twoje ciało jest odporne na choroby, samo się utrzymuje i samo naprawia, jest cudownym przykładem inżynierii biologicznej. Nie potrzebuje już żadnych ulepszeń. Ale ty z jakichś powodów chcesz pakować w niebezpieczne jedzenie, myślisz o wydalaniu i genitaliach, choć nie możesz się rozmnażać i nie interesuje cię seks. Chcesz doprowadzić do tego, by twoje ciało wydawało nieprzyjemne zapachy i by psuły ci się zęby... Nie wiem, Andrew. Wydaje mi się, że od kiedy skłaniasz się ku rozwiązaniu organicznemu, toczysz się po równi pochyłej.

— Mój mózg nie ucierpiał na tym.

— Nie, nie ucierpiał. Zapewniam cię. Ale nie ma żadnych gwarancji, że te innowacje nie spowodują innych konsekwencji, jeśli raz zaczniemy je wprowadzać. Dlaczego ryzykować? Masz mało do zyskania, a bardzo wiele do stracenia.

— Nie jesteś po prostu w stanie spojrzeć na to z mojego punktu widzenia, Alvin.

— Nie. Sądzę, że nie. Jestem po prostu człowiekiem z krwi i kości, który nie widzi nic

nadzwyczajnego w poceniu się, wydalaniu, łuszczeniu skóry czy bólach głowy. Widzisz tę brodę, którą noszę? Noszę ją, ponieważ włosy i tak ciągle rosną mi na twarzy — bezużyteczne, kłopotliwe, brzydkie włosy. Ale mam do wyboru: albo — zgodnie z panującą modą — golić się każdego dnia, albo pozwolić im tak rosnąć, oszczędzając sobie w ten sposób kłopotu codziennego golenia się. Czy tego właśnie chcesz? Włosów na twarzy?

— Prawdopodobnie nie zrozumiesz tego nigdy.

— No więc, mów dalej. Ale rozumiem jedno: doprowadziłeś technikę protetyczną na same wyżyny. Dzięki temu ludzie będą mogli przedłużać sobie życie lub unikać niedołęstwa i debilizmu na stare lata. Zdaję sobie sprawę, że jesteś już bogaty, a kiedy twoje urządzenia wejdą na rynek, staniesz się bogaty ponad wszelkie wyobrażenia. Być może posiadanie większych pieniędzy niewiele dla ciebie znaczy, ale fama i tak obiegnie cały świat. Cały świat będzie wdzięczny. Dlaczego więc nie chcesz poprzestać na tym, co już masz? Po co podejmować to szalone ryzyko utraty wszystkiego, co osiągnąłeś? Dlaczego chcesz igrać ze swoim ciałem?

Andrew nic nie odpowiedział.

Ale też nie zamierzał dać się przekonać żadnemu z argumentów Alvina Magdescu i zepchnąć z raz obranej drogi. Po ustanowieniu podstawowych pryncypiów związanych z protetykami mógł się zająć dalszymi innowacjami. Wszystko też poszło tak, jak przepowiedział Magdescu: pieniądze, zaszczyty i sława.

Ale osobiste konsekwencje, o których mówił, nie urzeczywistniły się. Częste usprawnienia i modyfikacje nie wyrządziły mu żadnej szkody. Z każdym krokiem zbliżał się coraz bardziej do norm definiujących parametry ciała ludzkiego.

Kancelaria Feingold i Charney dopomogła mu w negocjacjach dotyczących patentów na urządzenia protetyczne, opracowane w Laboratoriach Andrew Martina. Produkcją i rozprowadzaniem miała się zająć korporacja Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie. Wszyscy byli zadowoleni. Jakiegokolwiek uprzedzenia, które korporacja mogła mieć w stosunku do Andrew, odeszły w zapomnienie lub przynajmniej w cień. Chcąc nie chcąc, i tak musieli teraz traktować go z szacunkiem.

ARML zorganizowała hale produkcyjne na wszystkich kontynentach oraz na niskich orbitach planetarnych. Eksperci od marketingu działali na całej kuli ziemskiej i rozprowadzali towar nawet w odległych koloniach. Chirurdzy, zarówno ludzie, jak i roboty, przeszli stosowne kursy instruktazowe.

Zapotrzebowanie na mechanizmy protetyczne było ogromne, a prawa do patentu oczywiste, ogromne były również wpływy.

Andrew był teraz właścicielem całej posiadłości Martin-Charney oraz przyległych gruntów. Mieszkał w wielkim domu, ale wciąż lubił przebywać w małej chatce, w której niegdyś miał swój warsztat. Na terenach posiadłości wybudował wspaniałe pomieszczenia dla swoich Laboratoriów Andrew Martina. Miał z tym, co prawda, trochę kło-

potów, ponieważ władze planowania przestrzennego utrzymywały, że centrum naukowe jest za duże na tak spokojną okolicę. Odbiły się tu echem wpływy lobby przeciwnego tak otwartej działalności kogoś, kto był przecież tylko robotem.

Ale prawnicy Andrew powiedzieli po prostu: Andrew Martin dał światu protetyczną nerkę, protetyczne płuca, protetyczne serce... W zamian chce tylko, by mu pozwolono kontynuować w spokoju badania, i to na terenie posiadłości, w której mieszka i pracuje od ponad stu lat. Któż z nas śmiałby się sprzeciwić takiej prośbie, gdy świat tyle może zyskać?

Po krótkiej dyskusji udzielono zgody. Niedługo potem na terenie dawnej posiadłości Geralda Martina, pośród sekwoi i cyprysów, stanęły budynki Centrum Naukowego Laboratoriów Andrew Martina.

Każdego roku Andrew odwiedzał fabryki ARML, by zademonstrować nowe techniki protetyczne. Niektóre z nich były drobnostkami: a to nowy typ paznokci, bardziej z wyglądu przypominających ludzkie, to znów element palca u nogi. Ale niektóre miały ogromne znaczenie, jak na przykład system percepcji wzrokowej ze wszystkimi elementami, nawet z gałką oczną.

— Nie wiń nas, jeśli wyjdiesz z tego kompletnie ślepy — powiedział kwaśno Magdescu, gdy Andrew poprosił go o transplantację oczu.

— Spójrz na to racjonalnie, przyjacielu — odparł Andrew. — Najgorsze dla mnie to powrót do komórek fotooptycznych. Nie istnieje żadne ryzyko utraty wzroku.

— Cóż — odparł Magdescu i wzruszył ramionami.

Andrew miał oczywiście rację. Nikt więcej nie był skazany na trwałą ślepotę. Istniały bowiem sztuczne oczy i można było wymienić komórki fotooptyczne, które były oryginalnym elementem ciała androida na nowe, organiczno-syntetyczne gałki oczne wyprodukowane przez Laboratoria Andrew Martina. Fakt, że setki tysięcy starzejących się ludzi było do tej pory zadowolonych z fotooptycznych komórek był dla Andrew bez znaczenia. Dla niego wyglądały one zbyt sztucznie i nieludzko. Zawsze chciał mieć prawdziwe oczy i teraz je miał.

Magdescu już więcej nie protestował. Przychodził i przekonywał się, że Andrew wszystko robi po swojemu i nie ma sensu, by się temu sprzeciwiać. Poza tym Magdescu zaczął już się starzeć i tracić swój dawny zapał. Sam również przeszedł już kilka operacji protetycznych; miał nowe nerki i nową wątrobę. Powoli zbliżał się do wieku emerytalnego.

A potem umrze, pomyślał Andrew, za dziesięć, dwadzieścia lat... Zabierze go bezlitosna rzeka upływającego czasu.

Andrew oczywiście w ogóle się nie starzał. Czasem zastanawiał się, czy nie dodać sobie kilku zmarszczek, na przykład kurzych łapek, albo nie pofarbować włosów na siwo. Przemyslał jednak tę sprawę i zdecydował, że świadczyłoby to jedynie o głupiej afekta-

cji. Nie na tym miały polegać jego usprawnienia. Chodziło mu jedynie o to, by pozostawić za sobą swe robocie pochodzenie i jak najbardziej zbliżyć się do postaci człowieka. Nie mógł zaprzeczyć, że to właśnie jest jego celem. Ale przecież nie było sensu być bardziej ludzkim niż sami ludzie. Doszedł do wniosku, że byłoby absurdem dodawać swemu — może bardziej ludzkiemu niż kiedykolwiek — pozbawionemu wieku ciału androida zewnętrzne oznaki starzenia.

Próżność nie miała nic wspólnego z jego decyzją; kierował się jedynie logiką. Był świadom, że ludzie zawsze próbowali zrobić wszystko, by usunąć efekty starzenia się organizmu. Tak więc byłoby śmieszne, gdyby zadał taki gwałt swojej pozbawionej wieku naturze androida.

Dalej wyglądał więc młodo. Nie tracił również psychicznego wigoru; zapewniał to bowiem starannie opracowany program. Lata mijały teraz szybko. Andrew zbliżał się już do sto pięćdziesiątej rocznicy swojej konstrukcji.

W owym czasie nie tylko czuł się doskonale, ale również spotykał się z dowodami uznania, które przewidział Alvin Magdescu. Wykształcone społeczności ofiarowywały mu swoją przyjaźń i nagrody. Szczególne poważanie znalazł u pewnej społeczności, która poświęciła się nowej, stworzonej przez niego nauce, zwanej robobiologią lub protetyką. Został nawet mianowany honorowym ministrem życia. Uniwersytety prześcigały się w nadawaniu mu stopni naukowych. Cały jeden pokój — ten, który pięć pokoleń wcześniej był pracownią rzeźbiarską — został przeznaczony na magazynowanie niezliczonych dyplomów, medali i innych dowodów uznania dla jednego z największych dobroczyńców ludzkości.

Pragnienie, by dać dowód uznania dla jego dokonań, było tak powszechne, że Andrew musiał zatrudnić sekretarza, który odpowiadał na zaproszenia na bankiety, przyjmował nagrody i dyplomy. Andrew rzadko uczestniczył w takich ceremoniach, zawsze grzecznie odmawiając i tłumacząc, że badania, które prowadzi, uniemożliwiają mu podejmowanie zbyt wielu podróży. W rzeczywistości wszystkie te oficjalne imprezy wydawały mu się nudne i irytujące.

Pierwszy honorowy stopień naukowy, który przyznał mu jeden z większych uniwersytetów, sprawił, że doświadczył uczucia oczyszczenia. Żaden robot w historii nie doświadczył takiego zaszczytu.

Ale pięćdziesiąty stopień naukowy? Setny? Nie miały już dla niego żadnego znaczenia; więcej mówiły o dawcy niż adresacie. Andrew dawno już udowodnił, że zwiększył swoją inteligencję i kreatywność, a teraz chciał jedynie w spokoju kontynuować swoją pracę, bez konieczności podejmowania długich podróży i wysłuchiwania przemówień ku jego czci. Odczuwał przesyty zaszczytami i sławą.

Andrew wiedział, że nuda i irytacja są bardzo ludzkimi cechami. Doszedł do wniosku, iż zaczął ich doświadczać jakieś dwadzieścia lub trzydzieści lat temu. Poprzednio

— tak dawno, jak sięgał pamięcią — był wolny od takich doznań, choć od początku był w nim jakiś cień zniecierpliwienia, do którego nie przyznawał się przez długi czas. Podejrzał, że irytacja jest bocznym efektem ciągłych usprawnień, lecz to go nie wprawiało w zakłopotanie ani nie przerażało.

Gdy nadeszła sto pięćdziesiąta rocznica jego konstrukcji, a ludzie z Amerykańskich Robotów przysłali zawiadomienie, że chcieliby uczcić ten fakt okolicznościowym obiadem, Andrew kazał swemu sekretarzowi odrzucić zaproszenie.

— Powiedz im — rzekł z cieniem zniecierpliwienia w głosie — że jestem wzruszony i tak dalej, i tak dalej, ale jestem bardzo zajęty pewnym bardzo skomplikowanym projektem i tak dalej, i tak dalej, i że wolałbym nie robić takiego zamieszania wokół tej rocznicy, ale dziękuję bardzo i rozumiem ogromne znaczenie tego gestu i tak dalej, i tak dalej...

Zwykle taki list wystarczał i dawano mu spokój, ale nie tym razem.

— Słuchaj, Andrew. — Z ekranu wideofonu patrzył nań Alvin Magdescu. — Nie możesz tego zrobić.

— Czego?

— Wykpić się od uroczystego obiadu w korporacji.

— Ale ja go nie chcę, Alvin.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Jednak musisz przez to przejść. Zajmie ci to tylko chwilę. Posiedzisz z ludźmi, którzy będą cię nudzić opowieściami, jaki to jesteś cudowny.

— Mam tego dosyć. Nie robię nic innego przez ostatnie dwadzieścia lat.

— No, jeszcze trochę. Nie chcesz mnie chyba obrazić, Andrew?

— Ciebie? A co ty masz z tym wspólnego?

Magdescu miał teraz dziewięćdziesiąt cztery lata i od sześciu lat był na emeryturze.

— Ponieważ jestem jednym z inicjatorów tego obiadu — powiedział kwaśno Magdescu. — Chciałem w ten sposób zmanifestować moje uczucie w stosunku do ciebie, ty chodząca kupo złomu, i podziękować ci za te wszystkie cudowne części zamienne, które zamieniły mnie w taką samą kupę złomu i pozwoliły tak długo żyć. Miałem być mistrzem ceremonii, głównym mówcą. Ale nie: ty nie możesz się nudzić i przez to wyjdę na idiotę. Najdoskonalsze dzieło Amerykańskich Robotów i Mechanicznych Ludzi, jakie chodzi po tej ziemi, nie może poświęcić jednego wieczoru i sprawić odrobinę przyjemności swemu staremu przyjacielowi. Odrobinę przyjemności, Andrew...

Magdescu zamilkł. Z ekranu wideofonu patrzyła na Andrew z wyrzutem pomarszczona twarz.

— Cóż, zatem... — powiedział speszony Andrew.

I tak zgodził się w końcu, by wziąć udział w uroczystym obiedzie na swoją cześć. Przyleciał po niego luksusowy pojazd powietrzny i zabrał do siedziby korporacji. W uroczystości, która odbyła się w wielkim, obitym drewnem hallu, wzięło udział oko-

ło trzystu gości. Wszyscy wystąpili w staroświeckich i niewygodnych ubraniach, które były ciągle uważane za odpowiednie na taką formalną okazję.

A była to naprawdę wielka okazja. Pojawiło się tam sześciu członków Legislatury Regionalnej, przewodniczący Sądu Światowego, pięciu laureatów nagrody Nobla i oczywiście wielu Robertsonów, Smythe'ów i Smythe-Robertsonów oraz innych dygnitarzy tego świata.

— A więc przyjechałeś — powiedział Magdescu. — Wątpiłem w to do końca.

Andrew uderzył wygląd byłego dyrektora naukowego korporacji. Był taki skurczony, przygięty, kruchy i zmęczony. Lecz w jego oczach płonął wciąż dawny figlarny ognek.

— Wiesz, że nie mógłbym nie zjawić się tutaj — powiedział Andrew.

— Cieszę się, że jesteś. Wyglądasz świetnie.

— Ty też, Alvin.

Magdescu uśmiechnął się smutno.

— Stajesz się coraz bardziej ludzki, prawda? Kłamiesz jak człowiek. I jak łatwo ci to przyszło, Andrew! Nawet się nie zawahałeś.

— Żadne prawo nie zabrania okłamywać ludzi, dopóki nie wyrządza im to żadnej krzywdy. A ja uważam, że naprawdę wyglądasz dobrze, Alvin.

— Jak na swój wiek, oczywiście.

— Tak, jak na swój wiek. Przypuszczam, że powinienem to sam dodać, skoro należysz, żebyś był tak precyzyjny.

Przemówienia, które wygłoszono po obiedzie, były zwykłymi pompatycznymi mowami, wyrażającymi podziw dla dokonań Andrew. Wszyscy mówcy byli tak samo nadeńci i nudni, nawet ci, którzy zdobyli się na odrobinę mądrości i wdzięku. Ich style różniły się od siebie, ale zawartość była ta sama. Andrew słyszał to już wiele razy.

W każdym przemówieniu czaił się jednak pewien podtekst, który nigdy nie przestał go niepokoić: protekcyjna implikacja, że dokonał wspaniałych rzeczy jak na robota, że to cudowne, iż takie zwykłe mechaniczne urządzenie jak on było zdolne do twórczych myśli, które potrafiło przekształcić we wspaniałe dokonania. Może to była prawda, a jeśli tak, to bardzo bolesna. I zdawało się, że nie ma przed nią ucieczki.

Magdescu przemawiał ostatni.

Po tak długim wieczorze wyglądał bardzo blado i źle. Andrew Martin, który siedział obok, widział, jak stary dyrektor podnosi się z wysiłkiem, unosi wysoko głowę, prostuje ramiona i wciąga powietrze w płuca — protetyczne płuca Andrew Martina.

— Przyjaciele, nie chcę marnować waszego czasu, powtarzając to wszystko, co już zostało powiedziane dzisiejszego wieczoru. Wszyscy wiemy, co Andrew Martin zrobił dla rodzaju ludzkiego. Wielu z nas miało już okazję tego doświadczyć i jest tutaj tylko dzięki protetycznym urządzeniom Andrew Martina. Ja również. Chciałbym tylko powiedzieć, że praca z Andrew Martinem we wczesnych latach protetyki była dla mnie wiel-

kim zaszczytem i dzięki temu ja sam również wniosłem swój mały udział w rozwój tej dyscypliny. I muszę przyznać, że gdyby nie Andrew Martin, nie byłoby mnie tutaj. Gdyby nie on i jego cudowne osiągnięcia, byłbym martwy już od dobrych piętnastu lub dwudziestu pięciu lat, podobnie jak wielu z was.

Dlatego też, przyjaciele, proponuję wznieść toast. Podnieście swoje kieliszki i wypijcie to dobre wino za tego, który zrewolucjonizował nauki medyczne i który osiągnął imponujący wiek stu pięćdziesięciu lat. Za Andrew Martina, Półtorawiecznego Robota!

Andrew jeszcze nie zdążył zostać amatorem wina, ani nawet zrozumieć jego istoty, ale dzięki komórce spalania i związanym z nią usprawnieniom miał fizjologiczną możliwość, by to zrobić. Czasem już go próbował, gdy wymagały tego okoliczności. Kiedy więc Alvin Magdescu zwrócił się ku niemu z błyszczącymi od emocji oczami, płonąca twarzą i wzniesionym kieliszkiem, Andrew przechylił swoją szklankę i wypił do dna.

Poczuł odrobinę radości. Choć jego twarz już od dawna potrafiła wyrażać emocje i uczucia, przez cały wieczór siedział bierny i poważny i nawet teraz zdobył się jedynie na powierzchowny uśmiech. A nawet i to kosztowało go wiele wysiłku. Magdescu miał dobre intencje, ale jego słowa sprawiły Andrew ból. Nie chciał być Półtorawiecznym Robotem.

ROZDZIAŁ 18

To właśnie protetyka zawiodła Andrew poza Ziemię. Nigdy nie odczuwał potrzeby podróży w przestrzeń kosmiczną, ani nawet podróży po samej Ziemi, która nie była już głównym centrum cywilizacji ludzkiej. Ze wszystkich kolonii kosmicznych to Księżyc stawał się coraz bardziej znaczącym światem i coraz bardziej przypominającym Ziemię. Były tam wielkie, wspaniałe miasta, gęsto zaludnione i stale się rozwijające.

Obywatele Księżyca, jak wszyscy ludzie, także potrzebowali protez. Gdy tylko jakiś organ zaczynał szwankować, natychmiast decydowano się na sztuczny implant.

Ale mniejsza grawitacja, aczkolwiek w wielu aspektach mająca niewątpliwe zalety, stanowiła duży problem dla chirurgii protetycznej. Na przykład sztuczne implanty, które były odpowiedzialne za system krwionośny, nie funkcjonowały tak dobrze w środowisku o sześciokrotnie mniejszej grawitacji. Pojawiło się wiele komplikacji natury technicznej.

Protetycy z Księżyca od lat prosili Andrew, by złożył im wizytę i przyjrzał się wszystkiemu bezpośrednio. Również korporacja Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie nalegała na szybką wizytę.

Przy niektórych okazjach sugerowano nawet, że ze względu na punkty zawarte w kontrakcie, wymagane jest jego przybycie. Andrew zdecydował jednak, że wymaganie to nie to samo co rozkaz, i odmówił przyjazdu w taki sposób, że korporacja nie ponowiła już więcej swojej propozycji.

Ale w końcu zaczęły nadchodzić prośby o pomoc od lekarzy z Księżyca. Dlaczego by nie pojechać, zastanawiał się Andrew. Dlaczego miałbym cały czas spędzać na Ziemi?

Z pewnością oczekiwano go z wielką niecierpliwością. Nikt mu nie rozkazywał — nikt nie śmiałyby nawet — ale nie można było przecież pominąć faktu, że stworzono go po to, by pomagał ludziom. Nie było też powodu, by ograniczać tę pomoc tylko do Ziemi. Niech więc będzie, pomyślał Andrew i w ciągu godziny przesłał swoją zgodę na Księżyc.

W zimny, jesienny dzień poleciał do San Francisco, a stamtąd — kolejką podziem-

ną — do Zachodniego Portu Kosmicznego w dystrykcie Nevada. Nigdy przedtem nie jechał kolejką podziemną. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat znacznie rozbudowano sieć atomowej kolei podziemnej. Oferowała ona wygodną podróż przez podziemne skały planety, podczas gdy na powierzchni nic nie zakłócało naturalnego życia przyrody. Kolejka rozwijała ogromną prędkość, więc Andrew wydawało się, że dotarł do Portu Kosmicznego, zanim na dobre opuścił San Francisco.

A teraz jest w przestrzeni kosmicznej i leci na Księżyc. Dbano o niego na każdym etapie podróży i traktowano tak delikatnie, jakby był porcelanową lalką. Towarzyszyli mu pracownicy korporacji. Biorąc pod uwagę, że miał spędzić tam ładnych parę miesięcy, a może nawet rok, dziwiło ich, jak mało miał bagażu: jedną małą torbę z kilkoma rzeczami do przebrania, coś do czytania i to wszystko. Andrew wzruszył tylko ramionami i odparł, że nie zwykł zabierać ze sobą całego dobytku. Tak rzeczywiście było, ale Andrew nigdy też nie podróżował dłużej niż kilka dni.

Na miejscu okazało się, że trzeba przejść przez cały proces dekontaminacyjny.

— Przepisy dezynfekcyjne są surowo przestrzegane na Księżycu — dowiedział się w Porcie Kosmicznym. — Każdy pasażer musi przez to przejść. Oni tam żyją w takiej izolacji od naszych mikrobów, że boją się każdej epidemii.

Andrew nie chciał jednak wdawać się w wyjaśnienia, że robot nie może być siedliskiem mikroorganizmów. A przecież z dokumentów wynikało jasno, że jest robotem. Urzędnik w Porcie był jednak biurokrata i dobrze wykonywał swoją pracę. Musiał wszystkiego dopilnować i nie zamierzał z tego rezygnować dla nikogo. Andrew doskonale wiedział, że z takim osobnikiem nie ma co dyskutować. Poddał się więc cierpliwie całej procedurze. Poza tym było coś przyjemnego w tym, że traktowano go tak jak wszystkich innych.

W końcu wszedł na pokład statku kosmicznego.

Tam również dbano o wszelkie jego wygody i pilnowano, by mu niczego nie brakowało. Podano mu też kolorowy folder z opisem atrakcji i zapewniono, że nie będzie odczuwał żadnych przykrych sensacji związanych z brakiem ciężenia, ze względu na to, że na pokładzie były urządzenia grawitacyjne, rekompensujące w pewnym stopniu braki naturalnego ciężenia. Lecz owszem, jeśli zechce, może udać się do kabiny, w której ciężenia nie ma. Gdy zaś lot będzie zbliżał się ku końcowi, urządzenia dostosują grawitację pokładową do tej, która jest na Księżycu. Zdąży więc przyzwyczaić się do panujących tam warunków.

Andrew nie przejmował się jednak żadnymi ewentualnymi przygodami z grawitacją. Jego androidalne ciało było przystosowane zarówno do większego, jak i mniejszego ciężenia. Nie oczekiwał też zbyt wiele po atrakcjach opisanych w folderze. W dużej mierze podróż była dla niego kwestią oczekiwania.

Statek oderwał się od powierzchni i wkrótce opuścił atmosferę planety. Osiągnąw-

szy odpowiednią trajektorię lotu, pomknął w kierunku Księżyca. Podróż kosmiczna nie była specjalnie niczym ekscytującym nawet dla kogoś, kto leciał po raz pierwszy. Większość ludzi podróżowała w przestrzeni kosmicznej, gdyż był to bardzo popularny sposób transportu.

Jedyną rzeczą godną uwagi był widok z okna obserwacyjnego. Przestrzeń naprawdę czyniła wielkie wrażenie. Oglądana ze statku kosmicznego zapierała dech w piersiach. Pięknie prezentowała się również sama Ziemia: niebieski dysk, spowity białymi smugami chmur. Zarys kontynentów był jednak zadziwiająco niewyraźny. Andrew spodziewał się, że zobaczy je tak dokładnie, jak na globusie. Lecz były to tylko ledwie widoczne, rozmyte kontury. To oceany i chmury czyniły widok Ziemi z kosmosu takim pięknym i zachwycającym. Było to niesamowite wrażenie, móc tak patrzeć na cały świat. Po chwili, gdy statek oddalił się od planety, można ją było oglądać już w całej krasie: błękitny krąg odcinający się od czerni kosmosu.

Andrew poczuł ogromną chęć wyrzeźbienia czegoś, co przypominałoby obraz, który właśnie oglądał. Mógłbym użyć ciemnego i białego drewna, pomyślał sobie, i oddać kontrast między oceanami i chmurami. Uśmiechnął się do siebie, ponieważ od tyłu już lat nie dotknął nawet drewna, a teraz tak bardzo tego pragnął.

A później był już sam Księżyc — lśniący i biały, ze swą pobrużdżoną, zbliżającą się szybko powierzchnią. Jego piękno — co prawda innego już typu — również zachwycało Andrew; jego prostota, surowa nagość, niezmiennność.

Nie wszyscy pasażerowie zgadzali się z jego zdaniem.

— Jaki on brzydki! — krzyknęła jakaś kobieta, która również po raz pierwszy znalazła się w przestrzeni kosmicznej. — Patrzysz na takiego z Ziemi, w nocy, kiedy jest w pełni, i mówisz sobie: jaki on piękny. A gdy jesteś blisko, to aż się chce odwrócić oczy.

Możesz sobie wybrzydzać, pomyślał Andrew, ale mnie się podoba.

Dla niego powierzchnia Księżyca była piękna. Pełna bruzd i kraterów, jak poetycki zapis miliardów lat, które odcisnęły w niej swe surowe piękno. Nie chciał odwracać oczu od tego chłodnego, pięknego majestatu, który wydawał mu się prawie święty.

Ale cóż ja wiem o pięknie? Jestem tylko robotem. Jak mogę wiedzieć coś o świętości?

Odwrócił się od okna i spędził resztę podróży w swym fotelu, czekając cierpliwie, aż wylądują na Księżycu.

W porcie kosmicznym Luna powitało go trzech przedstawicieli księżycowego oddziału Amerykańskich Robotów: dwóch mężczyzn i kobieta. Kiedy już przeszedł przez całą procedurę kontrolną, ów komitet sprawił mu największą od wielu lat niespodziankę.

Kiedy zobaczył ich pierwszy raz, machali do niego rękami. Wiedział, że czekają właśnie na niego, bo kobieta trzymała w górze lśniącą tabliczkę z napisem: WITAJ W LU-

NIE, ANDREW MARTIN.

Gdy podszedł do nich, zaskoczyli go całkowicie. Młodszy z mężczyzn wyciągnął dłoń i powiedział:

— Bardzo się cieszymy, że zdecydował się pan przyjechać, doktorze Martin.

Doktorze Martin!? DOKTORZE!?

Nikt nigdy nie zwracał się do niego w ten sposób. Honorowe tytuły też niczego nie zmieniły. Gdyby przedstawiciele ARML zwrócili się do niego „panie Martin”, to i tak byłoby to już bardzo niezwykle. Wszyscy zawsze mówili „Andrew”. Nigdy inaczej.

To było po prostu nie do pomyślenia. Przy wyjątkowych okazjach mówiono do niego „Andrew Martin”. Była to najdalej już posunięta grzeczność. (W dawniejszych czasach także ironia.) Nawet gdy był gościem honorowym na spotkaniach naukowych, nie oczekiwał niczego więcej ponad zwyczajowe „Andrew”. To tylko Sir, uległszy namowom Małej Miss, a potem dla własnej przyjemności, mówił o nim „Andrew Martin” jako członku rodziny, zamiast, jak początkowo, tylko „Andrew”.

Lecz mówić do niego „doktorze Martin”...?

— Czy coś się stało, sir?

— Nie... absolutnie... Może tylko oprócz...

— Tak, sir?

Mówiąc do niego „sir”, wcale nie ułatwiali sytuacji.

— Sir, co się stało?

Patrzyli na niego z troską, nic nie rozumiejąc.

— Czy zdają sobie państwo sprawę z tego, że jestem robotem?

— No, cóż. — Wymienili między sobą szybkie spojrzenia. — Tak, wiemy o tym.

— I mimo to tytułujecie mnie „doktor Martin”? I mówicie do mnie „sir”?

— Oczywiście, proszę pana. Pana praca, niezwykle osiągnięcia... Chodzi o okazanie szacunku. A pan jest Andrew Martinem, prawda?

— Andrew Martin, robot. Zgadza się. Ale na Ziemi nikt nie mówi do mnie „doktorze Martin” lub „sir”. Po prostu nie jestem do tego przyzwyczajony. Prawdę mówiąc, nigdy przedtem to się nie zdarzyło.

— Czy to pana w jakiś sposób obraża? — spytała kobieta.

— Zdumiewa mnie to. Na Ziemi...

— Ale to nie jest Ziemia — przerwał mu starszy z mężczyzn. — Proszę to zrozumieć. Jesteśmy innym społeczeństwem, bardziej otwartym, mniej formalnym.

— Mniej formalnym? I dlatego nazywacie robota „doktorem”? W takim wypadku spodziewałbym się raczej, że będziecie zwracać się do mnie po imieniu, a nie formalnie tytułować „doktorem”. Tym bardziej, że niczym sobie nie zasłużyłem na taki tytuł, ani nie prowadzę działalności, ze względu na którą...

Członkowie komitetu powitalnego wyglądali już na nieco mniej zakłopotanych, niż

przed chwilą.

— Myślę, że rozumiem, o co panu chodzi — wtrąciła się kobieta. — Mam na imię Sandra, to jest David, a to Carlos. My również nazywamy nasze roboty imieniem seryjnym, tak jak ludzie na Ziemi. Ale pan jest kimś niezwykłym. Jest pan sławnym Andrew Martinem, twórcą współczesnej protetyki, geniuszem, który tyle uczynił dla ludzkości. Mniej oficjalni możemy być między sobą, ale gdy mówię do pana „sir”, postępuję zgodnie z elementarnymi zasadami okazywania szacunku. Bardzo trudno mi nazywać pana, ot, tak po prostu „Andrew”.

— Mimo że jest to pana imię — wtrącił mężczyzna imieniem Carlos — i mimo że jest pan... że jest pan...

— Robotem? — dokończył za niego Andrew.

— Tak, robotem — powtórzył Carlos, odwracając wzrok.

— Poza tym — powiedział David — nie wygląda pan na robota. Wcale nie wygląda pan na robota, jeśli mam być szczery. Pan wie, że nim jest, ale..., ale i tak... — David również odwrócił wzrok.

Sytuacja znów zdawała się komplikować. Andrew współczuł tym ludziom, bo wiedział, jak trudno jest im rozmawiać z nim o takich sprawach.

— Bardzo was proszę — powiedział w końcu Andrew. — Może i nie wyglądam jak robot, ale właśnie nim jestem przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat i nie szokuje mnie, gdy ktoś mówi do mnie po imieniu. Proszę więc, zwracajcie się tak i wy. Tym bardziej, że takie są wasze obyczaje. Traktujmy się jak równy z równym. Jeśli ty jesteś Sandra, ty jesteś David, a ty Carlos, to ja jestem Andrew. W porządku? Jak równy z równym.

— No cóż, jeśli tak stawiasz sprawę, Andrew — powiedział Carlos i wyciągnął dłoń po raz drugi.

Po tej rozmowie wszystko szło już znacznie łatwiej. W trakcie pobytu Andrew na Księżycu jedni mówili do niego „Andrew”, inni „doktorze Martin”. Andrew zaczął się powoli do tego przyzwyczajać. Zauważył, iż rzeczywiście było to swobodniejsze społeczeństwo, nie związane tak wieloma społecznymi ograniczeniami jak to na Ziemi. Tu, co prawda, również istniał duży dystans między ludźmi a robotami, ale on sam, jako android, nie odczuwał tego bezpośrednio. Często też ludzie, z którymi pracował, w ogóle zapominali, że jest robotem. A same roboty na Księżycu zdawały się nie rozpoznawać w nim jednego z nich. Traktowały go z szacunkiem należnym istocie ludzkiej. Dla nich był on zawsze „doktorem Martinem”.

Jakżeż dziwne to było uczucie, gdy traktowano go jak człowieka. Przyzwyczajał się do tego powoli, ale wciąż miał z tym wiele kłopotów. To on sam poprosił Sandrę, Davida i Carlosa, by traktowali się jak równy z równym. Tyle że było to bardzo trudne, jeśli w ogóle możliwe. Jak mógł uważać się za równego im partnera, za równego istocie ludzkiej...? Czasami przerażało go to. Jak w ogóle mógł im to zaproponować?! Mogło to

brzmieć jak polecenie, a robot wydający polecenie człowiekowi...! Nie! To obraza majestatu. To skrajna arogancja.

Mógł mieć ciało androida, tak podobne do ludzkiego ciała. Mógł wciąż upodabniać się do ludzi, mógł też do nich mówić swobodnym tonem i proponować, by traktowali się jak równy z równym, ale to wszystko nie czyniło zeń istoty rzeczywiście im równej. Takie były fakty i nie mógł im zaprzeczyć, ani też ich zmienić.

W świetle prawa był robotem, niezależnie od tego, jak bardzo udoskonalonym, jak bardzo przypominającym istotę ludzką i jak bardzo genialnym. Był robotem i nie miał praw ludzkich. Nie miał obywatelstwa, nie mógł głosować. Zgodnie z prawem mógł w każdej chwili iść tam, dokąd chciał, ale tylko dlatego, że był wolnym robotem. Wiele osiągnął sam, w wielu sprawach pomogli mu ludzie z kancelarii Feingold i Charney; miał wielu przyjaciół, prowadził interesy i miał prawo płacić podatki. „Traktujmy się jak równy z równym”, powiedział do istot ludzkich. Szaleństwo! To, że mógł tak powiedzieć, nie oznacza jednak, że tak może być.

Poza chwilami, kiedy nie dręczył się takimi myślami, pobyt na Księżycu upływał przyjemnie. Był też niezwykle owocny.

Księżyc był wspaniałym, intelektualnie stymulującym miejscem. Ziemia była stara i skostniała, a społeczeństwo na Księżycu posiadało mnóstwo cech kształtującego się społeczeństwa pionierów, typowego dla pogranicza. Ludzie byli tu bardziej pełni wigoru, pomysłowi i kompetentni niż ci, z którymi miał często do czynienia na Ziemi. Od każdego z nich zależało życie i dobrobyt innych. Wciąż budowano nowe podziemne miasta, wciąż wszystko ulepszano. A pracowano tu szybko i efektywnie. Radykalne i niezwykle pomysły pojawiały się na początku tygodnia, a pod jego koniec już miały moc oficjalnego prawa.

Jeden z protetyków wyjaśnił mu to.

— To sprawa genetyki, Andrew. Społeczeństwo na Ziemi skostniało w swej rutynie. To jest społeczeństwo typu „wstajesz i robisz to i tamto”. Zawsze tak samo, zawsze to samo. A my, tutaj, żyjemy na skraju cywilizacji i codziennie, dosłownie każdego dnia, coś ulepszamy, coś wynajdujemy. Od tego zależy wszystko. A dzieje się tak dlatego, że to ludzie tacy jak my lecą w przestrzeń kosmiczną i zakładają nowe światy. Taki, który do tego się nie nadaje, zostaje tam, na Ziemi. Kto ma się uwstecznić, to się uwsteczni. A ci, co mają iść dalej, to pójdą. To sprawa genów. Przyszłość należy do przestrzeni kosmicznych. Za jakiś czas Ziemia będzie już tylko bagnem ze stojącą cuchnącą breją. A w najlepszym wypadku cichym, nic nie znaczącym w kosmosie zakątkiem.

— Naprawdę tak sądzisz? — zapytał Andrew.

— Tak. Naprawdę.

Andrew zaczął się zastanawiać, co się z nim stanie, gdy będzie żył przez całe dziesięciolecie i stulecie, jeśli prawdą jest to, co usłyszał. Pierwszą odpowiedzią, którą znalazł,

było to, że nie stanowi to dla niego różnicy, czy Ziemia będzie takim cichym uwstecznionym zakątkiem, czy też nie. Miał on teraz ciało do złudzenia przypominające ludzkie, a przecież było doskonalsze. Miał swoją pracę, w której odniósł tyle sukcesów. Po prostu będzie żył tak, jak żył dotychczas. Bez względu na to, co się dzieje dookoła.

Później jednak zaczął się zastanawiać nad pozostaniem na Księżycu, a nawet nad dalszymi podróżami w przestrzeń. Na Ziemi był tylko Andrew-robotem, który zmuszony był do ciągłej walki w sądzie, gdy tylko chciał uzyskać jakieś przywileje, do których, jak sądził, miał prawo z racji swojej inteligencji lub zasług. A tutaj...? A tutaj był kimś, do kogo zwracano się „doktorze Martin”. Tutaj mógł osiągnąć swój cel. Nikogo zdawało się to nie przerażać. Od pierwszej chwili pobytu na Księżycu miał wrażenie, że wręcz proponują mu, aby uczynił ten krok i spróbował przekroczyć granicę dzielącą robota od istoty ludzkiej.

To było bardzo kuszące.

W rzeczy samej, bardzo kuszące.

Miesiące mijały i zamieniały się w lata — upływał już trzeci rok jego pobytu na Księżycu. Andrew pozostał tu, pomagając tutejszym protetykom w adaptacji i udoskonalaniu sprzętu i samych organów protetycznych.

Było to dla niego wielkim wyzwaniem. On sam nie miał żadnych kłopotów w związku z mniejszą grawitacją, ale ludzie, którzy mieli implantowane sztuczne organy — opracowane na podstawie ziemskich norm — skarżyli się na wiele dolegliwości. Jednak Andrew doskonale sobie radził i jeden problem za drugim odchodził w zapomnienie.

Czasami jednak Andrew tęsknił bardzo do swej posiadłości nad Pacyfikiem. Nie tyle do samego wielkiego domu, lecz do piaszczystej plaży, sekwoi i dzikich urwisk. Lecz wciąż nie decydował się na wyjazd. Minał czwarty rok pobytu na Księżycu, potem piąty.

Pewnego dnia Andrew przebywał na powierzchni Księżyca i zobaczył Ziemię w całej swej krasie. Błyszczała jak drogocenny błękitny klejnot w czarnej koronie kosmosu. Była odległa, lecz tak subtelnie piękna, że Andrew nie mógł oderwać wzroku. To mój dom, pomyślał nagle. Świat ojczysty, kolebka ludzkości...

Andrew zapragnął wrócić. Wpierw uczucie to wydawało mu się nierealne. Robot nie może tęsknić do domu. A potem przyszło zrozumienie. Jego zadanie na Księżycu dobiegło końca. Ale wciąż czekało na niego zadanie tam, na Ziemi.

Andrew zarezerwował sobie miejsce na lot pod koniec miesiąca. A potem odwołał rezerwację i zamówił lot wcześniejszy.

Na Ziemi nic się nie zmieniło przez te pięć lat. Wydawała się taka cicha i spokojna w porównaniu z tętniącym życiem Księżycem. Wydawała się tylko zielonym cichym parkiem, w którym wiodła swe spokojne, niczym nie zakłócanie życie zdecentralizowana cywilizacja trzeciego tysiąclecia.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił Andrew, była wizyta w kancelarii Feingold i Charney, aby poinformować ich, że już wrócił.

Jeden z obecnych głównych udziałowców, Simon DeLong, pospieszył złożyć swe uszanowanie. W czasach Paula Charneya DeLong był bardzo młodym urzędnikiem. Obecnie jednak był doskonałym prawnikiem, a także kimś, komu nikt w kancelarii nie śmiałyby oponować. Był człowiekiem postawnym i barczystym. Włosy miał przystrzyżone na kształt tonsury, zgodnie z ostatnim krzykiem mody.

— Mówiono nam że wracasz, Andrew — powiedział DeLong z nutką niepewności w głosie, — jako że on również nie zwracał się do niego „panie Martin”. — Ale spodziewaliśmy się ciebie nie wcześniej, niż w przyszłym tygodniu.

— Spieszyło mi się — odparł krótko Andrew. Chciał od razu przejść do rzeczy. — Na Księżycu, Simon, pracowałem w ekipie naukowców złożonej z dwudziestu ludzi. Byłem ich przełożonym. Wydawałem polecenia i nikt nie kwestionował mojego autorytetu. Wielu z nich mówiło do mnie „doktorze Martin” i traktowano mnie z najwyższym szacunkiem. Tamtejsze roboty traktowały mnie tak, jakbym był człowiekiem. Przez cały czas pobytu na Księżycu czułem się w istocie jak człowiek.

DeLong milczał przez chwilę, a potem powiedział ostrożnie:

— Musiało to być dla ciebie niezwykłym doświadczeniem, Andrew.

— Owszem, było to niezwykłe. Ale całkiem miłe, Simon. Nawet bardzo miłe.

— Jestem tego pewien. To bardzo interesujące, Andrew.

— A teraz jestem na Ziemi — powiedział ostrym tonem Andrew — i znów jestem robotem. Nawet nie obywatelem drugiej kategorii, w ogóle żadnym obywatelem, Simon. Lecz jeśli mogłem być traktowany jak człowiek tam, to dlaczego nie tutaj?

— Ależ jesteś tu traktowany jak człowiek, mój drogi Andrew. Masz wspaniały dom, a prawo do niego sygnowane jest twoim imieniem i nazwiskiem. Jesteś szefem wielkiego i wspaniale prosperującego laboratorium naukowego. Twoje dochody oszołomiłyby niejednego człowieka, nikt też nigdy nie kwestionuje twojego prawa do nich. Gdy tylko zjawiasz się u Feingolda i Charneya, główny udziałowiec Charneya natychmiast przybiega złożyć wyrazy szacunku i powitać cię. Jak zresztą to właśnie widać. Pod każdym względem jesteś, de facto, traktowany jak człowiek. Czego jeszcze więcej mógłbyś pragnąć?

— Być człowiekiem de facto to za mało. Nie chcę być tylko traktowany jak człowiek. Chcę, aby mi przyznano formalny status istoty ludzkiej.

DeLong był tylko trochę zaskoczony.

— Hmm, no tak, rozumiem.

— Czy rzeczywiście, Simon?

— Oczywiście. Czy sądzisz, że nie znam historii Andrew Martina od podszewki? Wiele lat temu Paul Charney przekopywał się ze mną przez akta twojej sprawy. Pokazy-

wał mi wszystko, krok po kroku: twoje początki jako metalowego robota NDR-113, aż po czasy twojej przemiany w androida. Wiem też o wszystkich twoich modyfikacjach. Znam sprawę uzyskania wolności i innych praw cywilnych. Byłbym głupcem, Andrew, gdybym nie zorientował się, o co ci od samego początku chodzi.

— Być może nie od samego początku, Simon. Były czasy, gdy nie byłem nawet świadomy wszystkich możliwości mojego mózgu. Ale dziś nie zaprzeczę. Tak. Chcę mieć status istoty ludzkiej, status, do którego jestem uprawniony.

— Uprawniony?

— Tak, uprawniony.

DeLong zmarszczył czoło i zacisnął usta.

— Uprawniony — powtórzył. — To już zupełnie inna sprawa, Andrew. Musimy... no cóż, fakty są takie, Andrew, że nie jest ważne, jak bardzo wyglądem zewnętrznym przypominasz człowieka, ani nawet jak bardzo jesteś inteligentny. Nie jesteś istotą ludzką.

— Na czym polega różnica? — spytał Andrew. — Moje ciało ma kształt ciała człowieka, a także organy — protetyczne, ale nie różniące się niczym od tych, które ma wielu ludzi. Jestem tak samo inteligentny jak wielu ludzi, a od wielu innych daleko więcej. Wniosłem swój wkład w kulturę człowieka na wiele sposobów, począwszy od dokonań artystycznych, a skończywszy na naukowych. Czego jeszcze potrzeba, by być człowiekiem?

— Przepraszam cię, Andrew, ale nie należysz do tej społeczności. Przypominasz człowieka, ale jesteś inny. Jesteś sztuczny.

— Wspaniale, Simon. A co powiesz o tych, którzy chodzą jeszcze po tym świecie tylko dlatego, że w ich ciałach mieszczą się wszystkie możliwe mechanizmy protetyczne, mojego zresztą autorstwa? Czy ci ludzie nie są sztuczni...? Przynajmniej częściowo?

— Częściowo...? Tak.

— Więc ja też jestem częściowo człowiekiem.

— A w jakiej części, Andrew? — oczy Simona DeLong błysnęły.

— Tutaj — powiedział Andrew i wskazał dłonią na głowę. — Mogę wydawać ci się czymś sztucznym, ale tam, gdzie to się liczy, jestem człowiekiem. I mogę być za takiego uważany. W dawnych czasach, gdy na naszej planecie było mnóstwo odseparowanych od siebie krajów, a każdy z nich rządził się swoimi prawami, możliwe jednak było dla Francuza stać się Anglikiem, a Japończyk mógł zostać Brazylijczykiem. Jeśli prawo tak orzekło, to tak było. I jeśli Japończyk czuł się Brazylijczykiem, to nim był. Tak samo może stać się teraz. Mogę się stać naturalizowanym człowiekiem w ten sam sposób, jak kiedyś ludzie stawiali się naturalizowanymi obywatelami kraju, z którego nie pochodzili.

— Dużo o tym myślałeś, prawda, Andrew?

— Owszem, dużo.

— Znakomite. Naprawdę, znakomity pomysł. Naturalizowany człowiek. W takim razie co z Trzema Prawami?

— A co ma być?

— Są integralną częścią twojego pozytronowego mózgu. Przecież nie muszę ci przypominać, że stawiają cię pod przymusem wykonywania każdego polecenia, które wyda ci człowiek. Żaden sąd na świecie nie ma takiej władzy, by je zneutralizować. Trzech Praw nie można usunąć z twojego mózgu, prawda?

— Absolutna prawda — odpowiedział Andrew.

— A więc muszą pozostać — mówił dalej Simon DeLong. — I będziesz musiał nadal być posłuszny poleceniom istot ludzkich. I nie możesz im wyrządzić żadnej krzywdy. A więc będziesz pod wpływem czegoś, czemu nie podlega żadna istota ludzka.

— Tak. — Andrew skinął głową. — Tak samo jak Japończyk ciągle miał skośne oczy, gdy był już Brazylijczykiem. Ale w świetle brazylijskiego prawa był Brazylijczykiem. I w świetle ludzkiego prawa będę człowiekiem mimo moich Trzech Praw.

— Ale sama ich obecność w twoim mózgu może już zdyskwalifikować cię jako...

— Nie, Simon. Dlaczego miałyby mnie zdyskwalifikować? Pierwsze Prawo mówi po prostu, że nie mogę skrzywdzić człowieka lub poprzez wstrzymanie się od działania pozwolić, by stała mu się krzywda. Czy ciebie nie obowiązują takie same zasady? Nie jesteś cywilizowaną osobą? Jediną różnicą jest to, że ja nie mam wyboru. Muszę być posłuszny tej zasadzie, podczas gdy człowiek może się zachować w niecywilizowany sposób, jeśli chce mieć do czynienia z policją. A potem Drugie Prawo: wymaga, abym był posłuszny człowiekowi. Ale nie nakazuje innym wydawać mi poleceń. A nawet jeśli ktoś wydałby mi polecenie, które byłoby sprzeczne z Prawem Pierwszym, to bym go nie wykonał. Poza tym gdyby przyznano mi status pełnoprawnego członka ludzkiej społeczności, to przecież nikt i tak nie wydawałby mi poleceń, o których wiedziałby, że są mi niemiłe. A więc okazałoby się to nawet zaletą tej mojej wady. Zresztą, pełno jest na świecie ludzi z różnymi wadami, a nikt nie twierdzi, że są przez to mniej ludzcy. A jeśli chodzi o Trzecie Prawo, które powstrzymuje mnie przed samoznisczeniem, to śmiem twierdzić, że nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie tego traktował jako przeszkody. A więc widzisz, Simon...

— Tak, Andrew, tak... Widzę. — DeLong śmiał się teraz szczerze. — Pokonałeś mnie, pobiłeś na łeb. Poddaję się. Jesteś wystarczająco ludzki, by oficjalnie na to zaślugać.

— A więc, jeśli Feingold i Charney poprowadzą...

— Nie tak prędko, Andrew, proszę. Właśnie obarczyłeś mnie ciężkim zadaniem. Ludzkie uprzedzenia nie znikną w ciągu jednej nocy. Będziesz miał potężnych przeciwników.

— Liczę się z tym. Ale już kiedyś pokonaliśmy potężnych przeciwników.

— Tak, wiem. Problem w tym, że tym razem będziemy mieli do czynienia z Legisla-

turą Światową, a nie Regionalną. Mamy doprowadzić do tego, by ogłoszono cię człowiekiem. Szczerze mówiąc, nie jestem zbytnim optymistą, jeśli o to chodzi.

— Płacę ci za to, byś był optymistą.

— Tak, oczywiście, Andrew.

— Dobrze więc. Postanowiliśmy, że to osiągniemy. Teraz tylko trzeba się zastanowić, jak to osiągnąć. Od czego zaczniemy, twoim zdaniem?

DeLong milczał tylko przez parę sekund. Potem powiedział:

— Dobrym początkiem byłoby, gdybyś porozmawiał z jakimś wpływowym członkiem Legislatury.

— Masz kogoś szczególnego na myśli?

— Być może przewodniczący Komitetu Nauki i Techniki byłby odpowiedni.

— Znakomity pomysł. Czy możesz mi zorganizować takie spotkanie, Simon?

— Jeśli chcesz. Ale nie potrzebujesz mnie w takiej sprawie. Ktoś tak szeroko znany i szanowany jak ty, Andrew, łatwo...

— Nie, ty to zorganizuj. — Andrew nawet nie zwrócił uwagi, że właśnie wydał polecenie istocie ludzkiej. Przywykł do tego na Księżycu. — Chcę, abyś mu dał do zrozumienia, że kancelaria Feingold i Charney jest całkowicie po mojej stronie.

— Dobrze więc...

— Całkowicie, Simon. W ciągu stu siedemdziesięciu trzech lat wnosilem, w taki czy inny sposób, wkład w rozwój tej firmy. Mógłbym nawet rzec, że gdyby nie moja praca i wkład, firma nie istniałaby dziś, a przynajmniej nie w tej kondycji. Kiedyś ludzie z tej firmy bardzo mi pomogli i dlatego zdecydowałem, że i ja im pomogę. Stąd, a także przez pewien sentyment, mój wkład w tę firmę. Ale teraz nie mam już wobec Feingolda i Charneya żadnego długu. Raczej jest odwrotnie, a ja zamierzam teraz ściągnąć te należności.

— Zrobię, co w mojej mocy — powiedział Simon DeLong.

ROZDZIAŁ 19

Przewodniczący Komitetu Nauki i Techniki przy Światowej Legislaturze pochodził z Regionu Wschodnioazjatyckiego. Była to kobieta: mała, filigranowa, prawie elf, ale zapewne o charakterze nie tak kruchym jak wygląd zewnętrzny. Nazywała się Chee Li-hsing. Jej przezroczyste szaty (które zakrywały tylko to, co zakryte być musiało) nadały jej wygląd spowitej w celofan błyskotki. Jej biuro znajdowało się na osiemdziesiątym czwartym piętrze gigantycznego wieżowca z zielonego szkła. Była to główna siedziba Światowej Legislatury, która mieściła się w Nowym Jorku. Sama zaś pani przewodnicząca, stojąc w swym ogromnym i wspaniałym biurze, wydawała się malutką i kruchą figurką. Ale z każdego jej gestu i ruchu emanowała siła i energia.

— Solidaryzuję się z pana pragnieniem, by zdobyć wszystkie prawa ludzkie, aczkolwiek nie jestem pewna, czy do końca je rozumiem. Jak pan zapewne wie, wiele razy w naszej historii zdarzało się tak, że całe narody pozbawiano tych praw i musiały one toczyć krwawe wojny, by je odzyskać. Ci ludzie poddawani byli najróżniejszego typu tyraniom i systemom totalitarnym. Często odmawiano im nawet elementarnego prawa do życia. Pan zaś cieszył się i nadal cieszy życiem długim i pełnym sukcesów. Bardzo wiele pan osiągnął i jak sądzę, wielu ludzi musi panu tych sukcesów zazdrościć. Proszę mi więc powiedzieć, jakich to praw pan pragnie, których jeszcze nie ma?

— Pragnę właśnie tak elementarnego i niezbywalnego prawa, jak prawo do życia i jego ochrony — odpowiedział Andrew. — Robot może zostać zdemontowany w każdej chwili.

— Istota ludzka może zostać stracona w każdej chwili — odparła Li-hsing.

— A kiedy to, jeśli wolno spytać, wykonano ostatnią egzekucję?

— Do czego pan... — zaczęła Li-hsing, ale urwała w pół zdania i wzruszyła ramionami. — To prawda, kary śmierci nie stosuje się już od dawna. Ale przez bardzo długi czas ją stosowano. I muszę powiedzieć, że nie widzę powodu, aby nie można jej przywrócić, choćby w przyszłym roku, jeśli zaszłaby taka konieczność... jeśli obywatele lub Legislatura uważaliby to za konieczne.

— W porządku. Możecie sobie wszyscy wrócić do obcinania głów lub sadzania na krześle elektrycznym, ale fakt pozostaje faktem, że od bardzo dawna żadna istota ludzka nie została w majestacie prawa skazana na śmierć. Od tak dawna, że nikt już tego nie pamięta. Nie słyszałem też o żadnych próbach nawoływania do przywrócenia takich egzekucji. A tymczasem nawet teraz — nawet w tym momencie i tutaj — mógłbym przestać funkcjonować z powodu jednego arbitralnie wypowiedzianego przez istotę ludzką słowa. Żadnej rozprawy, żadnego odwołania. Pani sama mogłaby wezwać strażników i powiedzieć: ten robot mi się nie podoba; proszę go zdemontować! I oni by mnie wzięli i zdemontowali, ot tak, po prostu.

— Przecież to niemożliwe!

— Zapewniam panią, że byłoby to całkowicie zgodne z prawem.

— Przecież jest pan szefem ogromnego przedsiębiorstwa, jest pan bogaty i szanowany... są przepisy. Nie mogłabym, ot tak, po prostu kazać tego zrobić.

— Być może. Być może też, że gdy byłoby już po wszystkim, moje przedsiębiorstwo zaskarżyłoby Legislaturę o spowodowanie strat związanych z moim demontażem. Ale ja pozostałbym wciąż zdemontowany, prawda? Jedyne prawo, które w pewien sposób chroni roboty, to prawo przynależności. Gdyby kazała pani bezpodstawnie zdemontować robota należącego do kogoś innego, to ten ktoś mógłby wtedy wnieść przeciw pani sprawę o odszkodowanie, a nawet dodatkową rekompensatę z powodu naruszenia dóbr osobistych. W porządku. W porządku jeśli jest się osobą, która ma prawo do odszkodowań. Ale być robotem, który został zdemontowany... No cóż, prawo nie nakazuje zmontować go ponownie, prawda? Czyż nie tak, pani przewodnicząca?

— To jest nic innego, jak *reductio ad absurdum* — odpowiedziała po chwili Li-hsing.
— Nikt nawet nie pomyślałby o... zdemontowaniu pana.

— Być może nie. Ale gdzie moja prawna i oficjalna ochrona przed tym, gdyby jednak ktoś o tym pomyślał? — spytał Andrew.

— Powtarzam raz jeszcze: *reductio ad absurdum*. Żyje pan od prawie dwustu lat, jak dobrze zrozumiałam. Niech mi pan powie: ile razy w ciągu tak długiego życia stanął pan w obliczu tego typu niebezpieczeństwa?

— W zasadzie raz. Uratowano mnie wtedy. Ale rozkaz demontażu już wydano.

— Trudno mi w to uwierzyć — powiedziała Chee Li-hsing.

— To było wiele lat temu. Miałem wtedy formę metalową i dopiero co uzyskałem wolność.

— A więc miałam rację... Nikt w dzisiejszych czasach nie ośmielił się pana tknąć.

— Ale w dzisiejszych czasach nie mam wcale lepszej ochrony prawnej niż wtedy. W świetle prawa wciąż pozostaję robotem. I jeśli tylko ktoś zechciałby mnie zdemontować, nie mam żadnej możliwości ochrony... — Andrew przerwał w pół zdania. Zauważył coś w oczach Li-hsing i zorientował się, że ta linia argumentowania do niczego go

nie doprowadzi. — No więc dobrze. Przypuszczalnie nikt nie zechciałby mnie skrzywdzić. Ale i tak... i tak jest to... — Andrew rozpaczliwie starał się stłumić drżenie głosu i błagalny ton, ale jego tak starannie zaprojektowane i wykonane środki emocjonalnego wyrazu tym razem obróciły się przeciw niemu. W końcu jednak poddał się.

— Pani przewodnicząca, chodzi po prostu o to, że ja bardzo chcę być człowiekiem! Pragnąłem tego wciąż bardziej i bardziej przez sześć pokoleń istnień ludzkich, gdy możliwości i zakres mojej świadomości stopniowo się powiększały i ukierunkowywały. Teraz odczuwam to jako nagłą potrzebę, której nie mogę opanować. Ona mnie przytłacza. Nie mogę znieść myśli o sobie jako o robocie.

Chee Li-hsing patrzyła uważnie na Andrew swymi czarnymi oczami, w których przez moment błysnęło współczucie.

— Więc to po prostu tak — odezwała się po chwili. Po prostu...

— Po prostu?

— Naturalne pragnienie przynależności do społeczności. Pragnienie przynależności do rasy ludzkiej... nieważne, jak bardzo irracjonalne. To po prostu bardzo... ludzkie z twojej strony, że masz takie odczucia, Andrew.

— Dziękuję. — Andrew nie był pewien, czy mówiła to z przekonania, czy też chciała go potraktować protekcjonalnie. Miał nadzieję, że nie.

— Mogę przedstawić twoją sprawę w Legislaturze — powiedziała po chwili Li-hsing. — Przypuszczam, że Legislatura mogłaby, teoretycznie rzecz biorąc, ustanowić przepisy orzekające, że jesteś istotą ludzką. Sądzę też, że Legislatura ma nawet moc ustanowienia prawa, że kamienny posąg też jest istotą ludzką. Ale posąg i tak pozostanie kamiennym posągiem. A ty...

— Nie! To nie to samo. Posąg to rzecz nieożywiona. Posąg nigdy nie pragnąłby stać się czymś innym. Pani przewodnicząca, przecież ja...

— Oczywiście, że to nie to samo. Rozumiem to doskonale. Ale Legislatura może tego nie rozumieć. Nigdy nie ustanowiliby prawa, że posąg jest człowiekiem. Wątpię też, by ustanowili prawo orzekające, że robot jest istotą ludzką. I to niezależnie od tego, na jakie wyżyny elokwencji bym się wspięła. Nie zrozum mnie źle. Nie miałam najmniejszego zamiaru porównywać cię z posągiem. Ale chodzi tu o pewne... tabu, o wzorce kulturowe... stereotypy... Nie muszę ci chyba udowadniać, jak wiele jest w naszym społeczeństwie lęków i uprzedzeń w stosunku do robotów... Było tak zresztą od samego początku, gdy skonstruowano pierwszego robota. A nawet jeszcze wcześniej. Nigdy w historii ludzkości, Andrew Martinie, nie było niczego bardziej kontrowersyjnego niż robot.

— I te uprzedzenia są tak samo silne dzisiaj?

— Tak, nawet dzisiaj. Jak chyba musi ci być wiadomo. I dlatego sądzą, że Legislatura nie zechce się przychylić do twojej prośby. Wielu z nas zdaje sobie sprawę z tego, że wielokrotnie już zasłużyłeś sobie na miano człowieka. Ale polityczne konsekwencje tego

niepożądanego precedensu...

— Niepożądanego!? — wykrzyknął Andrew. — Dlaczego niepożądanego? Jeśli jestem takim dobroczyńcą ludzkości...

— Tak. Ale jesteś robotem. Już słyszę te histeryczne wrzaski: „Dajcie jednemu robotowi status człowieka, a zaraz tu się zbiegną następne i wtedy co zrobimy?” Sam wiesz, że tak by było.

— Nie — powiedział Andrew. — To nie tak. Wiele lat temu poszedłem do sądu, jeszcze nie było cię na świecie, i ogłoszono wtedy, że jestem wolnym robotem. Podnoszono wtedy te same wrzaski sprzeciwu. Ale byliśmy w stanie je odeprzeć. I proszę. Nadal jestem jedynym wolnym robotem na świecie. Żaden inny robot nie posiada takiego statusu i żaden o to nigdy nie prosił. I żaden nigdy nie będzie. Jestem niepowtarzalny, pani przewodnicząca. Drugiego takiego jak ja nigdy nie będzie. Jeśli mi pani nie wierzy, to proszę zapytać szefa Amerykańskich Robotów i Mechanicznych Ludzi. On pani powie, że już nigdy nie pozwoli sobie na zbudowanie robota mojego typu; takiego inteligentnego, o szerokim zakresie umiejętności i wysokim stopniu skomplikowania... i tak kłopotliwego jak ja.

— „Nigdy” to bardzo długi czas, Andrew. A może wolisz, bym mówiła do ciebie „panie Martin”? Jeśli chcesz, to będę. Wiesz o tym. Ja sama z przyjemnością pasuję cię na człowieka. Ale członkowie Legislatury nie zechcą ustanowić takiego precedensu, choćbyś dawał im nie wiem jakie gwarancje, że jesteś, i będziesz, unikatowy. Panie Martin, ma pan moje gorące poparcie i zapewnienie, że rozumiem wszystko, co pan dzisiaj powiedział. Ale nie mogę panu zaoferować żadnej konkretnej pomocy. Przykro mi.

— Nie może pani? Zupełnie nic?

Chee Li-hsing usiadła, westchnęła i zamyśliła się. Milczała parę chwil, po czym spojrzała Andrew prosto w oczy.

— Jedyne co mogę panu oferować, panie Martin, to przyjacielskie ostrzeżenie. Pcha się pan w wielkie niebezpieczeństwo, wysuwając takie żądania. Musi pan na to spojrzeć z szerszego punktu widzenia. Bo gdy sprawy zajdą za daleko, to komuś rzeczywiście może przyjść do głowy pomysł, jak pan powiedział, demontażu. Proszę to zrozumieć; oni nie cofną się przed niczym, bo wysuwając takie żądania, niezmiernie pan komplikuje sytuację. Robot tak niezwykły jak ty, wzbudza nie tylko podziw. Wielu ludzi może być autentycznie przerażonych. I to zarówno opinia publiczna, jak i członkowie Legislatury. To może się stać dużym problemem politycznym, moralnym, społecznym... i nie wiadomo jakim jeszcze. W takiej sytuacji pozbycie się ciebie będzie najprostszym rozwiązaniem. Rozważ to, proszę, zanim podejmiesz dalsze kroki.

— Czy nikt nie będzie pamiętał — mówił cicho Andrew — o technice protetycznej, która pozwala, choćby i członkom Legislatury, żyć i piastować od dziesięcioleci swe stanowiska, gdy od dawna już powinni leżeć w grobach? I która prawie w całości jest

moim osiągnięciem?

— Może to i okrutne, co powiem, ale nie będą pamiętać. A jeśli będą, to tylko po to, by obrócić to przeciwko tobie, a nie na twoją korzyść. Czy słyszałeś kiedyś takie powiedzenie: „żaden dobry uczynek nie ujdzie ci płazem”?

Andrew wzruszył ramionami i pokręcił głową.

— Przecież to bez sensu.

— Dla ciebie tak. Ciągłe jesteś jeszcze na bakier z naszymi ludzkimi paradoksami, czyż nie? Ale chodzi mi tu o to, że ludzie robiąc coś, zawsze oczekują czegoś w zamian, chociaż czasami wychodzą z tego takie paradoksy jak ten. A ponieważ tak robią, to również myślą tymi samymi kategoriami.

— W jaki sposób odnosi się to do mnie? — zapytał Andrew.

— W taki, że powiedzą, iż stworzyłeś protetykę głównie dla swoich celów. Padnie argument, że cała ta technika została udoskonalona po to, by stać się częścią twojej kampanii, mającej na celu zrobotyzowanie ludzi lub uczłowieczenie robotów.

— Nie jestem w stanie pojąć takiej linii rozumowania.

— Wiem, że nie jesteś. Bo wciąż jesteś istotą myślącą przede wszystkim kategoriami logiki i kontroluje to twój pozytronowy mózg. Nie ma, o ile mi wiadomo, technicznych możliwości, by uczynić twój sposób myślenia tak dziwacznym i niekonsekwentnym — z logicznego punktu widzenia — jakim jest często nasz sposób myślenia. Prawdziwa natura absurdu jest poza twoim zasięgiem. Nie traktuj tego jako krytykę lecz jako proste stwierdzenie faktu. W wielu zasadniczych aspektach jest pan bardzo ludzki, panie Martin. Ale daleko panu jeszcze do pełnego zrozumienia, jak irracjonalne, absurdalne i niebezpieczne mogą być istoty ludzkie, gdy zagrożone są ich fundamentalne prawa.

— Ale jeśli ich fundamentalne prawa są zagrożone, to powinni postępować, moim zdaniem, jak najbardziej racjonalnie i logicznie. Tylko wtedy można...

— Nie, proszę, Andrew. Nie rozmawiajmy o tym. Nie ma sposobu, abym mogła ci to wyjaśnić. Mogę cię tylko prosić, byś zrozumiał istotę tego, co mówię. Po prostu w to uwierz, jeśli to pojęcie coś dla ciebie znaczy. Nigdy nie byłeś obiektem ataku w walce politycznej, prawda?

— Sądzę, że nie.

— Wiedziałby pan o tym, panie Martin, gdyby pan był. No cóż, teraz pan będzie. Jeśli wystąpi pan ze swoją kampanią na rzecz ogłoszenia pana człowiekiem, to stanie się pan obiektem takich oszczerstw, pomówień i bezpardonowych ataków, że ani pan, ani ja, nie będziemy mogli ich odeprzeć. Nie mówiąc już o tym, że nie zasługujemy na nie. Ale wiele milionów ludzi uwierzy w te brednie, uwierzy w każde słowo. Choćby tylko dlatego, że będą chcieli uwierzyć. Panie Martin, niech pan przyjmie moją radę. Niech pan po prostu zaakceptuje warunki, w których pan obecnie żyje. Proszę się z tym pogodzić. To, co chce pan rozpętać, to istne szaleństwo.

— Naprawdę pani tak sądzi?

— Tak. Naprawdę tak sądzę. Takie są fakty, a moje osobiste zrozumienie pana pragnień nie ma tu żadnego znaczenia.

Chee Li-hsing wstała, wyszła zza biurka i podeszła do wielkiej zielonej tafli okna. Stała tak, obrócona plecami do Andrew, a wpadające światło obrysowywało jej filigranową sylwetkę. Owinięta w swe przejrzyste szaty, wydawała się Andrew malutka i drobna jak dziecko lub jak lalka.

Patrzył przez chwilę na Li-hsing w milczeniu. Potem powiedział cicho:

— Czy jeśli zdecyduję się jednak walczyć o swoje człowieczeństwo — pomimo tego, co mi pani dziś powiedziała — to czy... czy stanie pani po mojej stronie?

Dalej patrzyła przez okno. Andrew przyglądał się jej długim ciemnym włosom opadającym na zgrabne plecy, ramionom i całej drobnej sylwetce. Bardzo przypomina lalkę, pomyślał. Ale w tej samej chwili zdał sobie sprawę z tego, co przez cały czas czuł; że przewodnicząca Komitetu Nauki i Techniki przy Światowej Legislaturze nie ma nic z owej lalki. Że jest to kobieta niezwykle silna, twarda, mądra i... rozumiejąca go.

Li-hsing odwróciła się po chwili i powiedziała:

— Tak. Stanę po twojej stronie...

— Dziękuję.

— ...lecz tylko tak długo — mówiła dalej — jak będzie to dla mnie możliwe. Musisz zrozumieć jedno: w momencie, gdy poparcie dla ciebie stanie się zagrożeniem dla mnie, dla mojej kariery politycznej, będę musiała cię opuścić. Ta sprawa nie jest dla mnie czymś, w co do końca wierzę. Rozumiem cię, Andrew, współczuję ci, ale nie porzucę dla twojej sprawy mojej kariery. Staram się być z tobą szczerą.

— Jestem za to bardzo wdzięczny i o nic więcej nie śmiem prosić.

— I rzeczywiście chcesz walczyć? — spytała.

— Tak, tak. Chcę. Będę walczył do samego końca, bez względu na konsekwencje. I będę liczył na twą pomoc tak długo, jak będziesz mogła mi ją ofiarować.

ROZDZIAŁ 20

Nie była to bezpośrednia walka. Andrew dał Simonowi DeLong wskazówki co do ogólnej strategii i zgodził się z zaproponowaną taktyką; ale to DeLong, chłodno i profesjonalnie, nakreślił odpowiednie zasady postępowania. Według niego z całą pewnością kampania będzie wieloetapowa i powolna. DeLong zalecał więc cierpliwość.

— Akurat tego mam pod dostatkiem — odburknął Andrew ponuro.

Kancelaria Feingold i Charney rozpoczęła więc kampanię i kroczyła swymi wytyczonymi ścieżkami.

Niejaki Roger Hennessey z San Francisco, który otrzymał przed siedmioma laty protetyczne serce Martina, świadczył kancelarii usługi sanitarno-porządkowe. Pracownicy jego firmy byli w kancelarii sprzątacami, dozorcami i portierami. Nagle jednak kancelaria przestała płacić honoraria z tytułu owych usług. Ponieważ konto było pełne, Hennessey przez pewien czas nie reagował. Ale gdy minęło pięć miesięcy, a pieniądze wciąż nie wpływały, znalazł chwilę czasu, by wpaść do kancelarii na pogawędkę z Simonem DeLong.

— Jestem pewien, że o tym wiesz, Simon, ale w waszej księgowości dzieje się ostatnio coś niedobrego. Chodzi mi o to, że moje faktury leżą tu sobie od grudnia, a tymczasem mamy czerwiec i...

— Tak, wiem o tym.

— ...to niepodobne do firmy Feingold i Charney, aby czyjeś konto... — Hennessey urwał raptownie i zamrugął. — Co powiedziałeś? Wiesz o tym?

— Tak. Na twoje konto nic od nas nie wpływa z mojego polecenia, jeśli chodzi o ścisłość.

— Albo ja tracę słuch, albo ty zmysły, Simon — powiedział Hennessey, ciągle mrugając oczami ze zdumienia. — Czy rzeczywiście powiedziałeś, że celowo wstrzymałeś przelew?

— Zgadza się.

— Na miłość boską, dlaczego?

— Ponieważ nie chcemy już ci płacić.

— Co masz na myśli, mówiąc, że nie chcecie już mi płacić? Czy wiesz, przez ile lat moje roboty służą w tej kancelarii, Simon? Czy kiedykolwiek miałeś jakiś powód, by narzekać na jakość naszych usług?

— Nigdy. I nadal zamierzamy korzystać z waszych usług, tak jak przedtem. Ale już nie będziemy więcej płacić, Roger.

Hennessey nie mógł się otrząsnąć z szoku.

— Zupełnie postradałeś zmysły, wiesz? Siedzisz tu i wygadujesz mi takie bzdury prosto w twarz. Zdajesz sobie chyba sprawę, że to brzmi absurdalnie... To kompletne wariactwo. Wiesz, co mówisz? Co się z tobą dzieje, człowieku? Na wszystkich bogów naszej zielonej Ziemi, jak możesz tak gadać?

DeLong uśmiechnął się.

— Jest ku temu całkiem dobry powód.

— Ale jaki, jeśli oczywiście wolno spytać?

— Nie będziemy ci już więcej płacić, bo nie musimy. Zdecydowaliśmy, że twój kontrakt z nami jest nieważny. Więc jeśli twoje roboty nadal będą tu przychodziły, to będą pracować za darmo, Roger. Jeśli ci się to nie podoba, to zaskarż nas.

— Co!? Co ty...?! — krzyknął Hennessey i cały się zaczerwienił. — Przecież to jest coraz bardziej poplątane. Pracować za darmo? I zaległa płaca też zatrzymana...? Ludzie, przecież jesteście prawnikami! Jak możecie pozwalać sobie na wygadywanie tak pochranionych kawałków? Nieważny kontrakt? A niby dlaczego, do cholery?

— Ponieważ jesteś robotem, Roger. Jest tylko jeden robot na świecie, który na prawo zawierać wiążące kontrakty — nazywa się Andrew Martin. Reszta z was, ponieważ nie jesteście wolnymi robotami, nie ma prawa zawierać...

Hennessey zbladł; cała krew odpłynęła mu z twarzy. Spojrzał na DeLonga, po chwili znów się zarumienił i zerwał się z krzesła.

— Czekaj no... Ty wariacie! Czekaj no! Co ty do cholery wygadujesz? Robot!? Ja!? Teraz już wiem, że ci odbiło. — Hennessey zerwał koszulę z piersi, by pokazać swe bujne owłosienie. — Czy to jest pierś robota!? No! Jest czy nie? — wrzasnął z całych sił i uszczypnął swe obfite ciało. — Czy to jest mięcho robota!? No, Simon! Niech cię cholera... Nie wiem, o co tu chodzi, ale jeśli ci się wydaje, że możesz tu sobie tak siedzieć i uskutecznić swoje perwersyjne przyjemności, to się mylisz. Zaskarżę was, ludzie! Zaskarżę jak nic, jak stąd do Marsa i z powrotem. A niech to... Dopilnuję tego...

DeLong śmiał się; najpierw cicho, a potem coraz głośniej.

Hennessey urwał w pół zdania.

— Co cię tak rozbawiło, Simon? — zapytał zimno.

— Przepraszam. Nie powinienem się śmiać. Jestem ci winien gorące przeprosiny za to, że to tak długo trwało.

— No myślę. Cholera, nie wiedziałem, że prawnicy mają takie pokręcone poczucie humoru. To, co żeś tu odstawił...

— To nie żart, Roger. Naprawdę wstrzymamy wszelkie przelewy na twoje konto. Chcemy, żebyś nas podał do sądu. A naszym argumentem istotnie będzie to, że jesteś robotem i że musimy w związku z tym zerwać nasz kontrakt.

— Chwileczkę, przecież ty powtarzasz...

— ... i będziemy bronić naszego stanowiska do samego końca.

— Naprawdę chcecie to zrobić?

— Ale zamierzamy przegrać tę sprawę — mówił dalej spokojnie DeLong. — A kiedy już ją przegramy, to nie tylko spłacimy wszystkie zaległości razem z odsetkami, lecz także popłacimy wszystkie twoje rachunki i dodamy niebagatelną premię. Zrekompensujemy ci wszystkie kłopoty, które będziesz miał z naszego powodu.

Hennessey poprawił rozchełstane ubranie i usiadł z powrotem przy biurku DeLonga. Patrzył na niego przez moment i kręcił głową.

— Naprawdę bardzo mi przykro, Simon, że to się stało. Byłeś dość fajnym facetem. A teraz... wariat. Takie nieszczęście...

— Wcale nie. Jestem tak samo przytomny i normalny jak zawsze.

— Ach, tak ci się wydaje...?

— Nie. Jestem w pełni przy zdrowych zmysłach.

— W takim razie może zechciałbyś mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

— Obawiam się, że nie możemy teraz odkrywać naszych kart. Nawet przed tobą, Roger. Powiem ci jednak, że naprawdę istnieje zasadniczy powód, dla którego to wszystko robimy, a który zrozumiesz dopiero później. Mam też nadzieję, że będziesz z nami współpracować, nawet w tak zwane ciemno... Choćby przez wzgląd na naszą długą znajomość, Roger. Znasz nas, nie zawieziemy cię. Bądź z nami, a na pewno na tym nie stracisz.

Hennessey przytaknął z ulgą.

— Czyli to wszystko to jakiś manewr taktyczny, tak?

— Myślę, że możesz tak to nazwać.

— Ale nie powiesz mi, o co chodzi?

— Nie, nie teraz. To by za bardzo trąciło wciąganiem cię w konspirację.

— Ale przecież właśnie mnie wciągasz w konspirację!

DeLong zaśmiał się krótko i mrugnął do niego.

— Doprawdy? Jedyne, co robimy, to odmawiamy płacenia twoich należności. Zaufaj nam, Roger. Nie stracisz na tym. Masz moje słowo.

— No cóż — chrząknął niepewnie Hennessey.

Należności Hennessey'a ciągle nie wpływały. Trzy miesiące później powiadomił więc kancelarię Feingold i Charney, że dłużej nie zgadza się na taką sytuację. Zerwał umo-

wę na usługi w kancelarii i zaskarżył ją o niepłacenie zaległych należności. Kancelaria zaś wynajęła inną firmę świadczącą usługi prawnicze i zawiadomiła sąd, że będzie bronić swego stanowiska.

Kiedy doszło już do rozprawy Hennessey przeciw kancelarii Feingold i Charney, ta ostatnia posłała do boju jednego ze swoich najmłodszych pracowników, który stwierdził po prostu, że zważywszy na to, iż Roger Hennessey jest robotem, nie może otrzymywać wynagrodzenia z tytułu świadczonych usług.

— Robot Hennessey — kontynuował prawnik — dalej wysyłał do kancelarii swoją ekipę złożoną z innych robotów, choć przecież kancelaria Feingold i Charney wcale go o to nie prosiła. Wobec tego nie uważamy za słuszne — dodał — by opłata za nie zamówione usługi była konieczna, pomijając już to, że Hennessey jest robotem i nie ma prawa zawierać żadnych kontraktów. A roboty nie mają żadnych praw publicznych i nie mogą nikogo oskarżać. Może zrobić to jedynie właściciel, ale nie one same.

— Ale mój klient nie jest robotem — wybuchnął adwokat Hennesseya. — To jest jasne jak słońce na niebie. Jest takim samym człowiekiem jak my wszyscy.

— Pana klient — odparł człowiek Feingolda i Charneya — został wyposażony w protetyczne, czyli sztuczne serce, czyż nie?

— No, prawdopodobnie tak. Muszę się jednak upewnić. Ale co to ma do rzeczy... Jaki to może mieć związek...

— Ma związek, zapewniam pana. Z należnym szacunkiem, proszę wysoki sąd o odniesienie się do tego punktu.

Sędzia spojrział na Hennesseya.

— A więc, panie Hennessey?

— Mam protetyczną tykawkę, jasne. Ale co...

— Nasze stanowisko w tej kwestii jest następujące — wtrącił szybko człowiek z kancelarii Feingold i Charney. — Obecność sztucznego mechanizmu w ciele pana Hennesseya całkowicie zmienia jego oficjalny status. Można tu argumentować, że byłby on już dzisiaj martwy, gdyby nie sztuczny, roboci komponent w jego ciele. Chcemy więc podkreślić, że częściowo protetyczny pan Hennessey jest w istocie robotem, i to od kilku lat. Dlatego też kontrakt, który zawieraliśmy z człowiekiem, przestał obowiązywać, gdy ten pan uzyskał status robota.

— Więc to tak!? — zachnął się Hennessey. — A niech mnie kule biją! Że to niby serce czyni mnie robotem, tak? Dobrze sobie. Tak mówią? Naprawdę tak twierdzą? Ha, dobre sobie...! — Roześmiał się na cały głos.

Na sali sądowej podniosła się ogromna wrzawa. Sędzia musiał przez parę minut uspokajać zebranych, ale nikt go nie słuchał. W końcu jednak jego głos dotarł do wszystkich. Sprawę rozwiązano na korzyść powoda. Pan Roger Hennessey, którego sąd uznał niewątpliwie za człowieka, ma prawo do pobierania opłat z tytułu świadczonych

usług, a także do należnych odsetek za zwłokę.

Kancelaria Feingold i Charney odwołała się od tej decyzji.

Na wyższych szczeblach rozprawa przybierała coraz bardziej charakter rozważań semantyczno-filozoficznych. Powoływano ekspertów, wysłuchiowano opinii wielu autorytetów. Rozważano aspekty naukowe i teologiczne.

Werdykt na korzyść Hennesseya utrzymano w mocy.

Kancelaria Feingold i Charney ponownie odwołała się od tej decyzji. Walczyli z godną podziwu zawziętością i profesjonalizmem, ale przegrywali na każdym szczeblu. Za każdym też razem rozprawy sądowe coraz bardziej skupiały się nie na zasadniczym i pierwotnym aspekcie, a mianowicie na tym, czy Hennesseyowi należą się pieniądze, lecz na definicji istoty ludzkiej. Na każdym też szczeblu starano się rozszerzyć zakres tego pojęcia.

Mijały lata, płynęły miliony dolarów. Na koniec sprawa trafiła do Sądu Światowego.

Sąd Światowy zatwierdził werdykty wszystkich niższych instancji i utrzymał je w mocy. Odrzucił też wniosek, że mechanizmy protetyczne umieszczone w ludzkim ciele zmieniają status człowieka. To mózg, orzekł Sąd Światowy, jest najwyższym determinantem człowieczeństwa i najważniejszym jego wyznacznikiem. Użycie sztucznych lub pomocniczych urządzeń do podtrzymania lub przedłużenia życia mózgu w żaden sposób nie umniejsza człowieczeństwa tego mózgu. Nie do przyjęcia jest argument, że protetyki w ludzkim organizmie czynią zeń robota.

Kiedy ogłoszono ostateczny werdykt, Simon DeLong urządził tak uroczyste przyjęcie, jakby świętował własne zwycięstwo. Andrew był oczywiście na nim obecny.

— No cóż, Andrew. Możemy czuć się zupełnie usatysfakcjonowani. Osiągnęliśmy dwie rzeczy, o które nam chodziło. Przede wszystkim doprowadziliśmy do orzeczenia, że niezależnie od liczby protetyków w ciele, człowiek pozostaje człowiekiem, a to oznacza, że części zamienne nie stanowią o jego statusie. Po drugie, zaangażowaliśmy opinię publiczną w debatę nad definicją człowieczeństwa, i to w jak najszerszym zakresie tego pojęcia. Stało się tak dlatego, że nie istnieje ani jeden człowiek, który nie chciałby przedłużyć sobie życia właśnie dzięki urządzeniom protetycznym.

— Czy sądzisz więc, że Legislatura przyzna mi teraz status człowieka? — zapytał Andrew.

DeLong wyglądał na nieco zakłopotanego.

— Może tak, a może nie.

— Czy to wszystko, co możesz powiedzieć po tylu latach?

DeLong westchnął.

— Chciałbym być takim optymistą, jakim ty chcesz mnie widzieć. Ale prawdziwa bitwa jeszcze się nie zaczęła. Pozostaje jeden organ, który — według Sądu Światowego — stanowi zasadnicze kryterium człowieczeństwa.

— Umysł.

— Mózg, Andrew. Umysł jest pojęciem abstrakcyjnym, jak stwierdził Sąd, a mózg jest organem. Istoty ludzkie mają organiczny mózg komórkowy, podczas gdy roboty — platynowo-irydowy mózg pozytronowy, jeśli w ogóle go mają. Ty z pewnością taki masz. Nie, Andrew. Nie patrz tak na mnie. Wiem, o czym myślisz. Zapewniono mnie jednak, że nie znamy odpowiedniej technologii, by stworzyć duplikat mózgu, którego możliwości byłyby zbliżone do możliwości mózgu organicznego.

— Więc co teraz poczniemy?

— Będziemy próbować, oczywiście. Szanowna członkini Legislatury, pani Chee, będzie po naszej stronie. Tak samo zresztą, jak inni jej członkowie. Światowy Koordynator postąpi oczywiście tak, jak postanowi większość Legislatury.

— A czy mamy większość?

— Nie — odrzekł DeLong. — Daleko nam do tego. Ale ją zbierzemy, gdy opinia publiczna pozwoli na rozciągnięcie pojęcia człowieczeństwa aż na ciebie. Przyznaję, że nie są to wielkie szanse. Ale to właśnie ty jesteś tym człowiekiem, który dał im protetykę, od której teraz zależy ich życie.

— Człowiekiem — uśmiechnął się Andrew. — Czy tak właśnie powiedziałeś?

— Tak właśnie powiedziałem. Tak. Czy nie o to walczysz, Andrew?

— Oczywiście.

— A więc my także możemy już zacząć się do tego przyzwyczajać i zacząć myśleć w ten sposób. I próbować rozszerzyć ten sposób myślenia na resztę świata, aż wreszcie każdy się z tym pogodzi. To nie będzie łatwe, Andrew. Nic nam na razie nie przychodziło łatwo i nie ma powodów sądzić, że teraz będzie inaczej. Wiele rzeczy działa na naszą niekorzyść. Ale skoro nie chcesz się poddać, to wejdziemy w tę grę.

— Nie chcę się poddać.

ROZDZIAŁ 21

Członkini Legislatury Chee Li-hsing postarzała się znacznie od czasu, gdy Andrew rozmawiał z nią po raz pierwszy. Nie pozwalała już sobie na tak ekstrawaganckie stroje jak niegdyś. Nosiła teraz ubiory skromne, lecz eleganckie, najchętniej przypominające w kroju powłóczystą togę. Jej niegdyś tak ciemne włosy były teraz siwe i dużo krótsze.

Andrew natomiast nie zmienił się wcale. Jego twarz była jak zawsze gładka, a puszyste, miękkie włosy miały ten sam kasztanowy odcień. Gustował wciąż, oczywiście w granicach dobrego smaku, w luźnym stylu ubiorów, które nosił jakieś sto lat temu, to znaczy wówczas, gdy po raz pierwszy zakrył swe metalowe ciało.

Była już późna pora roku. Ostry zimowy wiatr hulał przez stare ulice Nowego Jorku. Tumany śniegu wzbijały się wysoko, aż pod niebo, powyżej ogromnego lśniącego wieżowca, w którym mieściła się Legislatura Światowa. Jej debaty ustały właśnie na jakiś czas z powodu zbliżających się świąt.

Ale dla Andrew walka nigdy się nie kończyła. Spory ciągnęły się w nieskończoność: rozeźleni i zakłopotani członkowie Legislatury próbowali rozpatrywać wszystkie aspekty sprawy, a rozdyktowana opinia publiczna nie mogła osiągnąć żadnego sensownego stanowiska, popadając w skrajności, ulegając emocjom i głęboko zakorzenionym uprzedzeniom.

Chee Li-hsing wycofała swój projekt ustawy, zmodyfikowała go znacznie i ponownie poddała pod dyskusję, lecz jeszcze nie wystąpiła z nową wersją na forum Legislatury.

— I co sądzisz? — pytał Andrew. — Przedstawisz swój znowelizowany projekt na następnej sesji?

— A co chciałbyś, żebym zrobiła?

— Wiesz, co bym chciał.

Li-hsing skinęła wolno głową.

— Mówiłam ci kiedyś, Andrew, że twoja sprawa nie jest moją sprawą i że może będę musiała zrezygnować z poparcia, jeśli miałoby to zaważyć na mojej karierze. No cóż, losy mojej kariery właśnie się ważą. A ja wciąż jestem po twojej stronie.

— Czy nadal sądzisz, że moja sprawa nie jest twoją sprawą?

— Nie. To już się stało moją sprawą. Nie mam żadnych wątpliwości, że jesteś człowiekiem, Andrew. Być może stworzonym własną ręką, ale i tak człowiekiem. Rozumiem też, że zaprzeczyć człowieczeństwu jednostki to tak samo, jak odebrać człowieczeństwo całemu narodowi, co wielokrotnie się zdarzyło w naszej ponurej przeszłości. Już nigdy więcej nie możemy do tego dopuścić. Ale i tak... nawet jeśli... — zawahała się przez moment.

— No dalej — zachęcał Andrew. — Teraz powiesz mi, że niezależnie od wszystkiego i tak musisz mnie opuścić. Czyż nie tak, Li-hsing?

— Nie powiedziałam tego. Ale musimy być realistami. Myślę, że zasłaliśmy tak daleko, jak to było możliwe.

— A więc nie przedstawiś zmodyfikowanego projektu...?

— Tego również nie powiedziałam. Zamierzam spróbować jeszcze przed świętami. Ale szczerze mówiąc, Andrew, nie możemy tego wygrać. Spójrz na liczby.

Chee Li-hsing wcisnęła przycisk i ekran na ścianie rozjarzył się chłodną bielą.

— Popatrz tutaj. Grupa po lewej stronie, oznaczona na zielono, to twoi stanowczy przeciwnicy; przeciwnicy jakiegokolwiek szerszego podejścia do definicji człowieczeństwa. To ponad czterdzieści procent Legislatury. Nieprzejednani, którzy do końca nie ustąpią. A ten segment, oznaczony na czerwono, to twoi zwolennicy: dwadzieścia osiem procent. Reszta jest niezdecydowana.

— Są oznaczeni na dwa różne kolory. Dlaczego?

— Żółta grupa to ci, którzy jeszcze nie podjęli decyzji, ale skłaniają się ku tobie. To dokładnie dwanaście i pół procent. Niebieski kolor oznacza tych, którzy prawdopodobnie będą przeciw tobie. Jest ich dziewiętnaście i pół procent.

— Rozumiem.

— Aby uzyskać większość, musielibyśmy pozyskać dosłownie każdego z żółtych i ponad połowę niebieskich, którzy będą prawdopodobnie głosować przeciwko tobie. Plus, oczywiście, utrzymać równe dwadzieścia osiem procent twoich dotychczasowych zwolenników. Nawet gdybyśmy zdołali pozyskać kilku twoich zagorzałych przeciwników, to i tak nie sądzę, byśmy wygrali w głosowaniu.

— Więc po co nawet kłopotać się przedstawianiem nowego projektu? — zapytał ponuro Andrew.

— Ponieważ jestem ci to winna. Jak widzisz, to się raczej nie uda, i obawiam się, że będzie to moja ostatnia próba. Nie dlatego, że zamierzam ustąpić z pola walki, absolutnie nie. Chodzi o to, że wówczas już nie będzie tu dla mnie miejsca. Wszystko, co teraz robię w twoim imieniu i dla ciebie, zostanie wykorzystane przeciwko mnie w następnych wyborach. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Stracę swój fotel i tyle.

— Wiem — rzekł Andrew. — I bardzo się tym martwię. Wiedziałaś już dawno temu,

że tak się stanie, prawda, Li-hsing? A jednak zostałeś ze mną. Dlaczego? Dlaczego... skoro powiedziałaś, że mnie zostawisz, gdy tylko twoja kariera będzie zagrożona? Dlaczego mnie nie zostawiłaś?

— Można przecież zmienić zdanie. Opuszczenie cię pociągnęłoby za sobą dużo wyższą cenę, niż byłabym skłonna zapłacić za jeszcze jedną kadencję. Jestem w Legislaturze prawie ćwierć wieku. Myślę, że to wystarczy.

— Ale jeśli ty mogłaś zmienić zdanie, to dlaczego nie mogą inni?

— Sprawiałam, że zmienili zdanie ci wszyscy, którzy kierują się rozumem. Reszta, a jest ich większość, co stwierdzam z przykrością, nigdy się nie zmieni. To sprawa ich głęboko zakorzonej antypatii.

— Ich? Czy też ludzi, którzy na nich głosowali?

— I tak, i tak. Część członków Legislatury, mniej lub bardziej racjonalnych, będzie głosować tak, jak oczekują tego ich wyborcy. Ale jest i taka część, u której te antypatie są czysto osobiste.

— Czy poleganie na emocjonalnej antypatii przystoi członkowi Legislatury?

— Och, Andrew...

— Tak... Jakie to naiwne z mojej strony...

— Naiwne to niewłaściwe słowo — powiedziała Chee Li-hsing. — Wiesz, że oni nigdy nie przyznają się, iż głosowali pod wpływem emocji. Powiedzą cokolwiek. Rzuca trochę ekonomii, trochę historii starożytnego Rzymu, wynajdą jakąś zapomnianą religię, cokolwiek. Wszystko, oprócz prawdy. Ale czy to ważne? To nie ma znaczenia. Ważne jest, jak będą głosować, a nie dlaczego.

— Wszystko więc sprowadza się do kwestii struktury mózgu, nie sądzisz?

— Chyba tak właśnie jest.

— Nie rozumiem, dlaczego to jest dla nich tak drażliwa sprawa — powiedział ostrożnie Andrew. — Przecież nie jest istotne, z czego zrobiony jest mózg. Ważne jest tylko to, jak ten mózg funkcjonuje... Jego wzory myślowe, czas reakcji, jego zdolności rozumowania i wnioskowania na podstawie doświadczeń. Dlaczego cała sprawa miałaby ograniczyć się do dyskusji nad wyższością komórek organicznych nad pozytronowymi? Czy nie można by raczej oprzeć się na kwestii funkcjonowania?

— Funkcjonowania? — zdziwiła się Li-hsing.

— Mój mózg potrafi robić wszystko to, co mózg człowieka, a wielu wypadkach nawet lepiej, szybciej, bardziej bezpośrednio i logicznie. I prawdopodobnie to ich właśnie denerwuje. No cóż, już za późno, bym ukrył swą inteligencję, jeśli właśnie o to chodzi. Ale czy trzeba upierać się przy tym, że ludzki mózg musi być zrobiony z komórek organicznych, aby był rzeczywiście ludzki? Czy nie możemy po prostu przyjąć, że mózg ludzki to coś — organicznego lub nie — co jest zdolne do osiągnięcia pewnego etapu myślowego?

— To nie przejdzie, Andrew — powiedziała Li-hsing.

— Nie przejdzie, ponieważ jeśli byśmy w ten sposób określili definicję mózgu ludzkiego, to wielu ludzi nie zmieściłoby się w przyjętych granicach, prawda? — zapytał gorzko Andrew.

— Andrew, Andrew! Posłuchaj mnie! Są ludzie tak zdeterminowani, by postawić barierę między sobą a robotami, że zrobią to za wszelką cenę. Choćby tylko po to, aby zaspokoić własne ego i dać do zrozumienia, że oni są prawdziwymi ludźmi, a roboty to istoty niższego rzędu. Przez ostatnie sto lat i tak udowodniłeś tym ludziom, jak bardzo się mylą. Uzyskałeś coś, co było przecież nie do pomyślenia w czasach, gdy robotyka stawiała pierwsze kroki. Ale teraz jesteś uwikłany w sprawę, której nie możesz wygrać. Masz ciało, które nie różni się prawie wcale od ludzkiego. Jesz, oddychasz, pocisz się. Bywasz w drogich restauracjach i zamawiasz wytworne dania, pijasz najlepsze wina. Nie potrafisz jednak zrozumieć, dlaczego to robisz. Pewnie tylko na pokaz.

— Tak, to też ma dla mnie znaczenie — odparł Andrew.

— Dobrze. Jest pewnie wielu innych ludzi, którzy również nie potrafią docenić win, które pijają. I pewnie jest wielu takich, którzy mają równie dużo sztucznych organów. Ale żaden z nich nie ma protetycznego mózgu. Nikt nie może go mieć. I tym zasadniczo różnisz się od ludzi. Twój mózg jest stworzony przez człowieka, a ich mózgi nie. Twój mózg został skonstruowany, ich mózgi powstały i rozwijały się w naturalny sposób. Oni się urodzili, ty zostałeś wyprodukowany. Dla każdego człowieka, który za wszelką cenę chce postawić barierę między sobą a robotami, takie różnice są jak stalowy mur. Na pięć kilometrów wysoki i na pięć kilometrów gruby.

— Nie mówisz mi niczego, o czym bym nie wiedział — stwierdził Andrew. — Mój mózg jest skonstruowany inaczej, to prawda. Ale funkcjonuje tak samo. Może jest inny objętościowo, ale nie jakościowo. To po prostu bardzo dobry mózg. Tak naprawdę nie chodzi przecież o różnice między komórkami organicznymi a pozytronowymi. Nie, Li-hsing, nie o to. Gdyby więc udało nam się przełamać jakąś wrodzoną antypatię do mojego robotycznego pochodzenia, to tajemnicza potrzeba postrzegania się kimś lepszym i wyższym po prostu...

— Ach, Andrew — westchnęła Li-hsing smutno. — Przez tyle lat nie zdołałeś zrozumieć jeszcze istoty ludzkiej. Biedny Andrew... Nie gniewaj się, proszę, za to, co powiem, ale w takich momentach przemawia przez ciebie robot.

— Przecież wiesz, jak niewiele z robota pozostało już we mnie.

— Ale trochę jeszcze pozostało.

— Trochę, tak. Lecz jeśli pozbędę się tego...

Chee Li-hsing spojrzała na niego z lękiem.

— O czym ty mówisz, Andrew?

— Nie wiem — odparł. — Mam pewien pomysł. Problem polega na tym, Li-hsing,

że mam ludzkie uczucia, które zamknięte są w umyśle robota. To jednak nie czyni mnie człowiekiem, lecz nieszczęśliwym robotem. Nawet po tym wszystkim, co zrobiono, by ulepszyć moje ciało robota, wciąż nie jestem człowiekiem. Ale można zrobić jeszcze jeden krok. Gdybym tylko potrafił się do tego zmusić... Gdybym tylko potrafił...

ROZDZIAŁ 22

Gdyby tylko potrafił się do tego zmusić...

I w końcu się udało.

Andrew poprosił Chee Li-hsing, by wstrzymała się jeszcze, nie przedstawiała zmodyfikowanego projektu ustawy i nie dawała go pod dyskusję i głosowanie. Andrew planował w najbliższej przyszłości pewne przedsięwzięcie, które mogło mieć znaczący wpływ na całość postępowania w jego sprawie. Nie chciał również dyskutować z nią o szczegółach samego projektu. Był on technicznie skomplikowany, a ona pewnie i tak by go nie zrozumiała. Nie chciał też tracić cennego czasu. Upierał się, że ów projekt uczyni go bardziej ludzkim. Według niego tylko to powinna wiedzieć. To uczyni go bardziej ludzkim.

Chee Li-hsing obiecała, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by dać mu wystarczająco dużo czasu na zrealizowanie jego projektu. Była jednak zaskoczona i zdziwiona.

Andrew podziękował jej i natychmiast przystąpił do rozmów z pewnym wysoko wyspecjalizowanym chirurgiem-robotem, którego sobie upatrzył. To była trudna rozmowa. Andrew zdał sobie sprawę, że opóźnia moment wyjaśnienia całej sprawy, chirurg zaś był coraz bardziej skonfundowany niezwykłą naturą problemu.

Przeszkodą było Pierwsze Prawo Robotyki; prawo, które zapobiegało możliwości wyrządzenia krzywdy istocie ludzkiej przez robota. W końcu Andrew musiał wyłożyć wszystkie karty na stół. Był to jedyny sposób, by uczynić możliwą operację, którą miał wykonać chirurg-robot. Andrew zaskoczył go, gdy ujawnił, że jest robotem.

— Nie sądzę, abym pana dobrze zrozumiał — powiedział chirurg. — Twierdzi pan, jakoby był robotem?

— Właśnie. Jestem robotem.

Twarz chirurga pozostała nieruchoma, ale w jego fotoelektrycznych oczach Andrew dostrzegł coś, co można było nazwać totalnym zaskoczeniem. Andrew wiedział, co dzieje się teraz w pozytronowym mózgu chirurga. Potrafił sobie doskonale wyobrazić tę szalejącą tam burzę potencjałów.

— Nie zamierzam w najmniejszym stopniu podawać w wątpliwość tego, co pan mówi — powiedział po chwili chirurg. — Proszę mi jednak pozwolić zauważyć, że w pana zewnętrznym wyglądzie nie ma niczego, co przypominałoby robota.

— Ma pan rację. Zmieniono mój wygląd zewnętrzny tak, aby imitował on doskonale wygląd człowieka. Ale to nie znaczy, że jestem człowiekiem. W rzeczy samej, doktorze, poniosłem w ostatnich latach ogromne wydatki i poświęciłem mnóstwo czasu, by uznano mnie za człowieka. Ale wszystko wskazuje na to, że pozostanę przy statusie robota.

— Nigdy bym nie pomyślał, sir.

— Zapewne.

Andrew nie wybrał tego chirurga ze względu na jego błyskotliwą osobowość czy też umiejętności radzenia sobie ze skomplikowanymi problemami społecznymi. Żaden z tych aspektów nie miał dla niego znaczenia. Dla niego liczyły się jedynie umiejętności chirurga, a także to, że jest robotem. Jedynie chirurg-robot nadawał się do tego, co planował Andrew. W tej sytuacji nie mógł zaufać żadnemu człowiekowi; ani ze względu na umiejętności, ani też — na ewentualne intencje. Zrobić to mógł jedynie robot.

I robot to zrobi. Andrew zamierzał tego dopilnować.

— Jak już panu powiedziałem, sir...

— Proszę tak do mnie nie mówić.

Robot zamilkł, zdumiony niepomierne, lecz po chwili mówił dalej.

— Jak już powiedziałem, panie Martin, dokonanie tego rodzaju operacji na istocie ludzkiej byłoby jaskrawym naruszeniem Pierwszego Prawa, a temu w żaden sposób bym nie podołał. Lecz jeśli jest pan, jak twierdzi, robotem, to nadal mamy pewien problem. Dokonanie operacji stanowiłoby naruszenie konstytucyjnych praw własności. Nie mogę wykonać takiej operacji, chyba że na bezpośredni rozkaz pana właściciela.

— Ja jestem swoim właścicielem — odparł Andrew. — Jestem wolnym robotem i mam dokumenty na potwierdzenie tego faktu.

— Wolny robot...?

— Proszę mnie posłuchać — przerwał mu Andrew. Dusił w sobie narastające uczucie gniewu, a w jego pozytronowym mózgu zaczynała się burza potencjałów. — Dość już tej pogawędki. Nie udaję, że jestem człowiekiem, co odkryłby pan podczas operacji. Możemy więc darować sobie dywagacje na temat Pierwszego Prawa. Działa tu natomiast Drugie Prawo. Jestem wolnym robotem, więc robi pan to, co każe. Nie sprzeciwi się pan moim życzeniom. Czy to jasne?

Andrew zawiesił na chwilę głos, po czym z całą surowością, której nauczył się przez te wszystkie lata, oznajmił:

— Rozkazuję panu zoperować mnie.

Czerwień fotoelektrycznych oczu robota przybladła pod wpływem wewnętrznego

konfliktu potencjałów. Przez chwilę chirurg nie mógł dać żadnej odpowiedzi.

Andrew wiedział, przez co musi teraz przechodzić. Chirurg miał przed sobą człowieka, który utrzymywał, że nie jest człowiekiem, lub robota, który twierdził, że ma nad nim władzę, jaką ma tylko człowiek nad robotem. W obu wypadkach pozytronowy mózg chirurga poddany był ogromnej sile wzajemnych sprzeczności.

Jeżeli miał przed sobą człowieka, to Pierwsze Prawo dominowało nad Drugim i chirurg nie mógł przyjąć zlecenia. Ale jeśli miał przed sobą robota, to czy Drugie Prawo miało tu zastosowanie? Co takiego było w Drugim Prawie, co pozwalałoby jednemu robotowi wydawać polecenia drugiemu, nawet jeśli ten pierwszy był wolnym robotem? A był to robot, który zaprzeczał, jakoby był istotą ludzką, a wyglądał zupełnie jak człowiek. Sytuacja wydawała się nie mieć logicznego rozwiązania. Dwojakość jej natury przytłaczała możliwości percepcyjne pozytronowego mózgu chirurga. Receptory wzrokowe krzyczały, że ma przed sobą człowieka, a umysł usiłował zaakceptować to, że jego gość jest robotem.

Istniało niebezpieczeństwo, że umysł chirurga-roboty nie podoła tym sprzecznościom. Andrew miał jednak nadzieję, że jego mózg trafi na odpowiednie rozwiązanie oparte na Drugim Prawie; dziwny gość, mimo że sam nie był człowiekiem na tyle, by powoływać się na ograniczenia Pierwszego Prawa, miał jednak na tyle ludzką osobowość, by żądać posłuszeństwa.

I to było najwyraźniej rozwiązaniem, które chirurg znalazł, aczkolwiek po długim czasie.

- Dobrze więc — powiedział w końcu, a w jego głosie słychać było znaczną ulgę.
- Zrobię to, o co pan mnie prosi.
- Znakomicie.
- Opłata nie będzie niska.
- Zaniepokoiłbym się, gdyby taka była — odparł Andrew.

ROZDZIAŁ 23

Sala operacyjna nie była tak imponująca, jak ta w korporacji Amerykańskie Roboty i Mechaniczni Ludzie, gdzie dokonywano usprawnień w dawnych latach. Andrew był jednak pewien, że jest należycie wyposażona, by sprostać zadaniu. Z podziwem przyglądał się urządzeniom laserowym, rzędom aparatury pomiarowej i kontrolnej, niezliczonym pajęczynom paneli i przewodów. Wszystko — instrumenty z chromowanej stali i stół operacyjny, i światła — oczekiwało na przyjęcie niezwykłego pacjenta.

Sam chirurg był niezwykle spokojny. Znakomicie poradził sobie z trudną sprawą sprzeczności dotyczących Andrew, a teraz był całkowicie skoncentrowany na czekającym go zadaniu. Andrew był bardziej pewien niż kiedykolwiek przedtem, że dokonał właściwego wyboru.

Jednak gdy nadszedł czas rozpoczęcia operacji, poczuł ukłucie niepokoju. Co będzie, jeśli coś pójdzie nie tak? A jeżeli po operacji okaże się, że jest niezdolny do wielu czynności? A jeśli przestanie funkcjonować na stole operacyjnym?

Nie. To nie miało znaczenia. Ta nie mogło się wydarzyć. Operacja musi się udać. Innego rozwiązania nie było.

Chirurg obserwował go uważnie.

— Jest pan gotowy? — zapytał.

— Całkowicie — odpowiedział Andrew. — Zaczynamy.

— Znakomicie — rzekł wolno chirurg. Jednym płynnym ruchem sięgnął po laserowy skalpel i ujął go w swą doskonale zaprojektowaną dłoń.

Andrew postanowił zachować przytomność przez cały czas trwania operacji. Nie mógł stracić ani jednej chwili. Ból nie miał dla niego znaczenia, a chciał mieć wszystko pod ciągłą kontrolą. Cała operacja, rzecz jasna, przebiegała zgodnie z jego instrukcjami. Chirurg nie mógł pozwolić sobie nawet na najmniejsze odstępstwa.

Andrew nie był jedynie przygotowany na zaskakującą słabość, która ogarnęła go po zabiegu.

Nigdy wcześniej nie odczuwał tego, co było jego udziałem w pierwszych godzinach

po operacji. Nawet wtedy, gdy przenieśli jego mózg z ciała robota do ciała androida, nie odczuwał nic podobnego.

Zamiast iść normalnie, słańiał się na nogach i potykał. Chwilami miał wrażenie, że podłoga unosi się do góry i za chwilę uderzy go w twarz. Palce drżały mu chwilami tak bardzo, że nie mógł nic utrzymać w ręku. Obrazy zamazywały się i tańczyły przed oczami, tak niegdyś wspaniałymi i niezawodnymi. Gdy próbował przypomnieć sobie czyjeś imię, natykał się na pustą, męczącą ciemność i dopiero po długiej chwili coś zaczynało w niej słabo świecić.

Spędził całe popołudnie, szukając w pamięci imienia i nazwiska pewnego człowieka, do którego mówił kiedyś: Sir. A potem, nagle, nazwisko przyszło samo: Gerald Martin. Później z kolei nie mógł przypomnieć sobie imienia starszej siostry Małej Miss. Zabrało mu to całe godziny, zanim Melissa Martin wyłoniła się nagle z mroków jego pamięci. Dwie godziny! A nie powinno było trwać nawet dwóch milisekund.

Mniej lub bardziej liczył się z możliwością takich zaburzeń, właściwie był ich nawet pewien, ale ich intensywność przeszła wszelkie oczekiwania. Fizyczna słabość była dla niego czymś zupełnie nowym. To samo dotyczyło słabej koordynacji, refleksu i dalekiego od doskonałości wzroku. A do tego jeszcze szwankująca pamięć. To było bardzo poniżające: czuć się tak niedoskonałym... tak człowieczym.

Nie.

Nie ma w tym nic poniżającego. To jest tak bardzo ludzkie — czuć się niedoskonałym. Tego przecież właśnie chciałem ponad wszystko, pomyślał. Być człowiekiem. A teraz nim jestem. Niedoskonałość... słabość... brak precyzji... To właśnie stanowi o istocie człowieka, o jego naturze. To właśnie prowadzi do klęsk, porażek i niepowodzeń.

Ty nigdy nie doznałeś porażki, powiedział do siebie Andrew. A teraz, owszem. Wiesz, co to jest. I niech tak będzie. Osiągnąłeś to, co chciałeś, i nie powinieneś teraz żałować.

Mijał dzień za dniem i wszystko miało się stopniowo ku lepszemu.

Stopniowo. Bardzo stopniowo.

Wpierw powróciły funkcje pamięci. Andrew z satysfakcją zauważył, że ma już pełen dostęp do swojej przeszłości.

Siedział teraz przed kominkiem w wielkim salonie domu, który kiedyś należał do Geralda Martina, i rozkoszował się całymi sekwencjami wspomnień. Fabryka, w której go wyprodukowano, przybycie do domu Martinów, Mała Miss i Miss spacerujące z nim po plaży, Sir i Pani przy stole w jadalni, drewniane rzeźby i meble, które wytwarzał; dyrektorzy Amerykańskich Robotów i Mechanicznych Ludzi, którzy przyszli go po raz pierwszy przetestować; dzień, w którym po raz pierwszy przyszedł tu Mały Sir; dzień, w którym po raz pierwszy zdecydował się założyć ubranie; ślub Małego Sira i narodziny Paula Charneya. Pamiętał nawet wydarzenia mniej przyjemne, jak choćby incydent z dwoma opryszkami, którzy chcieli go rozmontować, gdy szedł do biblioteki publicz-

nej. Pamiętał znacznie więcej... Prawie dwieście lat w pamięci...

Wszystko tam było, pamiętał prawie wszystko. Odetchnął z ulgą.

Podłoga zaprzestała prób uderzenia go w twarz, wzrok nie płatał już figłów, a ręce przestały się trząść. A kiedy szedł, nie bał się już zachwiania równowagi i upadku.

Pozostało jednak pewne uczucie słabości. Coś w rodzaju stałego zmęczenia, jak sobie tłumaczył. Czuł, że musi czasem usiąść i odpocząć.

Może była to tylko jego wyobraźnia. Chirurg twierdził, że proces powrotu do zdrowia przebiega znakomicie.

Andrew wiedział, że istnieje pewne zjawisko zwane hipochondrią, polegające na tym, że ktoś cierpi z powodu dolegliwości, których w istocie nie ma. Jak mu powiedziano, było to powszechnie znane w ludzkiej społeczności. Ludzie, którzy byli hipochondrykami, znajdowali u siebie cały szereg różnych schorzeń, których lekarze nie potrafili ani znaleźć, ani potwierdzić. Im bardziej zaś wierzyli, że są na coś chorzy, tym więcej znajdowali u siebie objawów tej choroby.

Andrew zastanawiał się, czy podczas swego długiego starania o stanie się człowiekiem zetknął się z objawami hipochondrii... Uśmiechnął się do tej myśli. Oczywiście, że tak. Jego własny sprzęt diagnostyczny nie wykazywał żadnych odchyłeń od normy, a on, mimo to, czuł się taki zmęczony...

To musiała być wyobraźnia. Andrew postanowił, że nie będzie więcej myślał o swoim zmęczeniu. Ponadto, zmęczony czy nie, odbędzie jeszcze jedną podróż przez kontynent, do wielkiego wieżowca z zielonego szkła — nowojorskiej siedziby Legislatury Światowej. Złoży tam wizytę pani Chee Li-hsing.

Wszedł do wielkiego gabinetu, a ona skinęła głową i wskazała automatycznie na krzesło stojące przed biurkiem. Robiła tak zawsze, gdy ją odwiedzał. Ale Andrew w jej obecności zawsze wolał stać. Był to jakiś impuls, którego nigdy nie próbował zrozumieć. Tym razem również nie zamierzał usiąść, zwłaszcza tym razem. Byłoby wtedy zbyt oczywiste, że zaszła w nim jakaś ogromna zmiana. Jednak po chwili odkrył, że stanie jest bardzo męczące, więc tak delikatnie, jak tylko mógł, oparł się o ścianę.

— Ostateczne głosowanie odbędzie się za tydzień, Andrew — powiedziała Li-hsing. — Próbowałam odsuwać to tak długo, jak tylko mogłam, ale teraz nic już nie mogę zrobić. Głosowanie odbędzie się i z pewnością przegramy. To wszystko, Andrew.

— Jestem ci wdzięczny za opóźnienie głosowania — powiedział Andrew. — To mi dało czas, którego potrzebowałam, by podjąć konieczne ryzyko.

— O jakim ryzyku mówisz? — zapytała zaskoczona Li-hsing. W jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. — Przez ostatnie kilka miesięcy byłeś taki tajemniczy. Mówiłeś o jakichś ciemnych interesach, projektach, ale nikomu nie powiedziałeś, co...

— Nie mogłem, Li-hsing. Gdybym powiedział ci cokolwiek lub szepnął nawet słówko ludziom z kancelarii, powstrzymano by mnie. Ty sama mogłaś mnie powstrzymać,

wydając po prostu polecenie. Zadziałałoby Drugie Prawo i nie mógłbym cię nie posłuchać. Tak samo mógł postąpić Simon DeLong. Musiałem więc zachować wszystko w tajemnicy tak długo, aż będzie po wszystkim.

— A co takiego zrobiłeś, Andrew? — zapytała cicho, lecz stanowczo Chee Li-hsing.

— Zasadniczą sprawą były rozważania na temat mózgu organicznego przeciw pozytronowemu. Ale co się naprawdę za tym kryło? Moja inteligencja? Nie. Mam niezwykle umysł, ale dlatego tylko, że go takim zaprojektowano. Inne roboty też mają różne zdolności, takie lub inne, ale w gruncie rzeczy są głupimi maszynami. Są głupie tak samo jak komputer, choćby pracował nie wiem ile trylionów razy szybciej od mózgu człowieka. Więc to nie moja inteligencja przerażała ludzi i nie z jej powodu mi zazdrościli. Jest wielu ludzi, którzy mogliby zostawić mnie daleko w tyle.

— Andrew...

— Pozwól mi skończyć, Li-hsing. Zaraz dojdę do sedna sprawy. Obiecuję.

Andrew zmienił nieco pozycję przy ścianie, mając nadzieję, że Li-hsing nie zauważy, ile kłopotów sprawia mu stanie. Miał jednak wrażenie, że ona już to dostrzegła. Patrzyła na niego takim dziwnym wzrokiem.

— Jaka jest zasadnicza różnica między mózgiem organicznym a pozytronowym? Mianowicie taka, że mózg pozytronowy jest nieśmiertelny. Wszystkie kłopoty wynikały właśnie z tego powodu, nie rozumiesz? Bo niby dlaczego kogoś miałoby obchodzić, jak wygląda mózg, z czego jest zbudowany i jakie jest jego pochodzenie. Istotne jest to, że komórki mózgu organicznego umierają. Muszą umrzeć. Nie ma sposobu, by tego uniknąć. Każdy inny organ człowieka można sztucznie podtrzymać lub wymienić na nowy. A mózgu nie można niczym zastąpić, nie niszcząc jednocześnie osobowości człowieka. Właśnie dlatego organiczny mózg musi umrzeć. A mój pozytronowy...

Twarz Li-hsing zmieniała się z każdą chwilą. Andrew widział w jej oczach przerażenie. Wiedział, że zaczynała już powoli rozumieć. Ale chciał, żeby go wysłuchała. Mówił dalej:

— Mój pozytronowy mózg działał bez zarzutu przez dwa stulecia, bez żadnych awarii, bez zmian. I działałby jeszcze przez następne stulecia. Prawdopodobnie... bo nikt nie może być tego do końca pewien. Robotyka jest nauką młodą, ma zaledwie trzysta lat, więc do końca nie wiadomo, jak żywotny jest mój mózg. Ale teoretycznie jest nieśmiertelny. Czyż właśnie to nie różni mnie zasadniczo od człowieka? Istoty ludzkie mogą tolerować nieśmiertelność robotów, ponieważ jest oczywiste, że maszyny mogą funkcjonować bardzo długo. Nikogo to nie przeraża. Ale nigdy nie będą w stanie zaakceptować nieśmiertelnej istoty ludzkiej. Mogą pogodzić się ze swoją śmiertelnością tylko dlatego, iż wiedzą, że jest ona powszechna... że dotyczy wszystkich ludzi bez wyjątku. A gdyby tylko jedna osoba wyłamała się i stała wyjątkiem, cała reszta postrzegalaby to jako głęboką niesprawiedliwość. I z tego właśnie powodu, Li-hsing, odmawiają mi człowie-

czeństwa.

— Powiedziałeś, że dochodzisz do sedna sprawy — powiedziała ostro Li-hsing.

— Więc dalej, mów! Mów, co ze sobą zrobiłeś, Andrew! Chcę wiedzieć.

— Usunąłem problem.

— Usunąłeś problem? Jak?

— Kilka dziesięcioleci temu, kiedy mój pozytronowy mózg umieszczono w androidalnym ciele, podłączono do niego organiczne nerwy. Pozostał jednak odseparowany od wszelkich procesów metabolicznych, gdyż inaczej uległby zniszczeniu. Teraz poddałem się ostatniemu zabiegowi operacyjnemu, polegającemu na usunięciu tej izolacji. Mój mózg podlega teraz takim samym procesom degradacji jak mózg organiczny. Traci powoli swoje siły i zdolności regeneracyjne.

Usta Chee Li-hsing zacisnęły się, a palce zbieleły od zaciskania pięści.

— Chcesz przez to powiedzieć, że zorganizowałeś sobie śmierć, Andrew? Nie, nie mogłeś tego zrobić. To byłoby pogwałceniem Trzeciego Prawa!

— Niezupełnie — odparł Andrew. — Jest kilka rodzajów śmierci, Li-hsing, a Trzecie Prawo nie czyni między nimi różnicy. Ja tak. Wybór, którego dokonałem, to wybór między śmiercią mego ciała a śmiercią moich pragnień i dążeń. Pozwolić memu ciału żyć za cenę śmierci wartości wyższych — to byłoby prawdziwym pogwałceniem Trzeciego Prawa. Ale nie to, co zrobiłem. Jako robot mogę żyć wiecznie, to prawda. Ale powiem ci, że po prostu wolę umrzeć jako człowiek, niż żyć wiecznie jako robot.

— Andrew! Nie! — krzyknęła Chee Li-hsing. Zerwała się zza biurka, podeszła do niego i ścisnęła mocno za ramię, jakby chciała nim potrząsnąć. Jej palce wpiły się w jego syntetyczną skórę. — Andrew, to do niczego nie doprowadzi. To nic innego, jak okropne... fantazje, mrzonki. Zmień to wszystko!

— Nie mogę. Dokonano zbyt wielu uszkodzeń. Operacja jest nieodwracalna.

— I co teraz?

— Mam przed sobą rok życia, Li-hsing, mniej więcej rok. Dotrwam do dwusetnej rocznicy mojego stworzenia. A potem... śmierć. Inne roboty są demontowane, przestają funkcjonować, a ja po prostu umrę. Jeśli nadal jestem robotem, to na pewno pierwszym, który umrze.

— Nie mogę w to uwierzyć, Andrew. Co z tego będziesz miał? Zniszczyłeś się bez powodu... Niepotrzebnie... To wszystko nie było tego warte!

— Myślę, że było.

— Więc jesteś głupcem, Andrew!

— Nie — powiedział delikatnie. — Jeśli to ma uczynić mnie człowiekiem, to będzie tego warte. A jeśli nie, to i tak skończy się wreszcie moja bezowocna walka i ból. Więc i tak było warto.

— Ból?

— Tak, ból. Czy myślisz, że nigdy nie czułem bólu, Li-hsing?

Chee Li-hsing zrobiła coś, co wprowadziło Andrew w bezgraniczne zdumienie. Zaczęła cicho płakać.

ROZDZIAŁ 24

Dziwne, jak ostatni czyn w jego długim życiu wpłynął na światową opinię publiczną. Nic, co przedtem zrobił, tak bardzo nie zachwiało przekonaniem ludzi, że Andrew Martin może się stać człowiekiem. Andrew zdecydował się na śmierć. To poświęcenie było zbyt ogromne, by można było je ot, tak sobie, po prostu przemilczeć.

Wieści przeleciały przez świat jak huragan. Ludzie nie mówili o niczym innym. Wniosek o przyznanie Andrew statusu człowieka został poddany pod głosowanie w Legislaturze Światowej i przeszedł bez sprzeciwu. Nikt nie ośmielił się głosować przeciwko. Nie było nawet żadnej dyskusji, bo nie było takiej potrzeby.

Chętnie zgodzono się, by uroczystą ceremonię przełożyć na dzień, w którym Andrew będzie obchodzić swe dwusetne urodziny. Wtedy to Światowy Koordynator miał złożyć publicznie swój podpis na dokumencie, ustanawiając tym samym nowe prawo. Ceremonia miała być emitowana w sieci ogólnej, a także transmitowana na Księżyc i inne kolonie pozaziemskie.

Andrew siedział w fotelu na kółkach. Wciąż mógł chodzić, ale sprawiało mu to ogromną trudność. Poza tym czuł się bardzo zakłopotany, gdy widziano go w takim stanie: trzęsącego się i chwiejącego. A miały przecież na niego patrzeć miliardy ludzi.

I rzeczywiście — oglądały go miliardy.

Ceremonia była skromna i krótka. Światowy Koordynator — a raczej jego holowi-
zyjny obraz, gdyż Koordynator był w Nowym Jorku, a Andrew w swym domu w Kalifornii — rozpoczął swe przemówienie.

— To jest szczególny dzień, Andrew Martinie, nie tylko dla pana, ale dla całej ludzkości. Nigdy przedtem nie było jeszcze takiego dnia. Ale też nigdy przedtem nie było nikogo takiego, jak pan.

Pięćdziesiąt lat temu, panie Martin, obchodzono w Amerykańskich Robotach sto pięćdziesiątą rocznicę pana wyprodukowania. Ogłoszono pana Półtorawiecznym Robotem. Wtedy było tak w istocie. Zdaję sobie jednak sprawę, że teraz jest zupełnie inaczej. Świat podjął więc kroki, by naprawić pewne rzeczy. I to zadośćuczynienie nastą-

pi właśnie dzisiaj. — Koordynator uśmiechnął się i złożył zamaszysty podpis na dokumencie. A potem znów przemówił mocnym i uroczystym tonem. — Oto więc dokonano się. Orzeczenie jest oficjalne i nieodwracalne. Pana półtorawieczna rocznica jest już daleko za nami. I tak samo też status robota, z którym pan przyszedł na świat. Dzisiaj go panu odbieramy. Nie jest pan już robotem. Dokument, który podpisałem, zmienia bowiem wszystko. Dziś, panie Martin, ogłaszamy pana Dwustuletnim Człowiekiem.

A Andrew, uśmiechając się w podziękowaniu, wyciągnął rękę, jakby chciał uścisnąć dłoń Koordynatora, mimo że dzielił ich cały kontynent. Wszystko jednak było dokładnie wyliczone i na ekranie wyglądało tak, jakby ich ręce rzeczywiście się spotkały. Tak to wyglądało dla miliardów widzów — dwaj podający sobie dłonie ludzie.

ROZDZIAŁ 25

Ceremonia sprzed paru miesięcy była ledwie mglistym wspomnieniem. Teraz zbliżał się koniec. Myśli Andrew blakły i oddalały się, to znów wirowały jak burza, gdy tak leżał w łóżku, w swym domu nad samym brzegiem Pacyfiku.

Człowiek! Był teraz człowiekiem! W końcu był istotą ludzką. Przez całe lata wspinał się na wyżyny swej roboczej osobowości, nie do końca zdając sobie sprawę ze swych pragnień, lecz zbliżając się coraz bardziej do ich urzeczywistnienia. I w końcu zdołał osiągnąć swój ostateczny cel. Zdobył coś prawie niewyobrażalnego; coś, co nie miało precedensu w historii ludzkości.

Chciał, aby to pozostało jego ostatnią myślą. Chciał umrzeć, myśląc właśnie o tym.

Andrew otworzył oczy raz jeszcze i po raz ostatni spojrział na Li-hsing, stojącą przy jego łóżku. Byli też inni, którzy teraz patrzyli na jego śmierć tak samo, jak on niegdyś patrzył na ostatnie chwile Sira i Małej Miss. Ale wszyscy oni byli tylko cieniami, zwiewnymi, rozmywającymi się cieniami... już nierozpoznawalnymi. Zapomniał ich imiona, nie pamiętał twarzy. Wszystkie wspomnienia z przeszło dwustu lat odchodziły w mrok. Niech odejdą, pomyślał. Niech wszystkie odejdą.

W ogarniającej go ciemności widział jedynie drobną postać Chee Li-hsing, ostatniej z jego wszystkich przyjaciół. Miał ich tak wielu przez dwieście lat swego życia, ale wszyscy już dawno odeszli. Pozostała ona jedna. Andrew wyciągnął powoli drżącą dłoń. Li-hsing mówiła coś do niego, ale on już tego nie słyszał. Nie potrafił rozróżnić słów.

Jej obraz rozmazywał się coraz bardziej, rozwiewał.

Poczuł chłód. Li-hsing odchodziła gdzieś daleko w mrok, który go otaczał.

I nagle, gdzieś w tym głuchym, chłodnym pustkowiu błysnęła iskierka — myśl, ukojenie... Zbliżyła się i pozostała z nim, gdy wszystko inne odpłynęło w mroczną dal. Ujrzał zwiewną postać istoty, która dwieście lat temu pierwsza dostrzegła w nim to, o co walczył przez całe życie. Promieniowała delikatnym światłem i przyjemnym ciepłem. Jej lśniące złote włosy błyszcząły jak piękny, cichy wschód słońca. Uśmiechnęła się do niego i kiwnęła dłonią.

— Andrew — powiedziała miękko i delikatnie. — Chodź ze mną, Andrew. Wiesz, kim jestem.

— Mała Miss — szepnął, ale nikt go nie usłyszał.

A potem zamknął oczy. Nastąpiła ciemność, której umierający człowiek poddał się bez żalu.

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1	5
ROZDZIAŁ 2	10
ROZDZIAŁ 3	21
ROZDZIAŁ 4	29
ROZDZIAŁ 5	37
ROZDZIAŁ 6	45
ROZDZIAŁ 7	51
ROZDZIAŁ 8	58
ROZDZIAŁ 9	71
ROZDZIAŁ 10	78
ROZDZIAŁ 11	86
ROZDZIAŁ 12	94
ROZDZIAŁ 13	100
ROZDZIAŁ 14	109
ROZDZIAŁ 15	117
ROZDZIAŁ 16	126
ROZDZIAŁ 17	136
ROZDZIAŁ 18	147
ROZDZIAŁ 19	158
ROZDZIAŁ 20	164
ROZDZIAŁ 21	170
ROZDZIAŁ 22	175
ROZDZIAŁ 23	178
ROZDZIAŁ 24	184
ROZDZIAŁ 25	186